140447

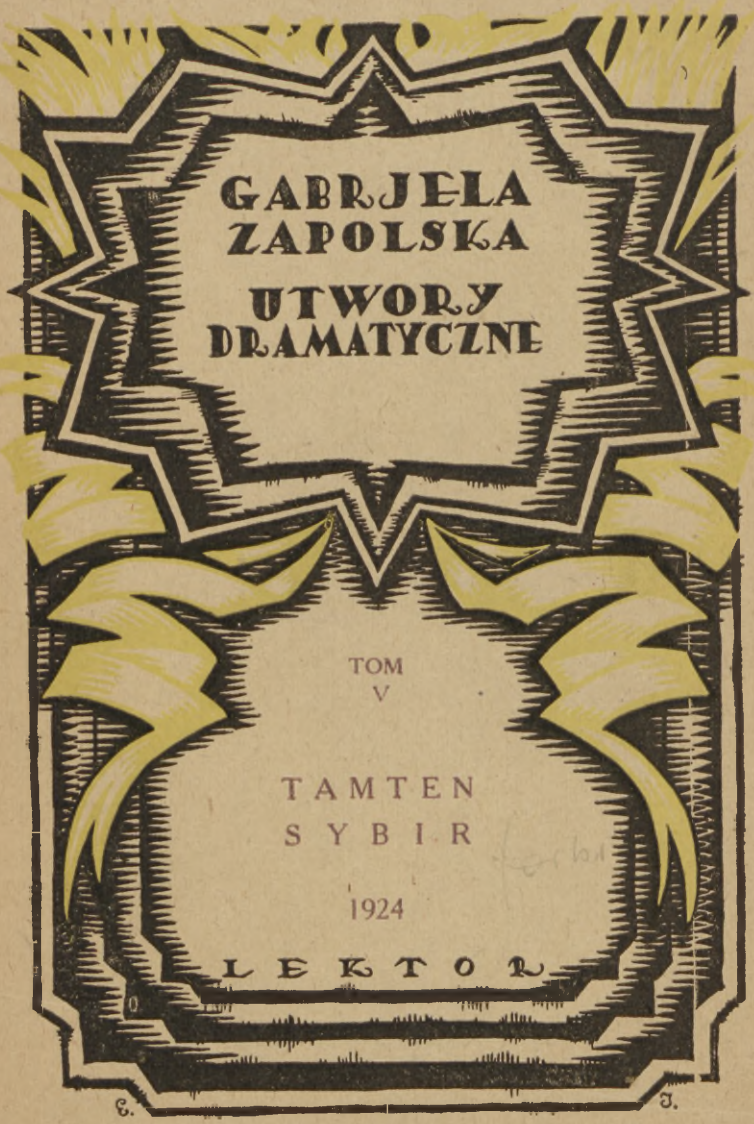

GABRJELA ZAPOLSKA

UTWORY DRAMATYCZNE

TOM V

TAMTEN

SYBIR

1924

LEKTOR

WYDANIE ZBIOROWE DZIEŁ
GABRJELI ZAPOLSKIEJ

UTWORY DRAMATYCZNE

TAMTEN
SYBIR

WSZELKIE PRAWA INSCENIZACJI SZTUK GABRJELI ZAPOLSKIEJ OBJĘTYCH NINIEJSZYM WYDANIEM, NALEŻĄ WYŁĄCZNIE DO D-RA STANISŁAWA ROGALA LEWICKIEGO WE LWOWIE, POZWOLENIA NA INSCENIZACJĘ SZTUK GABRJELI ZAPOLSKIEJ TAK TEATROM, JAK I WSZELKIM AMATORSKIM ZESPOŁOM DRAMATYCZNYM, ORAZ PRZEDSIĘBIORSTWOM KINEMATOGRAFICZNYM UDZIELA INSTYTUT LITERACKI „LEKTOR", LWÓW, ULICA ŚW MIKOŁAJA, 23, WYSTAWIENIE SZTUK GABRJELI ZAPOLSKIEJ BEZ FORMALNEGO POZWOLENIA BĘDZIE SĄDOWNIE ŚCIGANE

UNIWERSYTET ŁÓDZKI
Katedra Teorii Literatury

GABRJELA ZAPOLSKA

140447

GABRJELA ZAPOLSKA

UTWORY DRAMATYCZNE

TOM V

TAMTEN
SYBIR

1924

WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO
„LEKTOR", SP. Z OGR. ODP.
WARSZAWA — LWÓW — POZNAŃ
KRAKÓW — LUBLIN

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
W ŁODZI
Wydano z księgozbioru

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE
Copyright by „Lektor" nineteen hundred twenty four

№ 279

UNIWERSYTET ŁÓDZKI
Katedra Teorii Literatury
ANULOWANO
Inw. 2684/5

UJK
Biblioteka Główna
w Kielcach

400984
B6

ZAKŁADY GRAFICZNE WE WŁOCŁAWKU
NEUMAN & TOMASZEWSKI

SKŁADY GŁÓWNE:

WE LWOWIE:
„LEKTOR", MIKOŁAJA 23
(dom własny) Tel. 525

W WARSZAWIE:
„LEKTOR", SIENKIEWICZA 5
Tel. 253-99

W POZNANIU:
„LEKTOR", RATAJCZAKA 33
Tel. 39-23

W KRAKOWIE:
„LEKTOR", RYNEK Gł. 22

W LUBLINIE:
„LEKTOR", SZOPENA 5

OKŁADKĘ I WINIETY RYSOWAŁ E. JOHN W WARSZAWIE

K 52/64

TAMTEN

DRAMAT WSPÓŁCZESNY W 5 AKTACH

OSOBY:

GENERAŁ HORN, generał żandarmów.
PUŁKOWNIK KORNIŁOFF, urzędnik do szczegó'nych poruczeń.
PORUCZNIK BOTKIN.
KORNET NIKIFOROFF.
KAPITAN JURYJ ANDREWICZ AGATONOFF.
PORUCZNIK STREŁKOFF.
PREZES TEATRÓW WARSZAWSKICH.
KAZIMIERZ.
BOGDAŃSKI.
JÓZEF.
MARJAN.
PANI WIELHORSKA.
MARTA WIELHORSKA.
ANNA.
JULJA KORBIEL.
ZOSIA.
MARJA.
1. KOBIETA CZARNO UBRANA.
2. „ „ „
3. „ „ „
4. „ „ „
STARY ŻANDARM KULTIAPKIN.
AKTOR.
MATAŁKOWSKA, utrzymująca restaurację.
KASJERKA.
JÓZIA.
1-sza DZIEWCZYNA USŁUGUJĄCA.
KLOCIA.
KELNER WIERCIOŁEK.
1-szy GOŚĆ RESTAURACYJNY.
2-gi „ „
3-ci „ „

FRAJMAN-TAPER.
SŁUŻĄCA.
SIEMIPUDOFF.
1-szy ŻANDARM.
2-gi ŻANDARM.
DYŻURNY ŻANDARM.
DOZORCY WIĘZIENNI.
LISTONOSZ.
1-szy CHŁOPCZYK.
2-gi „
DZIEWCZYNKA.

Rzecz dzieje się w Warszawie za naszych czasów.

AKT I.

W knajpie.

AKT II.

Aresztowania.

AKT III.

U generała Horna.

AKT IV.

Śledztwo.

AKT V.

Na Sybir.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia wnętrze podrzędnej warszawskiej restauracji. Wąski i długi pokój. Drzwi szklane na ulicę zasłonięte czerwonemi firankami. W przyległym pokoju, gdy się drzwi otworzą, widać stół, przy którym uczą się dzieci; lampa zapalona i stół założony książkami. Na lewo bufet, za nim utrzymująca restaurację, bardzo gruba kobieta, obok niej kasjerka za wysokim pulpitem, czarno ufryzowana z krótkimi włosami. Lampy pozapalane. W głębi na estradzie stary fortepjan.

SCENA PIERWSZA.

(Utrzymująca restaurację czesze się za bufetem. Kelner nakrywa stoły, na ławkach śpią usługujące dziewczyny. Jedna na rogu stołu na lampie grzeje sobie żelazko do fryzowania grzywki. Józia śpi w kącie okryta chustką. Kasjerka robi rachunki. Za podniesieniem zasłony długa chwila milczenia, wreszcie kelner sprzątając potrąca dziewczynę).

⧈⧈

DZIEWCZYNA 1. No!... nie potrąć!

KELNER. To wynosić mi się ze stołu!

DZIEWCZYNA 1. To gdzie się uczeszę?

KELNER. Na dziedzińcu... w piwnicy.

DZIEWCZYNA 1. I... zaraz! Pani Matałkowska! Wierciołek się szturga.

MATAŁKOWSKA. Nie szturgaj się Wierciołek!

KELNER. Bestja się roztasowała na gościnnych stołach. Obrus chcę położyć.

DZIEWCZYNA 1. A gdzie się zapikę?

MATAŁKOWSKA. Mogłaś wcześniej się zbudzić.

DZIEWCZYNA 1. I — zaraz — ledwo nogami od wczora powłóczę — tak długo musiałam usługiwać, a pani już gania. A inne to śpią.

MATAŁKOWSKA. Nie pyskuj — z ciebie mam najmniej zarobku.

DZIEWCZYNA 1. A bo mam gości parszywych, samych takich, co nie piją... to co zrobię?

MATAŁKOWSKA. Kłamiesz — tylko ty nie umiesz ich zachęcać i bez to stagnacja.

DZIEWCZYNA 1 *(z lamentem)*. O Jezu! to bezemnie stagnacja? A toć piję tak, że mnie już się serce przewraca i mgleje i koniaki i te inne słodkie szkaradztwa.

MATAŁKOWSKA. Dlaczego na porter ludzi nie pchasz?

DZIEWCZYNA 1 *(z bekiem)*. Ja nie mogę pić porteru.

MATAŁKOWSKA. A ja ci radzę: pij porter!... Ja bez ciebie stratna nie będę! ja

mam dzieci do edukacji... ja muszę o nich myśleć. Bóg by mnie ciężko pokarał, jakbym przez ciebie moje dzieci na stratę narażała... *(do kasjerki)*. Panno Magdziu — a gdzie jarząbek?

KASJERKA. Kazałam go wynieść do piwnicy. Strasznie go czuć.

MATAŁKOWSKA A to co znowu? Panna ma strasznie nos wydelikacony... fiu! fiu! czuć! Nieprawda! jarząbek stoi dopiero ósmy dzień. Przynieść go nazad i postawić na bufet. To bardzo dobrze ubiera taki surowy jarząbek... Tak jest na banhofach... a potem dziś może będą oficerowie pijani, to się im go podsunie i zjedzą...

KASJERKA *(nieśmiało)*. Zachorują!

MATAŁKOWSKA. To się im powie, że z pijaństwa pochorowali i kwita.

SCENA DRUGA.

(Ciż sami. Pułkownik Korniłof po cywilnemu. Niemłody człowiek, bardzo przystojny, bardzo uprzejmy, wykwintny, elegancki w obejściu, mówi z wyszukaną grzecznością, szczególniej z kobietami, ktoby to nie były — cywilne ubranie, bardzo skromne, pince-nez).

PUŁK. KORNIŁOF *(podchodzi do bufetu)*. Dobry wieczór pani Matałkowskiej.

MATAŁKOWSKA *(chwilę przerażona — potem odzyskując rezon)*. Moje uszanowanie...

głębokie moje uszanowanie... pan pozwoli... ja zaraz... *(Wychodzi spiesznie z za bufetu).*

PUŁK. KORNIŁOF. Cicho... cicho... bez hałasu... cóż to jeszcze tak pusto?

MATAŁKOWSKA *(podchodzi w dygach).* Pan pułk...

PUŁK. KORNIŁOF *(ostro, lecz zarazem słodko).* Kto? *(słodziej)* Kto — pani Matałkowska?

MATAŁKOWSKA. Pan... może raczy tymczasem, nim się zejdą, kieliszek czerwonego... albo co innego...

PUŁK. KORNIŁOF. O której zwykle przychodzi?

MATAŁKOWSKA. Koło dziewiątej.

DZIEWCZYNA 1 *(do kasjerki).* Widzi panna Magdzia... jak się to stara do tego w binoklach wdzięczy.

KASJERKA. To podobno jej stary znajomy.

DZIEWCZYNA 1. Ładny znajomy. Nawet wczoraj porządnie na piwo nie dał...

KORNIŁOF *(do Matałkowskiej).* Powrócę za 20 minut.

MATAŁKOWSKA. Może dorożkę...

KORNIŁOF. Nie — przejdę się po alejach. A! przyjdzie tu mój towarzysz — nie dawać mu miejsca, trzymać przy bufecie i aż tamci się ulokują, dać sąsiedni stolik... Zrozumiała pani Matałkowska?

MATAŁKOWSKA. Wybornie panie puł...

KORNIŁOF. Jak? *(łagodniej)* jak pani Matałkowska?

MATAŁKOWSKA. Już nijak proszę pana...

KORNIŁOF. Dobrze, dobrze... *(wychodzi)*.

MATAŁKOWSKA *(sama na przodzie sceny)*: Masz babo redutę... a to śliczna historja!

SCENA TRZECIA.

(Dziewczyny się budzą — Józia wstaje, składa chustkę — wyjmuje grzebień — róż, idzie za bufet, opiera lusterko o szafę — czesze grzywkę, potem się różuje).

KASJERKA. Czego Józia się popycha?

JÓZIA. Gdzie się zrobię? na bufecie?

MATAŁKOWSKA. Niech się panna Magdzia Józi nie czepia.

JÓZIA. To skaranie boskie z temi staremi pannami. Wiecznie ludziom dokuczają... złe jak osy.

KASJERKA. Może ja młodsza od ciebie...

JÓZIA. Tyka mnie? Patrzcie ją!

MATAŁKOWSKA. Cicho — Józia idź do dzieci i tam się popraw.

JÓZIA. A gdzie mój puder? już mi któraś wziena z szuflady puder. Klocia — to ty? co?

KLOCIA. Odczep się.. głupia... widzicie ją... kto jej brałby puder... *(Józia wychodzi mrucząc).*

KASJERKA. Pani jej na wszystko pozwala.

MATAŁKOWSKA. Bo to moja prawa ręka. Pije jak smok — i ludzie idą do niej jak na lep!...

SCENA CZWARTA.

Ciż — Frajman.

FRAJMAN *(wchodzi siwy, chudy taper — stawia w kącie parasol).* Dobry wieczór!

MATAŁKOWSKA. Cóż dziś tak późno?

FRAJMAN *(pokornie).* Dziewiąta!

MATAŁKOWSKA. Prosiłam żeby przychodzić przed dziewiątą. Siadaj pan i graj!

FRAJMAN. Jeszcze nikogo nie ma.

MATAŁKOWSKA. To pana nic nie obchodzi — graj głośno, żeby cię na ulicy słyszeli.

(Frajman siada do rozstrojonego fortepjanu i gra oklepanego walca; Ja beim super. Kelner z serwetą opiera się o ścianę, dziewczyny stoją pod ścianami — Matałkowska, kasjerka za bufetem — nie ma nikogo z gości — wchodzi Józia).

MATAŁKOWSKA *(woła ją).* Józia.

JÓZIA. A czego? *(Podchodzi do bufetu).*

MATAŁKOWSKA. Masz marki. Niech piją dużo ale wiesz, jeżeli dziś przyjdą ruscy — niech cię Bóg broni wyrwać jaką awanturę.

JÓZIA. A cóż ja zrobię, jak się zaczną za łby wodzić?

MATAŁKOWSKA. Ty jesteś bardzo chytra i potrafisz tak, aby to był wilk syty i owca cała. No — pamiętaj — dostaniesz ładną kolendę odemnie...

JÓZIA. E! wiecznie pani obiecuje.

MATAŁKOWSKA. Ale raz jak się zbiorę i dam, to zgłupiejesz... no idą... a... *(drzwi się otwierają wchodzi porucznik Botkin — po cywilnemu — podchodzi do bufetu).*

SCENA PIĄTA.

Ciż sami — Botkin.

DZIEWCZĘTA. Co pan rozkaże?

BOTKIN. Ja... coś najprzód przy bufecie zakąszę... jakie są zakuski?

MATAŁKOWSKA. A... pan nie zaraz do stołu siada?

BOTKIN. Uprzedzono panią?

MATAŁKOWSKA. Tak! tak!... może angielskiej gorzkiej — najlepsza... *(Pije).*

BOTKIN. Da... tak... i zakąska.

MATAŁKOWSKA. Klocia... usłuż... Panu... *(daje jej znak i podając flaszkę mówi):* Zabawiaj go przy bufecie — sama nie pij — to się na nic nie zda...

(Klocia zbliża się do Botkina rozmawia z nim — nalewa wódki).

BOTKIN. Panna taka blondynka? Daję słowo... jak złoto... czyste złoto — ładna panna...

KLOCIA. E... gdzie ja ładna...

BOTKIN. Daję słowo... i figura niczego...

(wchodzą rozmaici goście — sami mężczyźni — siadają do stołów — zaczyna się ruch. Frajman przestał chwilę grać, Kelner chodzi dokoła stołów, usługuje — Józia i inne dziewczyny chichocząc witają się z gośćmi — szczęk talerzy — co chwila słychać głos Kelnera).

1 GOŚĆ. Dajcie nam tymczasem dwa draejery!

2 GOŚĆ. Dla mnie pilznera i rozbratel, tylko na maśle!

MATAŁKOWSKA. Czemu Frajman nie gra? Wierciołek powiedz Taperowi, niech gra. — *(Kelner biegnie do Frajmana i mówi do niego po cichu).*

1 GOŚĆ. Hej panno! Cóż to? będę czekał dwie godziny.

KELNER. Zaraz! zaraz!

1 GOŚĆ. Żydowskie zaraz!

(pod oknem dwa stoliki próżne. Matałkowska idzie i wywołuje Kelnera na róg stołu).

MATAŁKOWSKA. Te dwa stoliki założyć — jeden dla gości Józi, a drugi dla tego pana, co przy bufecie stoi.

I DZIEWCZYNA. Proszę pani trzy koniaki. *(Matałkowska nalewa cztery).*

I DZIEWCZYNA. Niech pani leje pełne bo goście się gniewają.

MATAŁKOWSKA. Głupiaś — powiedz, żeś po drodze rozlała...

I DZIEWCZYNA. Czego pani leje cztery?

MATAŁKOWSKA. Jeden dla ciebie.

(Frajman gra Schumana „Warum").

MATAŁKOWSKA. Czy on oszalał — co on gra? chce mi gości wystraszyć?

BOTKIN. On bardzo smutno gra.

MATAŁKOWSKA. A bo to fiksat — kiedyś podobno dawał koncerty... Wierciołek, powiedz mu, niech wali szambr separe — to się gościom podoba.

SCENA SZÓSTA.

Ciż — Kazimierz Wielhorski, Bogdański.

JÓZIA *(biegnąc ku nim).* A jesteś pan nareszcie?

KAZIMIERZ. Jak się masz Józiu!

JÓZIA. Dobrze.., myślałeś pan o mnie dziś rano?

KAZIMIERZ. I nieraz... masz stolik?

JÓZIA. Jeszczebym dla pana nie miała stolika?

I GOŚĆ. Panno! panno... a moja musztarda...

JÓZIA. Nie mam teraz czasu — zaraz panu podam.

I GOŚĆ *(zły)*. Ja byłem pierwszy — mnie należy usłużyć...

JÓZIA *(sadzając Kazimierza i Bogdańskiego)*. Proszę... tutaj — ten sam stoliczek co zawsze.

I GOŚĆ. Panno! panno!

JÓZIA. A to nudny piernik.

KAZIMIERZ. Daj mu tę musztardę i wróć do nas, to się odczepi...

(Józia idzie po musztardę, niesie ze złością gościowi, słoik stawia na stole z impetem i wraca do stołu, gdzie siedzi Kazimierz).

MATAŁKOWSKA *(do Botkina)*. Może pan już teraz usiądzie przy drugim stoliku...

BOTKIN. Dobrze!... dobrze!... wiem!...

MATAŁKOWSKA. Czy dziewczyna ma z panem pozostać przy stole, czy zostawić pana samego i niech kelner usługuje?

BOTKIN. Teraz dziewczyna — a potem skoro... już nie będę sam, niech kelner da nam dzienniki.

MATAŁKOWSKA *(do Kloci)*. Klocia! idź z panem do stołu i usługuj panu... *(Botkin i Klocia odchodzą)*. A to ładna historja! a tom się wplątała...

KAZIMIERZ *(do Józi)*. Dasz nam przedewszystkiem wódki i rzodkiewek, masła i śledzia na zakąskę...

JÓZIA. Dobrze... a ma pan zielone?

KAZIMIERZ. Nie mam.

BOGDAŃSKI. Co takiego?

KAZIMIERZ. Ano — gram z Józią w zielone!...

JÓZIA. Przegrał pan! przegrał pan! co mi pan kupi za przegrane?

KAZIMIERZ. Co zechcesz? — A teraz daj jeść, bo umieramy z głodu. *(Józia odbiega do bufetu — wybiera przekąski i nalewa wódkę)*.

BOGDAŃSKI. Czyś ty naprawdę oszalał? grasz w zielone z tą głupią dziewczyną.

KAZIMIERZ. Co chcesz? muszę się zniżyć do poziomu jej inteligencji. Ona szalenie lubi, żeby z nią grać w zielone, dlaczego jej mam odmówić tej przyjemności. Czy moje komentarze do Nietzschego ucierpią co na tem?

BOGDAŃSKI. Zapewne. Skoro masz w umyśle na tyle siły odpornej, że cię nawet gra w zielone z restauracyjną dziewczyną nie ogłupi... Tylko...

KAZIMIERZ. Już wiem, co chcesz powiedzieć... Dziwisz się, że spędzam tu czas, który mógłbym a nawet powinienbym przepędzić obok innej... Anna...

BOGDAŃSKI. O nie wymawiaj nawet tego imienia w tem miejscu...

KAZIMIERZ. Idealista... Jakże ci powiem? jakże ci wytłómaczę, ażebyś mnie zrozumiał, że ja odpoczywam przy tej głupiej restauracyjnej posługaczce, znużony bezmiarem inteligencji mojej narzeczonej.

BOGDAŃSKI. Kaziu...

KAZIMIERZ. Co chcesz? jestem człowiekiem z krwi i kości, a Anna jest... aniołem! Ona jest dla mnie za mądra, za niedościgła, za piękna, za czysta... słowem, za — za... — Ja ją kocham, cenię, wielbię, czczę — ale jej wyższość mnie onieśmiela, przygniata — odurza — czyni chorym — zgnębionym... Potrzebuję odetchnąć,..

BOGDAŃSKI. Tu? w knajpie?

KAZIMIERZ. My młodzi mamy tylko dwie atmosfery do oddychania, — albo obowiązek i praca, albo... tego rodzaju rozrywki...

BOGDAŃSKI. Czyż to rozrywka?

KAZIMIERZ. W bezmyślności jej — odpoczynek. Mózg strudzony wysiłkiem całodziennym, pławi się poprostu w szumie, w brzęku tego rozklekotanego fortepjanu, nie

myśli, nie pracuje i odpoczywa... A w dodatku jeśli siędzie przy tobie jeszcze ładna dziewczyna...

BOGDAŃSKI. Znajdujesz ją ładną?

KAZIMIERZ. Uosobienie głupoty — owca odziana w spódnicę — patrz na jej oczy — co za cudowny brak wyrazu...

BOGDAŃSKI. Dziękuję... nie zachwycają mnie wcale.

JÓZIA *(podchodzi z wódką)*. Oto wódka!

KAZIMIERZ. Napijesz się z nami?

JÓZIA. Najchętniej — zdrowie panów... *(do Bogdańskiego)*. Co pan taki zasumowany? może pan się kocha? co? zgadłam... ja tylko popatrzę na mężczyznę, to zaraz wiem, czy on się kocha, czy nie...

SCENA SIÓDMA.

(Ciż sami — Korniłof wchodzi — podsuwa się do bufetu cicho. Tymczasem ruch trwa ciągły — ruch restauracyjny — w którym sami artyści grać winni i brać odpowiedni udział.

PUŁK. KORNIŁOF *(podchodzi do Matałkowskiej)*. Czy jest dla mnie miejsce?

MATAŁKOWSKA. Stolik w środku, proszę pana...

PUŁK. KORNIŁOF. Niech pani tak nie dyga, to zwraca uwagę...

MATAŁKOWSKA. Panie pułko... a przepraszam... bardzo! bardzo!... czy aby mnie się nic złego nie stanie?... czy mnie nie tego... *(daje znak ręką zamknięcia w więzieniu)*, bo ja mam dzieci... one się tam uczą... ja przecież nic nie winna.

PUŁK. KORNIŁOF. Niech się pani Matałkowska nie boi... my takich pięknych dam jak pani Matałkowska nie zamykamy.

MATAŁKOWSKA. O... panie!... *(Pułk. Korniłof daje jej znak i idzie do stolika, przy którym siedzi Botkin).*

I GOŚĆ. Płacę.

KELNER. Zaraz!...

KAZIMIERZ. Cóż Józiu? co ci kupić za przegraną?

JÓZIA. A bo ja wiem.

KAZIMIERZ. A pozwolisz mi się dzisiaj odprowadzić do domu?

JÓZIA. Ale tylko do bramy.

BOGDAŃSKI. Jakto! czy nie pójdziemy wcale do państwa Elsen? Wszakże mieliśmy tam zajść po pannę Annę i twoją siostrę.

KAZIMIERZ. Odprowadzi je kto inny.

(Marjan wchodzi).

BOGDAŃSKI. Daruj mój drogi — w takim razie ja sam pójdę.

KAZIMIERZ. Proszę cię, nie zostawiaj

mnie samego — dopóki nie będę mógł pozostać sam z Józią.

BOGDAŃSKI. Dlaczego... czy znów?...

KAZIMIERZ. Tak! *(do Józi)*. Przynieś nam porteru!

(Korniłof i Botkin jedzą w milczeniu).

SCENA ÓSMA.

Ciż sami i Marjan Geyer.

MARJAN *(wchodzi do bufetu, wita się z Matałkowską i podchodzi do Kazimierza)*. Wiedziałem, że was tu zastanę... Można usiąść?

KAZIMIERZ. Ależ naturalnie. Idziesz do Elsenów?

MARJAN. Tak, wszyscy nasi tam już się zebrali. Panna Lasowska, twoja siostra, Szatkowscy...

BOGDAŃSKI. Co robią?

MARJAN. Czytają „Samotne dusze".

BOGDAŃSKI. W oryginale?

MARJAN. Tak. Ja byłem jak na niemieckiem kazaniu, więc dałem nura. Dajcie mi sznapsa i jakiego tam co na przetrącenie. U nas dziś w domu okropny bal. Tańczy 80 par — orkiestra — cała parada — okazało się jednak, że syn pana domu ma zanadto odrapany mundur, ażeby mógł się pokazać oso-

bliwym gościom. Fraka włożyć siła ludzka, ani przekleństwo ojca mnie nie zmusi — więc poszedłem tam, gdzie mogę śmiało prezentować moje wytarte łokcie... to jest do Elsenów i do knajpy!...

KAZIMIERZ *(śmiejąc się)*. Wstyd przynosisz swojej rodzinie...

MARJAN. Grożą mi wydziedziczeniem, a ja im dawaniem korepetycji.. Pojmujecie, co za hańba... ja, syn znanego przemysłowca, który ma willę w alejach i Zakopanem, dwa domy na Marszałkowskiej, fabrykę gwoździ i sześć koni w stajni — ogłaszam się w Kurjerze jako zdolny korepetytor za obiad lub pomieszkanie... To byłaby frajda...

KAZIMIERZ *(do Józi, która przyniosła porter)*. Józieńko! daj temu panu kotlet, ale na świeżem maśle...

MARJAN. To będzie trudno...

JÓZIA E! dla pana to się znajdzie! *(odbiega)*.

MATAŁKOWSKA *(do kelnera)*. Temu panu w środku w binoklach zrobić befsztyk ze świeżej polędwicy i na deserowem maśle. Słyszysz?

KELNER. Niby extra.

MATAŁKOWSKA. Zupełnie extra — masz masło...

MARJAN *(pijąc wódkę — do Kazimierza)*. Ta Józia — to twoja?

KAZIMIERZ. Niezupełnie. Bruździ mi jeden oficer. Dziewczynie głupiej mundur się zawsze podoba, więc i na niego się nie boczy. A on postępuje nachalnie i wyzywająco...

MARJAN *(śmiejąc się)*. To znaczy, iż panna Józia wprowadzić chce w czyn ugodowe mrzonki.

BOGDAŃSKI. Masz rację, nazywając te złudzenia mrzonkami.

KAZIMIERZ. Pozwólcie jednak...

BOGDAŃSKI. O! to, co w sercu boli lat tyle, czy można zatrzeć w kilka dni?

MARJAN *(bijąc pięścią w stół)*. Nie! nie!

KAZIMIERZ. Jesteście nieprzejednani?

BOGDAŃSKI. Tak, jak i ty — tak, jak chyba my wszyscy... tak, jak Anna... jak twoja siostra...

KAZIMIERZ. Jak wszystkie zapalone głowy! Ja to już przeżyłem!...

MARJAN *(śmiejąc się)*. Zlodowaciałeś, bo masz o trzy lata więcej, niż my i zdaje ci się przez to, że należysz do innej generacji.

KAZIMIERZ. Nie — tylko dlatego, że od trzeciej klasy żyłem z dawania korepetycji... pracowałem ciężko i teraz utrzymuję siebie i siostrę lekcjami.

BOGDAŃSKI. Ja jestem jeszcze biedniejszy od ciebie, a jednak...

KAZIMIERZ. Jesteś sam — to wielkie słowo.

MARJAN *(z ironją)*. A więc ty jesteś ostrożny?

KAZIMIERZ. Jeżeli chcecie — tak.

BOGDAŃSKI. Nie na wiele jednak ci się ta ostrożność przydaje...

KAZIMIERZ. To prawda. Od pewnego czasu te przesyłki przychodzące do mnie pocztą w zdumienie mnie wprawiają... Sądziłem z początku, że to żart, że ktoś lekkomyślnie chce mnie narazić, ale teraz powtarza się po raz trzeci...

BOGDAŃSKI. Co robisz z tymi papierami?

KAZIMIERZ. Palę natychmiast.

BOGDAŃSKI. Czy powiedziałeś o tem Annie?

KAZIMIERZ. Nie — ani jej, ani mojej siostrze.

BOGDAŃSKI. Siostra twoja to jeszcze dziecko — ale przed Anną powinieneś był się zwierzyć... To kobieta, to serce... to już rozwinięta i rozumna dusza.

KAZIMIERZ. Lękam się jej egzaltacji. A zresztą i ona ma przedemną tajemnice. Dawno to spostrzegłem.

BOGDAŃSKI. Jeżeli ma tajemnice, to twoja ostrożność jest tego przyczyną.

KAZIMIERZ. A więc — oddajemy sobie tylko piękne za nadobne.

MARJAN. Co jest w tych papierach, które ci pocztą nadsyłają?

KAZIMIERZ. Dokładne plany fortecy nowogieorgiewskiej — rozporządzenie armji w chwili mobilizacji.

BOGDAŃSKI. Nie mów tak głośno...

(Mówią ciszej).

KORNIŁOF *(do Botkina)* Idź pan, powiedz, ażeby przestali grać na fortepjanie. Ani słowa usłyszeć nie można.

BOTKIN. Według rozkazu. *(Wstaje i lawirując między stolikami idzie do bufetu, gdzie mówi po cichu z Matałkowską, ta woła Klocię i posyła ją do tappera, który grać przestaje).*

1. GOŚĆ. A to mi dała musztardy — nic się doskrobać nie mogę.

2. GOŚĆ. Panno Klociu, w tym rozbratlu dużo kości, a mięsa ani odrobiny.

KLOCIA. E! uprzedza się pan.

3. GOŚĆ *(do 1. dziewczyny)*. Czego ty we mnie ciągle wmawiasz ten porter? Ja nie lubię porteru.

DZIEWCZYNA 1. Mógłby się pan napić choć bez grzeczność dla mnie.

2. GOŚĆ. Także! Każ mi dać jedno ciemne.

3. GOŚĆ. Dlaczego nie grają na fortepjanie? Cóż to pogrzeb?

2. GOŚĆ. Hej stary! zagraj co — z jakiej operetki!

1. GOŚĆ. E! do djabła z operetką — grajcie sobie, co chcecie, ale tego słuchać nie będę.

(Gwar wzrasta).

MATAŁKOWSKA *(do kasjerki)*. Proszę nie spać! Uśmiechać się do gości!

KASJERKA. Kiedy mam twarz spuchniętą.

MATAŁKOWSKA. Także się panna z tą fluksją wybrała.

KASJERKA. Tutaj takie przeciągi.

MATAŁKOWSKA. A czemu ja mam gębę prostą? bo znam swój obowiązek i zanadto gości szanuje, żebym z podwiązaną twarzą za bufetem siedziała. Jak mi panna jeszcze raz spuchnie, to oddam kaucję i proszę się wynosić z interesu.. Ja mam dzieci i... *(do pierwszego gościa, który podchodzi do bufetu)*. Pan dobrodziej smirnówki, czy angielskiej gorzkiej... a może śliwowicy?...

1. GOŚĆ. Ja tu ze skargą — te panie kelnerki, to tylko szast prast — a usługi żadnej. Musztardy mi dała, ale pusty słoik, o! niech pani osądzi... *(Wpycha pod nos Matałkowskiej słoik)*.

MATAŁKOWSKA. Panie łaskawy — ja moje kelnerki dobrze tresuję i goście sobie je bardzo chwalą.

1. GOŚĆ. Może młodzi, ale starzy to nie.

MATAŁKOWSKA. Co pan chce — młodość do młodości ciągnie...

1. GOŚĆ. A do stu tysięcy djabłów, napisz pani, że tu tylko młodym usługują... *(Odchodzi rozłoszczony).*

KLOCIA *(pomiędzy grupą gości przy drzwiach).* Może podać szampana?

GOŚCIE. Nie! Nie!

KLOCIA. Micret-żen... po 3 ruble... Jak Bozię kocham, panowie się nie zrujnują.

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami — Nikiforof — Agafonof — Strełkof

(wchodzą w szynelach pijani — Nikiforof, kornet od dragonów w długim szynelu, w białej czapce bez daszka — skrzyżowane rzemienie białe na piersiach od szabli, ale jest bez szabli, ładny, młody, wysoki — buty i duże dzwoniące ostrogi. — Agafonof, niemłody, typ tatarski, mundur piechoty warszawskiego pułku. — Strełkof, młody, bardzo brzydki, włosy na jeża, ogolona twarz, zgrabny, mundur konnej artylerji. — Wchodzą z szumem i hałasem, przechodząc kłaniają się na prawo i na lewo gościom i przesuwając się pomiędzy stołami powtarzają „Pardon — winowat — izwinitije").

JÓZIA *(biegnąc na ich spotkanie).* Dzień dobry panom oficerom!

KAZIMIERZ *(do kolegów).* Wstańmy i chodźmy! Oni są już pijani — lepiej się nie narażać.

MARJAN. Ani myślę.. cóż oni mogą chcieć od nas... nie zwracajmy na nich uwagi...

KAZIMIERZ. Pamiętaj, że walka nierówna.

MARJAN. Ja też walczyć nie myślę. Skończę swój kotlet, zjem kawałek sera i pójdziemy gdzieindziej na czarną kawę.

KAZIMIERZ. Chciałem odprowadzić Józię.

MARJAN. Odprowadzisz ją jutro... zresztą ona teraz zajęta — nie ma czasu.

(Oficerowie zajęli stół środkowy).

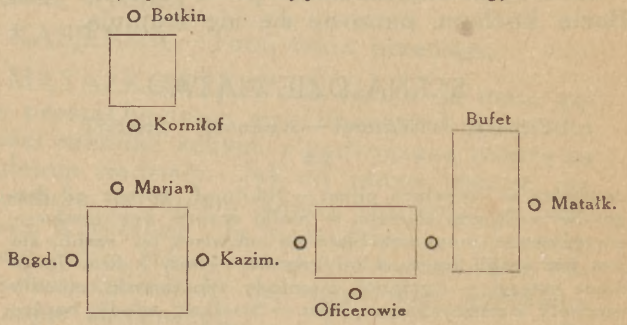

JÓZIA *(do Strełkofa)*. Ma pan oficer zielone?

STREŁKOF. Zabył...

JÓZIA. To pan przegrał.

STREŁKOF. Tamu ja rad.

NIKIFOROF. Panna! a daj panna co pić.

JÓZIA. A co?

NIKIFOROF *(b. pijany)*. Szampańskoje —

a cóż innego? co my możemy pić?... my nie psy, żeby wodę chłapać.

JÓZIA. Ile butelek?

NIKIFOROF. Co to ile? tyle co każę *(tłucze kieliszek)* a to na początek!

AGAFONOF *(pijany)*. Grigoryj Antonowicz — gałubku nie bij! nie bij! a to także taka toska i mnie za serce chwyta! że i ja zbiju, całą pasudu, a potem budiet szkandal...

NIKIFOROF. Ty Juryj Iwanowiczu jesteś prosto pijany... szkandału być nie może, bo ja jestem kawaleryst... o!... do mnia nikt nic nie ma *(tłuczę szklankę)*. Ja pić z takiej pasudy gdzie byle pierwsze prachwosty mordy maczały — nie będę... Niech mi dadzą inną pasudę...

STREŁKOF *(do Józi, która przyniosła szampana)*. Panna z nami się napije? Ha?

JÓZIA *(oglądając się na Kazimierza)*. Ja obiecałam już tym panom...

STREŁKOF *(gwałtownie)*. Co to obiecałam? Ja pierwszy. Ja w pannu wlublon do biezumja... panna będzie tu siedzieć, a potem ja panne do domu odwiozę.

JÓZIA. Kiedy proszę pana — tamten pan to się chce gwałtem ze mną żenić... Jak Bozię kocham!

STREŁKOF. Co to żenić!... ta głupstwa! panna Józia powie, żebym się zariezał — to

się zarieżu... a niech mi nikt w drogę nie wchodzi, bo go butem rozgniotę *(kopie nogą i bije pięścią w stół)*.

GOŚCIE *(koło drzwi zmięszane głosy)*. Zaczyna się heca! chodźmy lepiej do domu! Niebezpiecznie! E, zostańmy.

MATAŁKOWSKA *(do kelnera)*. Niech Wierciołek poprzynosi i postawi im te wybrakowane talerze i szklanki.

(Kelner odchodzi).

MATAŁKOWSKA *(idzie do drzwi do dzieci)*. Zamknijcie się na klucz! otworzycie tylko wtedy, kiedy ja zastukam *(wraca)*. Matko Boska miej nas w swojej opiece!

NIKIFOROF *(pijąc)*. Kawaleryst — o! to chluba armji, a cóż ty Juryj Iwanowiczu — ty piechotnyj... ty ot... prjamo nic... Gdzie u ciebie szpory? Gdzie szpory? a u mnie angielskie... Ja za nich pięć razy areszt odsiadywał, a wsio taki ich nie snimu... Pustiaki *(tłucze szklanki i kieliszki, przyniesione przez kelnera i podstawione mu pod łokieć)*.

AGAFONOF *(z płaczem)*. Ty praw gałubczyk, że mi od piechoty wymyślasz — no sztoż diełat!... ja syn biedaka... sam biedniaszka — ot nie było za co kawaleryjskie uczyliszcze kończyć... Tak postupił w piechotę no wsio ja taki kapitan?

(Zaczyna śpiewać):

Zapregu ja trojku borzych
Tiomno sierych łoszadiej
I poniesusia w nocz morożnoj
Priamo k'lubuszkie mojej.

STREŁKOF *(do Józi)*. A ja pannie mówię po raz ostatni — jak mnie panna lubić nie będzie, to ja ubiju i pannu i siebia i tawo — co za pannoj biędzie uchażywał.

JÓZIA. Co ta pan straszy.

STREŁKOF. Jej bohu tak zrobię... ja już takoj z rodu — ja to co chcę, to muszę mieć, chadźby i da piekła pójść.., Panna Józia biędzie mnie lubić...

PUŁK. KORNIŁOF *(do Botkina)*. To Strełkof.

BOTKIN. Tak — porucznik — *(śpiew)*.

NIKIFOROF. Batiuszka! przestań pieć trojkę... Hej tam tapper... Kamarynskoj! Panna zanieś mu bumażkę... Kamarynskoj!

AGAFONOF *(śpiewa w dalszym ciągu)*. Hej wy konie mołodyje...

NIKIFOROF. Kamarynskoj! bo wam budę rozniosę...

MATAŁKOWSKA *(do kelnera)*. Każ grać co chcą, bo będzie z tego skandal.

(Frajman zaczyna grać Kamarynskoj. — Wszyscy goście powoli się uciszyli).

BOGDAŃSKI. Chodźmy już, bo się uduszę!

MARJAN. Zaraz, tylko ser skończę.

BOGDAŃSKI. Podziwiam twój brak nerwów.

MARJAN. A ja podziwiam, że to na ciebie jeszcze działa.

KAZIMIERZ. Chodźmy! Józiu! płacić.

STREŁKOF *(wyzywająco)*. Panno Józiu!

(Józia niezdecydowana stoi pomiędzy nimi).

KAZIMIERZ: Ile się należy?

JÓZIA *(biegnie do bufetu)*. Zaraz *(do Matałkow)*. Niech Wierciołek idzie po pieniądze, a mnie niech pani schowa.

MATAŁKOWSKA. Wierciołek przed okno— płacić — chodź za bufet.

(Józia wbiega za bufet i przyklęka).

STREŁKOF *(wyzywająco do Kazimierza)*. Panowie już idą! panowie nie lubią kamarynskoj? panowie odchodzą?

(Polacy milcząc zabierają się do odejścia).

STREŁKOF *(j. w)*. Panowie może do nas się przysiądą i trochę zabawią... bakał szampanskawo ad czistawo sierca.

KAZIMIERZ. Nam do domu pora wracać... panowie nas przepuszczą...

STREŁKOF *(z wybuchem gniotąc butem kieliszek)*. Ad czistawo sierca ofiaruju bakał, tak należy go przyjąć — inaczej to obraza... Niki-

UJK Biblioteka Główna w Kielcach

forof — słyszysz... ci panowie nie chcą napić się z nami.

(Botkin i Korniłof w głębi powstali — wszyscy goście w milczeniu powstają, niektórzy chyłkiem się wynoszą — dziewczyny uciekają za bufet).

MATAŁKOWSKA *(zdejmując prędko z bufetu szkło)*. Zdejmujcie klosze... prędzej... gasić dużą lampę... *(kasjerka gasi lampę na bufecie)*. Chować kompotierki pod bufet...

DZIEWCZYNY. Jezus Marja!

MATAŁKOWSKA. Cicho głupie!

NIKIFOROF. Nie chcą pić? gdzie szaszka? *(szuka szabli)*. Kawaleryst ich nauczy...

BOGDAŃSKI. Nie wiem kto kogo!

STREŁKOF. Można się przekonać...

MARJAN. Do stu djabłów, dość tego!

AGAFONOF *(powstrzymując Strełkofa)*. Aloszka! bracie... co ty robisz!

STREŁKOF. Pusti mienia! ja ich nauczu...

(Hałas — nagle pomiędzy nimi staje Korniłof).

PUŁK. KORNIŁOF. Pażałujsta!... patisze!...

(Oficerowie się usuwają... Botkin podchodzi do nich i mówi im coś do ucha).

NIKIFOROF. Mnie to wsio rawno. Ja kawaleryst, on do mnie nic.

KORNIŁOF. Patisze!... *(surowo patrzy na nich — oni mimowoli pod tym wzrokiem się cofają — podchodzi do Polaków i mówi bardzo grze-*

cznie). Panowie najlepiej zrobią, jeśli pójdą stąd zaraz... walka nierówna... ja panów przeprowadzę...

BOGDAŃSKI. Ależ...

KORNIŁOF. Duma nie pozwala? wiem wiem! panowie dumni — nie chcą ustąpić z placu boju — ale panowie są rozumni i trzeźwi — panowie wiedzą, że to miejsce nie do boju — panowie wyjdą... tędy... ja proszę... do rozumu mówię!...

KAZIMIERZ. To pan? pan?

KORNIŁOF. Ciszej... pan mnie nie znasz!

KAZIMIERZ. Ależ...

(Korniłof przeprowadza ich, trzymając wzrokiem na uwięzi oficerów).

KORNIŁOF. Pan mnie nie powinieneś znać... *(powraca do oficerów).* A panowie mogą dalej kutit!... proszę bardzo!... grajcie kamaryńskoj... panowie się będą bawili... *(zabiera swój kapelusz i mówi do Botkina).* Proszę tu jeszcze zostać... może pan być tu potrzebny... *(cicho).* Żegnam... do świdanja... *(kłania się uprzejmie pani Matałkowskiej i kasjerce i wychodzi).*

STREŁKOF *(do siebie).* Prachwast żandarm! zacziem on siuda priszoł *(siadają po stołu — muzyka gra Kamarynskoj — goście wyszli — światła na pół pogaszone).*

NIKIFOROF. Jeszcze butelkę! — kawaleryst funduje!

AGAFONOF. Aloszka! gołubczyk... spiej ty łuczsze sa mnoj.

Jedu... jedu, jedu k'niej,
Jedu k'lubuszkie mojej!
Propadaj moja telega
Wsie czetyre kolesa!

STREŁKOF (*po śpiewie*). Józia! gdzie ty!... ha? skryła się!... ha?

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia skromnie umeblowany pokój jadalny. Na środku stół okryty ceratą, krzesła dokoła. Lampa wisząca zapalona. Po lewej piec. Po prawej i po lewej drzwi. W głębi drzwi do przedpokoju. Szafy do sukien, kilka kufrów. Na ścianach sztychy. Pod piecem owinięta siedzi Anna Lasocka. Trzyma w ręku książkę, lecz jej nie czyta. Zegar bije siódmą. Z przyległych drzwi (lewa strona) wychodzi Bogdański.

SCENA I.

(Anna — Bogdański).

ANNA *(po chwili)*. Skończył pan dziś wcześniej lekcję, niż zwykle.

BOGDAŃSKI. Chłopcy dziś byli pojętniejsi, niż zazwyczaj, a może uważniejsi...

ANNA. Ja sądzę, że zdrowsi. Położyli się wcześniej spać, więcej umysł ich miał czas wypocząć.

BOGDAŃSKI. Może....

ANNA. A może pan dziś mówiłeś do nich jaśniej, spokojniej i to na nich oddziałało...

BOGDAŃSKI. Tak — masz pani słuszność. Czuję się dziś jakoś rzeźwiejszym, niż zwykle.

Mam w sobie cały zapas życia i nadziei... Czy mi pani pozwolisz usiąść koło siebie?

ANNA. Usiądź pan — i ja lubię mieć pana obok siebie, tembardziej dzisiaj.

BOGDAŃSKI. Dlaczego dzisiaj?

ANNA. Sam pan mówiłeś, że czujesz się dzisiaj rzeźwiejszym i pełnym nadziei.

BOGDAŃSKI *(siadając obok niej)*. Czy pani dziś zwątpiłaś?

ANNA. Jestem przedewszystkiem kobietą, a więc wpływy zewnętrzne działają na mnie z podwójną mocą. — Dziś nietylko, że jestem smutna, ale...

BOGDAŃSKI. Dlaczego pani urwała? Czy ja nie zasługuję na pani zaufanie?

ANNA. Cóż za pytanie!... Jesteś pan moim najlepszym przyjacielem — po Kazimierzu.

BOGDAŃSKI. A — tak! po Kazimierzu.

ANNA *(z uśmiechem)*. Nie możesz pan chcieć, aby było inaczej. Mój przyszły mąż musi być najlepszym przyjacielem moim.

BOGDAŃSKI. Chcesz go pani zanadto hojnie obdarzyć. Oddaj jemu swą miłość — mnie przyjaźń.

ANNA. Nie, nie. W miłości nie pojmuję jakiegoś wyjątku. Miłość musi koncentrować w sobie wszystkie uczucia. Jestem pewną, oh! najpewniejszą, iż Kazimierz kocha mnie

tak samo, wyłącznie, niepodzielnie — całą głębią swej duszy. Ja powinnam mu odpłacać podobnie; wszystko, co jest najlepszego we mnie, włożyć w miłość jaką mam dla niego *(po chwili z wielkim wdziękiem, lecz bez cienia kokieterji)*. To zaś, co z zaufania, z wiary, z sympatji gorącej i szczerej pozostanie mi jeszcze w duszy — oddaję panu... Nie skarż się, wierz mi, że to, co daję, to bardzo wiele, to... dużo!

BOGDAŃSKI (*ściskając jej rękę*). Dziękuję — dziękuję... Jesteś dobrą o!... tak bardzo dobrą, że chwilami... (*urywa — pociera ręką po czole*) chwilami... (*milczenie*).

ANNA. Jak wiatr w piecu jęczy, skarży się i zawodzi...

BOGDAŃSKI. Tak — dziś bardzo chmurno i smutno na dworze.

ANNA. Co robiliście wczoraj? Dlaczego tak późno przyszliście do Elsenów?

BOGDAŃSKI. Pracowaliśmy.

ANNA. Kazimierz był z wami?

BOGDAŃSKI. Był.

ANNA. Wydał mi się wczoraj szczególnie zdenerwowany i rozdrażniony. Pytałam go o przyczynę — zbył mnie milczeniem. Czy pan nie wiesz? czy nie spotkało go co nieprzyjemnego?

BOGDAŃSKI *(krótko)*. Nie sądzę. Ale — ale—(*ciszej*) czy dostałaś pani nową przesyłkę?

ANNA. Dostałam wczoraj.

BOGDAŃSKI *(przysuwając się)*. I cóż?

ANNA. Przejrzałam dość skrupulatnie. I przyznam się panu, jestem rozczarowana. Obiecywałam sobie po tem wydawnictwie wiele. Sądziłam według listownych zapowiedzi, że wreszcie znajdzie się ktoś, co potrafi rzecz tę umiejętnie i uczciwie napisać. Gdzie tam! Szumna frazeologia i nic więcej.

BOGDAŃSKI. Dziwna rzecz, jak ci ludzie pisząc, tracą z oczu główny cel i dają się unosić chęci popisania się swoją erudycją.

ANNA *(z zapałem)*. Tak! tak!... zamiast jasno, bez oddechu zawiści, który w prostym ludzie zawsze niewiarę budzi — przemówić do tego chłopskiego rozumu, jako do potężnej siły w tych sprawach — oni szkodzą tylko, rozdmuchując pojedyńcze i małostkowe urazy, szkodzą fatalnie i opóźniają to, co przyspieszyć powinni...

BOGDAŃSKI. Gdzieżby jednak ci panowie umieścili swoje skarby wiedzy — przecież się muszą z niemi popisać.

ANNA *(j. w.)*. Nie — nie — do prostej duszy trzeba mówić jasno, prosto i trzeźwo. I przedewszystkiem rozjaśniając sytuację, łagodzić popędy dzikości i nienawiści. Wierz pan — nie umiem ci tego powiedzieć, ale tu trzeba spokoju i powagi mężczyzny z deli-

katnością uczuć kobiecego instynktu... Nie wiem, czy mnie pan rozumiesz...

BOGDAŃSKI *(patrząc na nią z uwielbieniem)*. Rozumiem cię doskonale, panno Anno, i zdaje mi się, że ty jedna potrafisz połączyć w sobie te dwa pierwiastki. Spróbuj — napisz cokolwiek...

ANNA. Ja? — O nie, nie potrafię... Ale gdyby...

BOGDAŃSKI. Gdybym — ja?

ANNA. Nie! gdyby Kazimierz chciał — on jeden. Tak! on jeden mógłby to uczynić.

BOGDAŃSKI. Tak — ale Kazimierz nie zechce, nie może...

ANNA. Wiem. wiem! Ale ja nie tracę nadziei. Kto wie, może po naszym ślubie — gdy będziemy ze sobą bliżej, ściślej złączeni, dawne jego ideały i wiara powróci — kto wie.

BOGDAŃSKI. Może! *(po chwili)*. Gdzie pani broszurki schowała?

ANNA. W moim pokoju — na piecu wysoko! Nie znajdzie nikt. Gdyby pani Korbiel dowiedziała się lub wpadła na ślad — biedna kobieta — wymówiłaby nam mieszkanie.

BOGDAŃSKI. Dziwić się jej nie można. Wdowa, troje małych dzieci. Ona zna tylko swój obowiązek.

ANNA. Już i tak krzywem okiem patrzy na nasze literackie zebrania. Skarży się, że

za długo w nocy siedzimy. Zaproponowałam jej, że się przeniesiemy do pokoju Kazimierza, który jest od nas oddzielony tylko kurytarzem. Lecz poczciwa pani Korbiel znalazła, że to będzie nieprzyzwoicie i wolała już z rezygnacją oddać nam w posiadanie jadalny pokój.

SCENA DRUGA.

(Ciż sami — Marta, młoda, ładna dziewczyna, wbiega osypana śniegiem do przedpokoju i tam strzepuje ze siebie śnieg śmiejąc się).

MARTA (*w przedpokoju*). Święty Marcin! Święty Marcin na białym koniu przyjechał!

ANNA. Maciu! — co robisz — wszystkie ubrania zamoczysz.

MARJA (*j. w.*). Święty Marcin! Święty Marcin! (*wpada*). Patrz na moją grzywkę — posypana brylantami! ho! ho! topi się — będę ładnie wyglądała. Pójdę i zafryzuję się. Dzień dobry panu!... wiesz, ślisko na ulicy — przewróciłam się — tu pod samym domem — jakiś oficer mnie podniósł i mówi: „madmoisel's wam niczewo nie słuczyłoś?“ — a ja jemu: „niets gaspadins pałkowniks...“ I szust do bramy... A on został przed bramą. No... idę do swego pokoju. Kazio wrócił? nie? miał być o siódmej! A! macie tu sucharki! hi! hi! podusiłam je, padając i farba się z niemi zmięszała... Ja zaraz przyjdę... (*wybiega na prawo, rzucając na stół pakiet z sucharkami i kilka*

blaszanych tubek z olejnemi farbami. Anna zbiera to wszystko, niesie na kredens i układa na talerzyku sucharki).

BOGDAŃSKI. Szczególniej strzeż się pani, aby ta mała roztrzepanica nic nie znalazła.

ANNA. O nie! naprzód powiedziałaby Kazimierzowi, a potem — to dobre, ale serdeczne głupiątko.

BOGDAŃSKI. Daj mi pani tę całą paczkę do domu. Ja przejrzę... może się przecież coś wybierze... a potem spalę.

ANNA. Nie — lepiej przyjdź pan jutro! Masz pan cały dzień wolny, bo to niedziela. Przejrzymy razem i spalimy.

SCENA TRZECIA.

(Ciż sami — Kazimierz — później pani Korbiel i Dziunia).

KAZIMIERZ. Dobry wieczór! (*całuje Annę w rączkę*). Cóż tu spiskujecie?

ANNA. Dziwimy się, że już ósma, a ty jeszcze nie przyszedłeś.

KAZIMIERZ. Wymówka?

ANNA. O! cóż znowu — to żart!

KAZIMIERZ. Dostałem znów nową lekcję. Będę musiał częściej wieczorami wychodzić.

ANNA. Usprawiedliwienie?

KAZIMIERZ. Nie... tylko... *(urywa)*. Jeszcze niema nikogo?

BOGDAŃSKI. Jestem ja i twoja siostra.

KAZIMIERZ. O! wy się nie liczycie — wy jesteście domowi. Gdzież Macia? Dostałem list z domu — od mamy — chciałbym go jej przeczytać.

ANNA. Macia jest w swoim pokoju — zaraz ją zawołam.

KAZIMIERZ. Zaczekaj jeszcze chwilkę. Czy pani Korbiel jest u siebie?

ANNA. Tak.

KAZIMIERZ. Muszę z nią pomówić. Chciałbym bowiem powiedzieć jej, że od piętnastego wyprowadzam się...

ANNA. O... *(po chwili)*. Czy i Macię zabierzesz ze sobą?

KAZIMIERZ. Nie — Macia niech mieszka obok ciebie, jak dawniej. Ty jedna umiesz przemówić do jej rozsądku... Ja zaś wyprowadzam się — bo... bo... zresztą mam powody.

ANNA *(kładąc mu rękę na ramieniu)*. Nie pytam o nie. Wierzę.

KAZIMIERZ *(całuje ją w rękę)*. Dziękuję. Jesteś dobrą i wyrozumiałą.

SCENA CZWARTA.

Ciż i Pani Korbiel. (35 letnia kobieta, ubrana skromnie, ze szczoteczką do czyszczenia lamp i ściereczką, w fałdach jej sukni kryje się mała dziewczyna, skromnie odziana i na chwilę od matki nie odstępuje).

PANI KORBIEL. Dobry wieczór państwu! Ach, ta Magdalena — zapaliła lampę i szkiełka nie oczyściła...

ANNA. Ja oczyściłam...

P. KORBIEL. Ale z pewnością rezerwoaru nie obtarła — państwo pozwoli? ja otrę... Dziunia, nie plącz mi się pod nogami... państwo pozwoli? (*obciera lampę*).

BOGDAŃSKI. Pani pozwoli — ja panią wyręczę.

P. KORBIEL. Gdzie zaś? Pan mężczyzna — to babska robota.

KAZIMIERZ. Pani Korbiel — mam pani powiedzieć dwa słowa.

P. KORBIEL. Proszę pana... ale może pójdziemy do kuchni, bo tam dzieciom narządziłam herbatę, a chłopcy zaczęli się bić, gdy wychodziłam, więc... państwo daruje...

KAZIMIERZ. Dobrze — dobrze — ja z panią pójdę... (*wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

Anna, Bogdański, później Kazimierz. (Anna i Bogdański patrzą na siebie w milczeniu — po chwili).

BOGDAŃSKI *(biorąc Annę za rękę)*. Niech pani nie pozwoli mu się wyprowadzić z tego domu.

ANNA. Jakże to uczynić? Będzie sądził, że mu nie ufam.

BOGDAŃSKI *(z wybuchem)*. A to niech sądzi! Ale niech się nie wyprowadza. Zrozumie pani, iż kobieta nie powinna być nadto delikatną w postępowaniu z człowiekiem, którego kocha... Inaczej te subtelności obrócą się przeciw niej samej!!!

ANNA. O! co pan mówi! co pan mówi!...

BOGDAŃSKI. Trzeba chodzić po ziemi — trzeba się nauczyć chodzić po ziemi, panno Anno. Chcesz dla drugich polepszać moralne i materjalne warunki bytu, zacznij więc od siebie.

ANNA. Czy to konieczne, aby od siebie?

BOGDAŃSKI. Konieczne — inaczej własny smutek zje ci siły i dla drugich walczyć nie będziesz w stanie.

ANNA. Co mam czynić?

BOGDAŃSKI. Broń swego szczęścia.

ANNA. Czy zagrożone?

BOGDAŃSKI. Broń swego szczęścia — powtarzam ci.

ANNA. A jeśli Kazimierz zrazi się wystąpieniem mojem?

BOGDAŃSKI. Zrazi go raczej bierna uległość. Widzieć w niej będzie chłód i zobojętnienie.

ANNA. Ależ on mnie rozumie.

BOGDAŃSKI. Być może.

ANNA! Dziękuję panu za radę — spróbuję zatrzymać go w tym domu. Lękam się jednak, że... e! zresztą — zobaczymy.

BOGDAŃSKI. Idę tam — pod pretekstem uspokojenia chłopców, których wrzaski aż tu dolatują. Pozostanę w kuchni i przyślę go pani. No... odwagi i więcej siły... (*wychodzi*).

ANNA (*sama*). Bronić szczęścia? (*po chwili*). Bronić? — przed kim? skąd niebezpieczeństwo?

SCENA SZÓSTA.

Anna — Kazimierz.

KAZIMIERZ (*zakłopotany*). Macia jeszcze nie przyszła? Zawiele kokieterji w jej wieku. Zdaje mi się, że zbudziło się w niej serce i kieruje się w stronę Marjana. Nie uważałaś tego, Anno?

ANNA. Nie uważałam.

KAZIMIERZ. To dziwne. Ty zdajesz się znać dokładnie serca ludzkie. Chwilami zdaje mi się, żeś ty przeżyła cztery razy swoje lata — tyle w tobie powagi i doświadczenia. Gdy sobie przypomnę ciebie dawną, wesołą, pustą, uśmiechniętą, aż żal mi doprawdy, że już nie jesteś taką, jaką byłaś.

ANNA. Któż tu zawinił? ty sam... Spędziłeś mi uśmiech z ust i wypłoszyłeś pustotę z serca. Nauczyłeś mnie myśleć inaczej, ukazałeś nędzę ludzką — kazałeś kochać — nie siebie. A więc tu wina twoja, nie moja. Pokochałam to, co ty kochałeś, co kochasz ciągle... i bezmyślnie śmiać się nie umiem.

KAZIMIERZ (*zrywa się i zaczyna chodzić niecierpliwie po pokoju*). Ach! dałabyś pokój ze wspomnieniami chwil, które jak ospa, albo szkarlatyna, każde z nas przebyć musi. Chorobę taką musową, konieczną, przeżyliśmy wspólnie i dziś powinniśmy trzeźwiej zapatrywać się na życie.

ANNA (*łagodnie*). Trudno zmienić to, z czem się już dusza zżyła.

KAZIMIERZ. Frazesy! zakaż swojej duszy przebywać w obłokach mglistych mrzonek i szkodliwego sentymentalizmu, a oduczy się łatwo i inaczej się na świat zapatrywać będzie... Cóż?... ja tak samo byłem porwany szałem, jak ty — i wytrzeźwiałem. Teraz pragnę dobić się kawałka chleba i zapewnić byt sobie i mojej rodzinie. Oto obecne mo-

je ideały *(po chwili)*. Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób? twój wzrok denerwuje mnie...

ANNA. To nie mój wzrok, ale słowa, które usta twoje wymawiają, a którym dusza neguje. Nie wiem, co wpłynęło na ciebie, ale od chwili wyjścia z cytadeli, zamiast zmężnieć i podnieść się na duchu, tyś upadł — pozornie. Ja chcę, ja muszę, wierzyć, iż tylko pozornie.

KAZIMIERZ. Chciałbym, żebyś trochę posiedziała w tej cytadeli, zmieniłabyś z pewnością swe zapatrywania, a twe ideały zbladłyby i kto wie, może bezpowrotnie znikły.

ANNA *(prosto)*. Nigdy!

KAZIMIERZ. Znów frazesy. Pamiętaj jednak Anno o co cię prosiłem. Nie mieszaj się nigdy w żadne sprawy, grożące ci niebezpieczeństwem. Jesteś tak egzaltowana, że pokryjomu przedemną gotowa jesteś dać się wciągnąć w jaką propagandę i nieszczęście będzie gotowe. Pamiętaj, że gdy dowiem się o czemś podobnem...

ANNA. Co wtedy?

KAZIMIERZ (*stając przed nią*). Wtedy...

ANNA. Porzuciłbyś mnie może?

KAZIMIERZ. Kto wie!

ANNA. Ah...

(Chwila milczenia).

KAZIMIERZ. Za nieposłuszeństwo... rozumiesz mnie Anno — za nieposłuszeństwo.

ANNA *(nagle)*. Nieprawda!... oczerniasz się tylko. To być nie może, ażeby to, co pod tchnieniem twojem wzrosło, mogło stać się przyczyną naszego rozdziału. Wszakże ja nigdy tak cię nie kochałam, jak przez ten rok, gdy byłeś w więzieniu. Byłeś mi wówczas tak drogi, tak święty...

KAZIMIERZ. Tak — świętość ta nie dawała jeść ani mej matce, ani mej siostrze. Jeszcze dziś płacę długi zaciągnięte w owej chwili...

ANNA. Jesteś zniechęcony, rozdrażniony — to widoczne. Postaram się jednak teraz ja z kolei, aby obudzić w tobie dawne twe myśli i wiarę. Czuję się do tego silną i siłę tę czerpać będę w tem, czem ty sam mnie uzbroiłeś.

KAZIMIERZ. Nie próbuj nawet... Nie uda ci się to... nie uda! Sama raczej przestań marzyć o niewdzięcznej pracy, niewdzięcznej i niebezpiecznej.

ANNA *(stanowczo)*. Nie przestanę.

KAZIMIERZ. Cóż to? bunt? Anno! nie poznaję cię. Byłaś mi zawsze tak uległą.

ANNA. Uległą w dobrem, nie w złem.

KAZIMIERZ. Skąd masz pewność, że uleganie złudzeniom jest dobrem? Kto ci to powiedział?

ANNA. Serce me i sumienie.

KAZIMIERZ. Nieprawda — egzaltacja i egoizm. Nic więcej. A zresztą ja nie chcę mówić wyraźnie, ale oprócz twej egzaltacji jest tu jeszcze coś, a raczej ktoś — kto mi ciebie buntuje i do szaleństwa popycha.

ANNA. Masz rację — jest to wspomnienie ciebie dawnego, takiego, jak byłeś przed cytadelą .. tego, który tutaj — w tym samym pokoju, przy tym samym stole prowadził mą duszę w świat czynu, wszechludzkiej miłości i społecznej pracy.

KAZIMIERZ *(żywo, chodząc po pokoju)*, Nie, nie, to nie abstrakcja... ale istota żywa, czynna i oddziaływująca na twój system nerwowy źle i szkodliwie. Ja go znam, ja wiem, kto on... ja...

ANNA. Kazimierzu, co ci przychodzi do głowy?...

KAZIMIERZ. Dlatego zdaje się, iż najlepiej zrobię, przestając mieszać się pomiędzy was dwoje...

ANNA. Jakich... nas?

SCENA SIÓDMA.

Ciż sami — Bogdański (ukazując się we drzwiach, staje nieruchomy).

KAZIMIERZ *(w pasji)*. Ciebie i... *(wskazuje na Bogdańskiego)* jego!

ANNA *(zasłania oczy).* A!...

(milczenie).

ANNA *(po chwili do Kazimierza).* Odchodzę do twej siostry — ty — spójrz jemu w oczy i powtórz raz jeszcze te słowa — jeśli... będziesz mógł.

(wychodzi na prawo).

BOGDAŃSKI. Co się stało! Anna tak pobladła — oczy miała łez pełne... dlaczego kazała ci patrzeć mi w oczy?

KAZIMIERZ *(po chwili wybuchu nerwowym płaczem i pada na krzesło koło stołu).* Oh! ja oszaleję!...

BOGDAŃSKI *(siada przy nim).* Hm! hm! źle z tobą, źle bardzo. *(Po chwili).* Dlaczego ty się chcesz wyprowadzić? Czy chcesz uciec od Anny, czy chcesz mieć więcej swobody? czy...

KAZIMIERZ. Wszystko — wszystko razem. Duszę się tu poprostu — ciągle spotykam się z waszymi wyrzutami. — O! jeśli nie słownemi, to w wzroku waszym czytam nieme wymówki za to, co wy nazywacie zdradą lub odstępstwem. Wy pozostaliście wierni dawnym przekonaniom — rozwijacie je w sobie, działacie — i w głębi dusz waszych macie dla mnie litość, tak litość... a kto wie, może pogardę za to, że mnie więzienie złamało i uczyniło prostym filistrem na dorobku... niczem więcej.

BOGDAŃSKI. Mylisz się, mój drogi. My przedewszystkiem cenimy wolność przekonań.

KAZIMIERZ. Tak się to mówi! Wy darować mi nie możecie, że... że otrzeźwiałem, że chcę żyć, jak inni, bez przygniatającego mnie ciężaru owej uspołeczniającej pracy. I ty i Anna, wszyscy jesteście przeciw mnie i dlatego nic dziwnego, że uciekam od was do knajpy, do...

BOGDAŃSKI *(cicho)*. Do Józi.

KAZIMIERZ. Tak — do niej, bo w jej głupich oczach oprócz cielęcgo zachwytu nad darowaną jej broszką nie widzę nic.

BOGDAŃSKI. I to ci wystarcza?

KAZIMIERZ. To musi mnie wystarczyć! Ja nie mogę żądać innych porywów... *(gwałtownie)* nie wolno mi, nie wolno... Ty wiesz... ja wychodząc z cytadeli dałem jemu słowo honoru, że się więcej niczem zajmować nie będę... Czego wy chcecie odemnie? czego?

BOGDAŃSKI. Powiedz Annie o tem słowie, które cię z władzą wiąże. Ona wtedy zrozumie, ona znajdzie w niem usprawiedliwienie dla twego postępowania.

KAZIMIERZ. Nie! Wam jednym mogłem, a nawet powinienem był powiedzieć, na jakich warunkach wypuszczono mnie na wolność. Wy — chłodniejszym rozumem obdarzeni, zrozumieliście mnie i rozgrzeszyli —

ona kobieta egzaltowana i marzycielka nie pojmie nigdy. Potępi mnie bez wahania.

BOGDAŃSKI. Nie znając prawdy, potępiać cię będzie nie mniej, choć powoli.

KAZIMIERZ. Wolę to i dlatego pragnę jej zejść z oczu.

BOGDAŃSKI *(wzruszony)*. Na zawsze?

KAZIMIERZ. Nie — na czas jakiś. Ja czuję, że ona w tej chwili działa, pracuje dla sprawy, i w ten sposób ma do mnie żal jeszcze większy... podwójny... Gdy się uspokoi — gdy się uspokoicie, ja do was wrócę. Przytem — jeszcze mnie coś stąd wypędza... ty wiesz...

BOGDAŃSKI *(cicho)*. Czy — znów?

KAZIMIERZ. Nie — dziś rano nie było nic — ale jestem przekonany, że wieczorna poczta przyniesie mi nową przesyłkę. Zdaje mi się, że jakiś demon snuje koło mnie sieć swoją. Chwilami myślę, że to może ktoś z dawnych mych towarzyszy, chcąc zemścić się za moje... odstępstwo, pragnie przerazić mnie.

BOGDAŃSKI. Szalony. Byłby to żart nadto niebezpieczny i straszny. Pocztą przesyłać podobne dokumenta..,

KAZIMIERZ. Tembardziej, że są to dokumenta szpiegowskie, zdradliwe na korzyść Prus! W głowie mi się miesza. Sądzę, że gdy zmienię mieszkanie...

BOGDAŃSKI. To dziecinna myśl — to nic nie pomoże.

KAZIMIERZ. Więc co czynić?

SCENA ÓSMA.

Ciż sami — Anna — Marta — potem Zosia — Marja Elsen.

(słychać dzwonek).

(Marta biegnie do przedpokoju, otwiera drzwi, za nią Anna wchodzi do pokoju).

MARTA *(w przedpokoju)*. No! nareszcie... już ósma... Dlaczego tak późno?

MARJA I ZOSIA. Dobry wieczór! nie mogłyśmy przyjść wcześniej.

ANNA *(przechodząc koło Kazimierza)*. Nie wstydzisz się twoich słów? *(Kazimierz w milczeniu bierze jej rękę i przykłada sobie do czoła)*.

BOGDAŃSKI. Bądź pani dla niego pobłażliwą; jego dusza jest bardzo chora.

(Panienki wchodzą do pokoju i witają się z mężczyznami i z Anną).

ZOSIA. Zimno mi — nie wzięłam futra i cała się trzęsę.

MARTA. Zbliż się do pieca — czekaj! dam ci moją chustkę orenburską. Ciepło ci w niej będzie, jak w puchu.

MARJA *(do Anny)*. Co dziś czytać będziemy?

ANNA. Pan Bogdański wybrał „Oblubienicę morza“ Ibsena.

MARJA. Ach! to historja tej kobiety, która całe swe życie marzyła i była nieszczęśliwą.

ANNA. Dlaczego mówisz, że była nieszczęśliwą? Może właśnie, żyjąc w świecie złudzeń, znalazła szczęście, którego na ziemi nie miała.

(dzwonek).

MARTA *(gwałtownie)*. Pan Marjan!!!

(Wszyscy się śmieją).

Marjan i Józef wchodzą do przedpokoju.

MARTA. Chodźcie — chodźcie marudery — przeczytamy choć jeden akt przed herbatą.

MARJAN. Spóźniliśmy się, bo dałem swoje buty do podzelowania, a nie mając drugiej pary, nie mogłem na bosaka przylecieć do was.

BOGDAŃSKI. A cóż na to twój papa miljoner?

MARJAN. Nie wie nic o tym fatalnym domowym wypadku. Pannie Marcie głębokie uszanowanie.

ANNA *(witając Józefa)*. Jak dobrze pan zrobiłeś, przychodząc dzisiaj do nas. Zebranie nasze zaraz się ożywi. Czytamy dziś Ibsena.

JÓZEF. Macie już dosyć Maeterlincka?

ANNA. Nie — ale nie mamy więcej przekładów pod ręką.

BOGDAŃSKI *(do Marji).* Kiedy pani jedzie do Zurichu?

MARJA. Zdaje się, że nie pojadę wcale. Za dużo tam panien na studjach za mąż wychodzi i ojciec mówi, że dla mnie nie potrzeba jechać tak daleko po to, aby się wydać za mąż.

(Wszyscy powoli zajmują miejsca dookoła stołu, — Marta rozdaje broszury — dodatki do „Przeglądu tygodniowego").

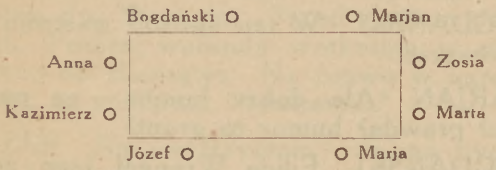

SŁUŻĄCA *(wchodzi — siwa — stara).* Czy podać samowar?

ANNA. Nie teraz. Ja sama powiem Magdalenie, kiedy będzie trzeba.

SŁUŻĄCA. Dobrze, proszę panienki *(wychodzi),*

BOGDAŃSKI *(czyta).* Oblubienica morza, dramat w pięciu aktach.

JÓZEF. Tytuł źle przetłómaczony.

MARJA. O proszę! tylko nie krytykujmy, bo nie dojdziemy nawet do pierwszej sceny.

JÓZEF. Więc według pani — oblubienica morza, to dobrze powiedziane?

BOGDAŃSKI. Cicho! *(czyta)* Osoby: doktór Wrangel — proszę cię Józefie — *(daje mu broszurkę).*

JÓZEF. Nie będę czytał Wrangla. Ja chcę czytać rolę nieznajomego.

ZOSIA. Cóż to za duch sprzeciwieństwa!

MARJAN. Ja już dawno prosiłem o rolę obcego. Będę mówił basem i przewracał oczy...

BOGDAŃSKI. W ten sposób nastroju nie wytworzycie.

MARJAN. Ale dobry humor — co panno Maciu? prawda? humor to grunt?

BOGDAŃSKI. Ellida Wrangel, jego żona. Kto?

KAZIMIERZ. To sama oblubienica morza — prawda?

BOGDAŃSKI. Tak.

KAZIMIERZ. Któż, jeżeli nie panna Anna!

MARJAN. Ależ naturalnie — nikt oprócz panny Anny roli tej czytać nie może.

WSZYSCY. Tak! tak!

BOGDAŃSKI. Boletta—Hilda — panna Zosia i panna Macia; Arnkolm — ja; Lyngstrand — Marjan; Ballested — panna Marja.

MARJA. Cóż to? znów będę czytać rolę mężczyzny?

BOGDAŃSKI. Musi się pani poświęcić Obcy — Kazimierz.

KAZIMIERZ. Dziękuję — dajcie mi coś nie tak abstrakcyjnego...

BOGDAŃSKI. Zamień się ze mną. A teraz goście i młodzież z miasta...

MARTA. Poprosić małych Korbielów... będą grali młodzież z miasta...

BOGDAŃSKI. Uwaga! — czytamy: „Akt I. Dom dra Wrangla. Przed domem dokoła ogród. Poniżej werandy wetknięte w ziemię drzewce od chorągwi. Na prawo w ogrodzie altanka ze stolikiem i stołkami...“

JÓZEF. Nie wytrzymam — to ma być po polsku? Altanka ze stolikiem i stołkami? Słyszysz, Marjan?

ANNA. Niech pan się uspokoi.

BOGDAŃSKI *(czyta)*. Ballested, mężczyzna w średnim wieku, odziany w starą kurtkę aksamitną.

MARJAN. To ja!

BOGDAŃSKI *(czyta)*. ...I artystyczny kapelusz z szerokiemi kresami — naciąga linę. Boletta Wrangel.

MARTA. To ja!

BOGDAŃSKI *(czyta)*. Wychodzi i niesie

w wielkiej wazie kwiaty i stawia je na stole. Boletta... no! panno Marto!...

MARTA. Aha! zaraz... bo to pan Marjan... zaraz... Aha! *(czyta)*. „Cóż panie Ballested — gładko idzie robota?“

MARJAN *(czyta)*. Dziękuję — nieźle. Przecież nie pracuję nad czemś zbyt ważnem. Czy pani oczekuje dziś jakich odwiedzin?

MARTA *(czyta)*. Tak, dziś przed południem ma do nas zawitać profesor Arnkolm. Przybył on tej nocy do miasta.

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami — pani Korbiel i Dziunia.

P. KORBIEL. Państwu nic nie potrzeba?

WSZYSCY. Ależ nic, nic.

P. KORBIEL. Chciałam się dowiedzieć — państwo daruje... *(cofa się)*.

MARJA *(czyta)*. Arnkolm? Za pozwoleniem — Arnkolm. Tak nazywał się nauczyciel...

P. KORBIEL *(wsuwa głowę)*. A lampa nie filuje?

WSZYSCY. A!

P. KORBIEL. Bo — może lampa...

WSZYSCY. Nie — nie...

P. KORBIEL. Państwo daruje... *(znika wraz z Dziunią)*.

MARJA *(czyta)*. Ten nauczyciel, który bawił tu przed laty?

MARTA *(j. w.)*. On właśnie.

MARJA *(czyta)*. Chcielibyśmy rozpiąć flagę, aby uświetnić jego przybycie. Czy mogę liczyć na pańską pomoc?

(Służąca wchodzi).

ANNA. Czego ty chcesz znowu?

SŁUŻĄCA. Briftreger przyniósł list do pana Kazimierza.

KAZIMIERZ *(zrywa się)*. O!

BOGDAŃSKI. List? no to niech go odda.

(W przedpokoju ukazuje się listonosz i oddaje list służącej — ona go niesie Kazimierzowi).

ANNA *(do Bogdańskiego)*. Patrz pan, jak Kazimierz pobladł.

BOGDAŃSKI. Zdaje się pani *(daje służącej drobne)*. Daj briftregerowi na piwo...

SŁUŻĄCA. Dobrze *(do briftregera)* Przejdźcie przez kuchnię, to wam będzie bliżej.

(Wychodzą).

MARTA *(przez ten czas śmiała się i dokazywała z Marjanem)*.. Ja panu mówię, że gdybym pana wzięła na egzamin, to pokazałoby się... kto z nas inteligentniejszy.

JÓZEF *(szybko do Kazimierza)*. Czy znów?

KAZIMIERZ. Tak!

(Rozrywa kopertę — wydobywa pod stołem, ale tak, że publiczność widzi cieniutki arkusik papieru i machinalnie skręca go w gałkę).

MARJAN *(przez ramię do Józefa)*. Powiedz mu, ażeby natychmiast spalił.

JÓZEF *(do Kazimierza)*. Spal!

KAZIMIERZ *(jak błędny)*. Tak! tak! zaraz trzeba...

MARJA. A więc czytamy dalej *(czyta)*. Wszak pani widzi, że już wszystko w porządku... *(mówi)*. No — panie Bogdański, kolej na pana, bo to informacje.

BOGDAŃSKI. A!... tak... przepraszam... nie uważałem — zaraz!

MARTA. Co się z wami stało? Pomieszani jesteście! co wam?

BOGDAŃSKI. Nic — nic! zaraz! *(czyta monotonnym, cichym głosem)*. Boletta wraca do pokoju. Wkrótce potem nadchodzi Lyngstrand drogą z prawej strony i staje zainteresowany widokiem stalugi i przyborów malarskich...

ANNA *(cicho do Kazimierza w trakcie czytania)*. Kazimierzu!

KAZIMIERZ *(drgnął)*. Co? Czego?

ANNA. Co ci się stało? dlaczego tak pobladłeś? o! nie przecz! — mnie oszukać nie możesz — *(po chwili)*, Ja się czegoś boję!

KAZIMIERZ *(wstaje)*. Ja zaraz powrócę...

ANNA *(głośno)*. Nie wychodź!.. tam jest nieszczęście za progiem!

(Dzwonek — wszyscy się zrywają — chwila milczenia).

BOGDAŃSKI *(szybko)*. Nie otwierać! Kazimierzu! daj zapałek — świecę!...

(Sługa biegnie do przedpokoju i otwiera drzwi. — W jednej chwili przedpokój wypełnia się żandarmami — Botkin — Agafonof).

JÓZEF. Zapóźno!

ANNA *(chwyta z ręki Kazimierza kulkę papieru i wsuwa ją sobie we włosy)*. Daj!

SCENA DZIESIĄTA.

Ciż sami. — Botkin — Agafonof — żandarmi — później pani Korbiel i dzieci.

BOTKIN *(wchodzi i kłania się — do żandarmów)*. Sprowadzić do tego pokoju wszystkie osoby, przebywające w mieszkaniu! *(żandarmi wychodzą — do służącej)*. Proszę tu wejść. Niech nikt z państwa nie rusza się z miejsca i proszę nie rozmawiać pomiędzy sobą.

(Milczenie, podczas którego wprowadzają żandarmi p. Korbiel na wpół żywą i dwóch małych chłopców w mundurkach).

P. KORBIEL. Panie generale! to pomyłka! my tu o niczem złem nie myślimy... my tu... Boże!... *(płacze)*.

BOTKIN. Cicho! Niech pani będzie cicho! Śledztwo wszystko wykaże... Tu był przed chwilą briftreger?

(Milczenie).

BOTKIN *(do p. Korbiel)*. Ja się pani pytam: czy był briftreger?

P. KORBIEL. Ja nie widziałam, panie generale. Ja byłam z dziećmi... kładłam spać Dziunię...

BOTKIN. Zresztą — to niepotrzebne.. My i tak wiemy, że briftreger był. Do kogo list przyniósł? *(milczenie — do sługi)*. Do kogo był list?

(Sługa milczy i płacze).

BOTKIN. I to niepotrzebne! — o! koperta!... — Pan Kazimierz Wielhorski. — Gdzie list? — pytam panów i pań, gdzie list? Ostrzegam, że opór na nic się nie przyda. Listu spalić nie mogliście... nie mieliście czasu — wreszcie nie widzę spalonych zapałek, a świecy niema w pokoju. O lampę zapalić trudno... *(milczenie)*. Raz ostatni pytam, gdzie list? *(milczenie — do żandarmów)*. Rewizja — papiery wszystkie z pokojów tu poznosić na stół Panów nazwiska?...

(Każdy kolejno wymienia nazwisko. Botkin zapisuje, przez ten czas żandarmi znoszą papiery, książki i układają paczkami na stole — wiążą sznurami i opatrują papierami z numerami).

1. CHŁOPCZYK. Mamusiu, to moje kajety i książki! z czem ja pójdę do szkoły?

P. KORBIEL. Cicho! cicho! ci panowie wam oddadzą wasze książki.

BOTKIN (*pochylony nad Magdaleną*). Jak się nazywacie? jak?

SŁUGA (*sługa zanosząc się od płaczu*). Magdalena Bobek.

BOTKIN. Panowie i panie, proszę nie utrudniać mi położenia. Proszę dobrowolnie oddać ten papier, bo będę musiał nakazać rewizję osobistą. To wielka nieprzyjemność, zwłaszcza, dla pań — niech się panowie zastanowią i unikną... ja czekam. (*milczenie — gniewnie*). Taki upór to tylko dowodzi śmiesznej głupoty. Ten papier się znajdzie, bo ktoś z państwa musi go mieć przy sobie! (*do żandarmów*). Wy wsio osmiotrieli — wiezdie?

1. ŻANDARM. Tak toczno, wasze wysokobłagorodje.

BOTKIN. Wziat! wieszczi służanki!

1. ŻANDARM. Słuszajus wasze błagorodje.

KULTIAPKIN (*wynosi z pokoju Anny tłumoczek z książkami*). Eto iz etoj komnaty.

BOTKIN. Położy w miestie.

1. ŻANDARM. Słuszajus wasze błagorodje.

BOTKIN. Więc panie i panowie nie chcą dobrowolnie wydać mi wiadomego papieru. Bardzo dobrze — prekrasno!... (*do Agafonowa*). Liczno!

1. ŻANDARM. Wołosy?

BOTKIN. U żenszczyzn — u mużczyn karmany.

(Żandarmi rzucają się do mężczyzn, ale nie brutalizując, w milczeniu obszukują kieszenie — tymczasem inni wyjmują z kieszeni grzebienie i zaczynają kobietom zaczesywać włosy. Magdalenie rozsypują się na plecy rzadkie, siwe włosy — pani Korbiel ma cienkie warkoczyki. Anna opiera się chwilę. Botkin widząc to, zbliża się do niej i sam bierze grzebień w rękę).

BOTKIN. Pazwoltie — ja sam!

ANNA. Ja nie chcę!

BOTKIN (*do żandarmów*). Dzierży ruki!

(Żandarmi przytrzymują ręce Anny).

KAZIMIERZ. Anno!

BOTKIN (*do Agafonowa*). Dzierży jewo!

(Z włosów Anny wypada kulka papieru).

BOTKIN. Wot, naszłoś... prekrasno! Nienużno bolsze... pardons... A teraz państwo wszyscy za mną... dzieci zostaną.

P. KORBIEL. Ja dzieci nie zostawię... one małe, panie generale — ja nic nie winna! — dzieci bezemnie zginą...

BOTKIN. Nic im nie będzie. — My o nich pomyślimy (*rozkłada papier i mówi do siebie*). No! no! jeszcze plany... kakije chytryje, a małodienkije wsie... (*głośno*). No! skareje rebiata! skareje! skareje!...

(Żandarmi wnoszą ubrania z przedpokoju, ubierają kobiety, które mają rozpuszczone włosy).

SŁUŻĄCA. I ja mam iść? O Jezu, a gdzie mnie panowie wlokom? Panowie mnie powieszom!...

(Dzieci płaczą).

P. KORBIEL *(z płaczem).* Panie generale! zlituj się! ja matka! ja nie mogę... może i u ciebie są dzieci!...

(Żandarmi wolno wyprowadzają wszystkich. Anna wysiłkiem wyrywa się i biegnie do Kazimierza, którego chwyta za rękę i mówi doń gorączkowo, cicho).

ANNA. Daruj! przebacz! sądziłam cię niesłusznie! Tyś pracował dla sprawy... dzięki ci... *(całuje go w rękę).*

BOTKIN. Ważmitie jego procz!

(Żandarmi uprowadzają Annę i wszystkich).

BOTKIN. Gdzie Kultiapkin? (*stary żandarm wychodzi na środek i staje w pozycji służbowej*). Ty żenat?

KULTIAPKIN Tak toczno, wasze wysokobłagorodje.

BOTKIN. U tiebia ditja jest?

KULTIAPKIN. Tak toczno wasze błagorodje — wot — toże takije malczyki — w kostromskoj gubernij...

BOTKIN. Prekrasno! *(do p. Korbiel).* Ten żandarm zostanie się przy dzieciach — on im rano da jeść i w południe także. On żonaty. *(do żandarma).* Wot tiebie diengi na kuszanje dla rebiat...

P. KORBIEL. Ja nie pójdę! ja nie pójdę!

BOTKIN *(tupiąc ostro nogą).* Ważmitie jejo siejczas!...

(Żandarmi siłą wyprowadzają panią Korbiel).

SCENA JEDENASTA.

(Dzieci i Kultiapkin. — Dzieci płaczą. — Kultiapkin się po trochu do nich przybliża).

KULTIAPKIN. No cztoż... panicze płaczą? za mamaszą? a wot i mała panienka płacze? Mamasza powróci!... jutro wróci... Niech się panicze mnie nie boją... u mnie także dieti jest... w kostromskoj gubernij... ja wam jutro pirog upiekę — jej Bohu... z kapustą, albo z warenjem, z czem wola... potom pajdiom gulat — U mienja toże ditja płakały, kak mnie wziali w sołdaty.

DZIEWCZYNKA. Ja chcę do mamy!

KULTIAPKIN. No cztoż diełat — pajdiom spat! — ha?

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Scena przedstawia salę audencjonalną u generała Horna. W głębi duże okna — w rogach konsolki z kandelabrami — dokoła krzesełka. Z lewej drugi plan główne wyjście — przy niem żandarm w pełnym uniformie. Drugi plan, lewo, wejście do pokojów Horna — po prawej drzwi zamknięte, poza niemi słychać ciągły śmiech, gwar kilku głosów kobiecych, piskliwych, mówiących po rosyjsku i od czasu do czasu fortepjan grający jakąś dość skoczną melodję. Słychać również brzęk srebra i szkła.

SCENA PIERWSZA.

Cztery kobiety, czarno ubrane. — Dyżurny żandarm. (Długa chwila milczenia; słychać grę na fortepjanie, rozmowę — wreszcie 1. kobieta, czarno ubrana, podnosi się i idzie do żandarma).

1. KOBIETA. Przepraszam pana, czy pan generał prędko nas przyjmie?

ŻANDARM. Siej czas.

(Kobieta siada — milczenie).

BOTKIN *(przechodząc przez scenę w mundurze żandarma — kobiety wstają — do kobiet)*. Pożałusta! — nie bezpakojties!

1. KOBIETA *(do drugiej)*. To nie generał.

BOTKIN (*do żandarma*). Generał adiu?

ŻANDARM. Niet nasza błahorodje — tam gaspadin prezident warszawskich tieatrow.

BOTKIN. Pałkownik Korniłof zdieś?

ŻANDARM. Da wasze wysokobłahorodje — oni izwolili idti na beletaż.

(Botkin idzie do okna, wyjmuje z poza rękawa papier i czyta — pauza).

2. KOBIETA (*wstaje i idzie do żandarma*). Przepraszam pana, czy my długo będziemy czekać? Pan generał prędko wyjdzie?

ŻANDARM. Siej czas.

2. KOBIETA. Dziękuję panu (*siada*).

(Drzwi otwierają się szybko i wchodzi Korniłof w sztabowym mundurze jako urzędnik do szczególnych poruczeń przy generale Hornie. — Kobiety wstają, on uprzejmie kłania się im i podchodzi do Botkina)

1. KOBIETA. To nie generał.

SCENA DRUGA.

KORNIŁOF (*do Botkina*). Dzień dobry — masz pan to, o co prosiłem?

BOTKIN. Tak. Trudno mi było wydostać, ale oto ów papier.

KORNIŁOF (*chowa papier w rękaw*). Dziękuję. Byłeś pan dziś w cytadeli?

BOTKIN. Byłem. Panna Lasocka ma się

lepiej, tylko ta pani Korbiel aż zachorowała z tęsknoty za dziećmi.

KORNIŁOF. To zwykłe — zwykłe — dać walerjanu. Nerwy — zresztą zrozumiałe. A inni?

BOTKIN. Wielhorski przeczy wszystkiemu — inni milczą — a panny przeważnie płaczą.

KORNIŁOF. Bromu i walerjanu. Jedzą?

BOTKIN. Młode — więc jedzą. Tylko sługa modli się i nic jeść nie chce.

KORNIŁOF. Nie przymuszać... nie przymuszać — głód sam zmusi. Ale — tę Lasocką strzedz najbardziej. Żadnej komunikacji. Wczoraj sortowałem ich papiery. Czy ta dziewczyna z restauracji dziś tutaj przyjdzie?

BOTKIN. Siedzi w kurytarzu.

KORNIŁOF. Dobrze... *(wyjmuje papier z rękawa)*. Czy to list prywatny Strełkofa?

BOTKIN. Tak! właśnie list pisany do tej panny Józi!

KORNIŁOF *(czyta)*. Droga moja myszko! Ja kocham cię, jak szalony i zabiję ciebie, siebie i tego, który śmie za tobą chodzić. Ja... *(mówi)* dobrze!...

BOTKIN. Ośmielę się jednak zwrócić uwagę, że ten list chyba nie ma nic wspólnego ze sprawą Wielhorskiego...

KORNIŁOF. Pan jesteś jeszcze młody i niedoświadczony. Pan widzisz tylko powierzchownie — a ja widzę głąb rzeczy.

SCENA TRZECIA.

Ciż sami — Wielhorska, później Aktor.
(Wielhorska biednie, czarno ubrana, wsuwa się nieśmiało i kłania się żandarmowi).

WIELHORSKA. Ja przepraszam pana, ale dziś podobno generała Horna można zobaczyć.

ŻANDARM. Saditieś rjadom. — Generał siejczas budiet prinimat.

WIELHORSKA. Dziękuję panu! (*siada nieśmiało na krzesełku — wchodzi aktor*).

KORNIŁOF. A.. to pan Olszyński? co?

AKTOR. Panie pułkowniku... kara za paszport — sto pięćdziesiąt rubli — skąd wezmę — gaży w ogródku mam na lato 60! Ratuj dobrodzieju!

KORNIŁOF. Tu nie pasportnoje otdielenje.

AKTOR. Ja wiem, ale gdyby pan pułkownik zechciał...

(Rozmawiają po cichu. Przez scenę przechodzi Prezes teatrów w generalskim mundurze i kieruje się ku wyjściu).

KORNIŁOF (*zwraca się do prezesa*). Zdrastwujtie Walentin Walentinowicz.

PREZES. Zdrastwujtie... a! ja zabył... Wot

siewodnia żur fix u generalszy; zajdu na minutoczku. *(Idzie ku drzwiom, za któremi słychać śmiechy i muzykę i wchodzi powitany okrzykami: zdrastwujtie — wot i on!).*

(Aktor kłania się uniżenie i wychodzi).

KORNIŁOF *(do Botkina).* Zejdź pan jeszcze na dół i pilnuj, aby ta dziewczyna stąd nie odeszła. Chcę koniecznie, aby generał dziś ją przesłuchał.

BOTKIN. Generał dziś w złym humorze.

KORNIŁOF. Nie mogę na to uważać. Tam w cytadeli dziewięć osób czeka — należy o tem pamiętać.

(Botkin wychodzi).

KORNIŁOF (*przypatrując się Wielhorskiej*). Ot! i jego matka! (*podchodzi do niej*). Przepraszam, pani pozwoli na chwilkę.

WIELHORSKA. Idę, proszę pana (*podchodzą naprzód sceny*).

KORNIŁOF. Pani Wielhorska?

WIELHORSKA. Tak... ja dziś przyjechałam z Włocławka... Panie, panie... mój syn... on nic nie winien... moja córka... i ona niewinna... (*dławi się łzami*).

KORNIŁOF. Jeśli niewinni, to się przekonamy. Proszę pani usiąść tu osobno i czekać na generała... Poznałem panią, choć od przeszłego roku pani się bardzo zmieniła...

Niech się pani uspokoi... Pani się nic nie stanie...

WIELHORSKA. Ja nie o siebie... ja o dzieci... czy one zdrowe? czy... żyją?

KORNIŁOF. Dzieci pani zdrowe. (*Odchodzi do pokoju Horna).*

(Milczenie, tylko słychać znów muzykę, śpiewy i śmiechy, głos kobiecy nuci „Razdzieli sa mnoj ty dolju").

1. KOBIETA *(do drugiej).* Pani dawno tu czeka?

2. KOBIETA. Półtory godziny.

1. KOBIETA. A ja przeszło dwie godziny.

2. KOBIETA. Panie mają kogo... tam?

1. KOBIETA. Tak! ja mam córkę — wróciła z zagranicy — tam się w coś zamieszała... wzięli... ja tu już ósmy raz.

2. KOBIETA. O pozwolenie zobaczenia się z nią?

1. KOBIETA. Tak! zimno już — chciałabym jej dać trochę ciepłego ubrania.

2. KOBIETA. Ja mam tam już drugi rok syna... ale przyjeżdżam rzadko, bo mieszkam aż za Kaliszem.

Cicho — prawie szeptem.

3- KOBIETA *(młoda).* Ja przyszłam pierwszy raz, chcę prosić za moim bratem, które-

go wydalili z górniczej szkoły w Dąbrowie... Ja nie wiem, czy ja zdołam przemówić słowo... ja się tak boję...

1. KOBIETA. Pan generał grzeczny człowiek... tylko...

2 KOBIETA. Och Boże! Boże! Tam przeszłego roku jedna panna popodrzynała sobie żyły kawałkiem szkła... *(zakrywa oczy i płacze)*.

1. KOBIETA. Tak, ja to słyszałam!

2. KOBIETA. Ja nie mogę spać w nocy — ja ciągle o tem myślę...

1. KOBIETA. Bóg będzie czuwał. Nie dopuści..

2. KOBIETA. Och moja pani! moja pani!

(Drzwi się otwierają, staje w nich generał Horn — za nim Korniłof i dyżurny drugi żandarm. — Kobiety wstają).

SCENA CZWARTA.

Ciż sami — Horn — Korniłof. (Horn podchodzi do każdej z kobiet, słychać jak półgłosem pyta: „Czto wam ugodno?..." — Kobieta cicho odpowiada: „Ja, panie generale o pozwolenie"... i t. d. Czwarta i trzecia podają papiery — on je oddaje dyżurnemu żandarmowi. W trakcie tego Korniłof podchodzi do Wielhorskiej).

KORNIŁOF. Ja uprzedziłem pana generała o pani przybyciu. Pan generał dziś jest rozdrażniony i bardzo na pani syna rozgniewany. Niech pani nie płacze przed nim, bo go to rozdrażni jeszcze więcej.

WIELHORSKA. Postaram się panie pułkowniku.

KORNIŁOF. Niech pani tak manewruje, żeby się pani pozostała ostatnia.

WIELHORSKA. Postaram się panie pułkowniku.

4 KOBIETA *(powoli, głos cokolwiek podnosząc)*. Oni mi dziecko maltretują w szkołach panie generale... ono robi, co może... uczy się, ja świadkiem — i ciągle złe stopnie...

HORN. Cóż pani chce, żebym jej na to poradził. Niech pani się uda do szkolnej władzy...

4 KOBIETA. Ja tu wolałam przyjść, bo pan generał jak zechce... to...

(zaczyna płakać).

WIELHORSKA *(do Korniłowa)*. Czy nie mogłabym moje dzieci zobaczyć?

KORNIŁOF. Teraz są pod śledztwem — niepodobna...

HORN *(do drugiej kobiety)*. Ja nie mogę tak często pozwalać na widywanie się. Pani ciągle tam chodzi.

2. KOBIETA. Panie generale... ubranie...

HORN. Niemożliwe, niemożliwe... a pani? *(podchodzi do trzeciej)*.

3. KOBIETA. Ja o brata... uczeń z Dąbrowy.

HORN. A... żeby przyjąć napowrót? Nu, ładno — uwidim, jakie będzie zdanie dyrektora szkoły.

3. KOBIETA. Dyrektor się godzi. — Powiedział, że to od pana generała...

HORN. Dobrze! dobrze! (*podsuwa się naprzód sceny ku Wielhorskiej, inne kobiety powoli wychodzą — do Wielhorskiej*). A wy madame?

WIELHORSKA. Panie generale... ja w sprawie mojego syna i córki... Ja byłam tu już w przeszłym roku... Pan generał mnie nie poznał?... Wielhorska.

HORN (*z pasją*). Ach! eto wy mat etawo — ostanties! (*do żandarma*). Idź skaži baryszni, sztoby nie pieła... i zakroj dwieri.

(Żandarm idzie ku drzwiom generałowej — śpiew ustaje — żandarm zamyka drzwi na klucz i zapuszcza ciężką portjerę, poczem wychodzi — pozostaje Horn — Wielhorska i w głębi w oknie Korniłof, udający, że patrzy na ulicę).

HORN (*chodzi po pokoju chwilę — wreszcie wybucha*). Jak on śmiał! Jak on śmiał! (*milczenie*). Pani wiesz, co pani syn zrobił?

WIELHORSKA. Nie, panie generale.

HORN. Pani syn zrobił podłość — podłość! Czy pani to słyszy?

WIELHORSKA (*po chwili wahania*). Mój syn mógł zbłądzić — ale nie popełnił podłości.

HORN (*wściekły*). Jak pani śmie zaprze-

czać? Ja wiem, co mówię. Podłość! Pani jesteś taka sama, jak twój syn... Pani się buntujesz, pani mnie zaprzeczasz... a jak się pani dowie, to pani włosy do reszty zbieleją ze wstydu...

WIELHORSKA. Z bólu — nie ze wstydu, panie generale!

HORN. Pani syn złamał słowo honoru... *milczenie*). Pani słyszy? on złamał słowo! Pan pułkownik Korniłof wypuścił go przeszłego roku z cytadeli jedynie na mocy słowa, jakie dał mu syn pani, że w nic więcej się mieszać nie będzie.

WIELHORSKA *(cicho)*. Wiem o tem.

HORN. Pułkownik Korniłof zrobił to na swoją odpowiedzialność i ręczył mi za pani syna.

WIELHORSKA. My byliśmy bardzo wdzięczni panu pułkownikowi.

HORN. Ładnieście objawili tę wdzięczność.

WIELHORSKA. Panie generale, to okoliczności musiały się tak złożyć, że mój syn nie mógł dotrzymać danego słowa.

HORN. Tak... wy wszyscy się lubicie zasłaniać okolicznościami. On niewinien! okoliczności winne... A tymczasem karę odcierpieć musi on. I w taką hańbę, w taki brud wdał się pani syn, że aż dusza się wzdryga

pomyśleć! (*do Korniłofa*). Opowiedz pani, o co chodzi. Ja mówić o tem nie mogę spokojnie.

KORNIŁOF. My już od miesiąca dostawali listy, że syn pani zdejmuje plany i donosi o tajnej mobilizacji wojsk na wypadek wojny.

HORN (*który chodził po pokoju — nagle*). Czemo wy prjamo nie skażetie? (*do Wielhorskiej*). Nas listy bezimienne ostrzegły, że pani syn — to prosty szpieg.

WIELHORSKA (*z krzykiem*). Kłamstwo!

HORN. Co to? jak pani śmiesz?

WIELHORSKA. Kłamstwo... mój syn mógł się dopuścić wszystkiego: spisku, buntów, propagandy, czy jak tam wy to nazywacie, ale on szpiegiem być nie mógł... to nieprawda! to nieprawda. Pan Bóg świadkiem, że to nieprawda!

HORN. Są dowody. Aresztowaliśmy go w chwili, gdy pocztą nadesłano mu plan nowo-gieorgiewskiej fortecy. Dowód mamy w rękach, choć ukryty był we włosach panny Lasockiej. Rano zawiadomiono nas, że syn pani wieczorem odbierze taką przesyłkę. Myśmy czuwali. (*milczenie*). I cóż? teraz już pani nie krzyczysz, że kłamię? nie przeczysz? ha?

WIELHORSKA. Ale nie mniej w głębi duszy w to, co mówię — wierzę.

HORN. Pani syn był szpiegiem prawdopodobnie płatnym...

WIELHORSKA. Oh!

HORN. I dobrze płatnym.

WIELHORSKA. Panie generale — zastanów się pan sam! Mój syn zapracowywał się — dawał korepetycje, robił korekty w jakiemś piśmie. Utrzymanie mojej córki, choć jeszcze dziecka, kosztowało trochę — chcieliśmy ją wykształcić jako tako, ażeby sama zarabiała na siebie cokolwiek. Ja tam we Włocławku bardzo, bardzo biednie żyję... robię kwiaty — ale dobrze nie umiem i oczy mam słabe... Skądże więc te pieniądze? — pomyśl pan, — my biedni...

HORN. To do mnie nie należy. Niemcy swoim agentom dobrze płacą.

WIELHORSKA (*nagle*). Niemcy? to dla Niemców? Ależ mój syn nienawidzi jeszcze więcej Niemców, niż was! (*chwila milczenia*). Przepraszam, panie generale.

HORN. Pani nam i sobie możesz oddać dużą przysługę. Pani się musisz zobaczyć z synem i... namówić go, aby nam powiedział, skąd brał plany, kto mu je przysyłał... On musi mieć wspólników — to nie ulega kwestji. Jeżeli pani potrafi go skłonić, żeby nam wszystko powiedział, kto wie?... może... (*milczenie*). Pani milczy?

WIELHORSKA. Za ciężki pan generał kładzie na mnie obowiązek.

HORN. Dlaczego? Pani matka potrafi do niego przemówić, popłakać, poprosić. Trzeba mu wiedzieć, że pani się zostanie sama jedna, że pani będzie ciężko, że pani źle już widzi... tak trzeba gadać, żeby coś z niego wydobyć... A zresztą to już pani rzecz. Umiecie dzieci swoje namawiać do złego, potrafcie teraz je wyratować... Niech się syn pani przyzna, a... my... już mu to jako folgę policzymy... może— ja sam nic nie obiecuję... Słyszy pani?

WIELHORSKA *(cicho)*. Słyszę.

HORN. Ja dam rozporządzenie, żeby zaraz panią powiedli do cytadeli — do syna — pułkownik Korniłof będzie obecny przy rozmowie. Niech pani pamięta, że syna pani, a może i córkę czeka Syberja, a jakby pani chciała pojechać za niemi, to na nic, bo oni i tam będą w zamknięciu... Skończyłem!

KORNIŁOF *(do Horna)*. Ja mam jeszcze dwa słowa powiedzieć panu generałowi.

HORN *(opryskliwie)*. W czem sprawa?

KORNIŁOF. Chciałem kogoś przesłuchać wobec pana generała.

HORN. Czasu nie mam.

KORNIŁOF *(z naciskiem, ale silnie)*. Pan ge-

nerał czas mieć musi. To właśnie w... tej *(wskazuje na Wielhorską)* sprawie.

HORN. Proszę odprowadzić panią na dół i proszę się wrócić tu na górę. Tylko prędko *(do Wielhorskiej)*. Pani może teraz dużo — niech pani nie warjuje — nie wmawia w siebie, że pani obowiązek to i to... Niech pani tylko zrobi, co obowiązek matki każe.

(Wielhorska się kłania i nagle wybucha cichym, stłumionym płaczem).

WIELHORSKA. Przepraszam... żegnam pana generała.

HORN. Pani mi jeszcze nic nie przyrzekła... pani mi nic nie obiecała...

WIELHORSKA. Ja nic... ja nic nie mogę— ja przepraszam pana generała.

(Łkając cicho, wychodzi — za nią Korniłof)

SCENA PIĄTA.

(Horn sam — później Korniłof. Horn chodzi po sali zamyślony — na fortepjanie w przyległym pokoju grają „Razdieli sa mnoj ty dolju". Horn siada na fotelu i mówi kilkakrotnie do siebie: „da! da! potem zaczyna w zamyśleniu gwizdać melodje. — Ściemnia się. — Korniłof wchodzi).

HORN *(budzi się z zamyślenia)*. To wy, Pie[illegible] trze Pawłowiczu?

KORNIŁOF. Ja.

HORN *(siedzi)*. Co mi macie do powiedzenia? Mówcie prędko — mnie strasznie newralgia dokucza. Cóż? Hę?

KORNIŁOF. Ja panie generale powiem panu krótko moje zdanie w sprawie Wielhorskiego. Ja rękę w ogień włożę, że on i ci wszyscy ludzie są niewinni.

HORN *(zrywając się)*. Wyście z rozumu zeszli Piotrze Pawłowiczu. Dowód jest na miejscu... złapany... czegoż więcej trzeba?

KORNIŁOF. To dowód materjalny, ale nie moralny.

HORN *(z gniewem)*. Wy Piotrze Pawłowiczu chcecie być zawsze mądrzejszym odemnie, od wszystkich, od całej żandarmerji. Wy powinni byli w filozofy pójść, a nie w żandarmy... Cóż? papieru z planem niema? co?

KORNIŁOF. Jest.

HORN. A nie do niego przyszedł?

KORNIŁOF. Tak.

HORN. Nu i co jeszcze?

KORNIŁOF. Ale ten papier z planem mógł przyjść pocztą tak samo do mnie, jak do Wielhorskiego, tak samo do pana generała. Papier cierpliwy — on pójdzie tam, gdzie go ślą...

HORN. Wy głupstwa gadacie. Przyciśnijcie tylko tego Wielhorskiego, a on się do

G. Zapolska „Tamten" (Lektor)

wszystkiego przyzna. Tak jest zawsze... oni się najczęściej przyznają.

KORNIŁOF. Można się przyznać, a winy nie popełnić...

HORN. Co? jak? Pan się ośmielasz krytykować i rzucać mi w twarz zarzut, że ja niewinnych skazuję?

KORNIŁOF. Panie generale — tylko Bóg jest nieomylny.

HORN *(wściekły)*. Ja także mogę być nieomylny... ja muszę być nieomylny — moja władza na nieomylności musi być oparta, inaczej nie ma racji bytu... *(chodzi po pokoju bardzo szybko)*. A ty, Piotrze Pawłowiczu, chcesz mną kręcić i nad generałem żandarmów przewodzić? Ty chytra jesteś sztuka, Piotrze Pawłowiczu!... Ty miałeś matkę Polkę, to ty masz swoje słabostki — ej ty! chytry!... Ot — urzędnik do szczególnych poruczeń... naszedł się... władca nad Hornem.

KORNIŁOF *(po chwili)*. Ja kilka razy prosiłem, aby mnie uwolnić od tych obowiązków i przenieść na prowincję albo do Petersburga. Pan generał raczy sobie przypomnieć, że sam nie pozwolił oddalić się z Warszawy.

HORN. Bo się do pana przyzwyczaiłem — ale teraz...

KORNIŁOF. Ja mogę dziś ustąpić, panie generale!

HORN *(z oczyma przymkniętemi)*. Piotrze Pawłowiczu!

KORNIŁOF. Słucham, panie generale.

HORN *(j. w.)*. Ty mówisz, że oni niewinni.

KORNIŁOF. Ja nic nie mówię, panie generale.

HORN *(j. w.)*. Hm! czort wie... Kogo to chciałeś w tej sprawie przesłuchać przy mnie?

KORNIŁOF. Oh!... dziewczynę z jednej restauracji. Chciałem światłego sądu pana generała w tej sprawie. Przytem pan generał ma potęgę wzroku, której ja nie mam — a taka potęga działa bardzo w badaniu.

HORN *(zadowolony)*. Tak! tak! ja wiem — ja mam rysi wzrok.

KORNIŁOF. Więc pan generał jest tego zdania, że należy przesłuchać tę kobietę?

HORN. Nu... tak...

KORNIŁOF. I pan generał każe mi być obecnym przy tem przesłuchaniu?

HORN. Możesz pan zostać.

KORNIŁOF. Choć namyśliwszy się — to wszystko zbyteczne. Wielhorski musi być winny, bo dowód jest..

HORN. Nu — tak co, że jest?

KORNIŁOF. To dowód, panie generale — to dowód!

HORN. Co z tego? to dowód materjalny, nie moralny.

KORNIŁOF *(z uśmiechem)*. Z pana generała filozof — nie... żandarm.

HORN. Nu — ja już taki. U mnie w głowie tak... ja się nie przerobię... A pan mi się nie sprzeciwiaj. Ja umiem prowadzić śledztwa i wiem, co robić. Pan mnie nie ucz!... *(dzwoni)*.

(Dyżurny żandarm wchodzi).

Przyprowadzić mi tę kobietę, co ją pan pułkownik zawezwał!

(Żandarm wychodzi).

(Po chwili). Pan ją zaczniesz badać... ja będę tylko pana pytaniami kierował. *(Siada)*.

KORNIŁOF. Według życzenia pana generała.

SCENA SZÓSTA.

Korniłof — Horn — Józia i Matałkowska.

KORNIŁOF *(do Józi)*. Proszę tutaj bliżej! *(do Matałkowskiej)*. A pani tu po co?

MATAŁKOWSKA. Panie generale! panie pułkowniku... ja przyszłam, bo chciałam powiedzieć, że w mojej restauracji nigdy się

nic złego nie dzieje. Ja sama pilnuję — pan generał się może przekonać... ja bardzo się boję, żeby z tej awantury jeszcze mi restauracji nie zamknięto...

HORN *(do Matałkowskiej)*. Kto wy?

MATAŁKOWSKA. Julja Matałkowska, wdowa, panie generale, mąż mi umarł na wodną puchlinę i dzieci mam troje i restaurację nocną na Marszałkowskiej. Ja...

HORN. Aha... żeńska usługa...

MATAŁKOWSKA. Tak panie generale — bardzo porządna restauracja — mam kucharza i w politykę się nie mieszam. Dziewczyn usługujących mam cztery i taper u mnie gra, a nie żadna damska orkiestra. U mnie bardzo przyzwoicie i cicho — tylko jak panowie oficerowie przyjdą, to trochę hałasu — a tak... jak w kościele, panie generale — jak w kościele...

KORNIŁOF. Stań pani tam przy drzwiach i czekaj — może nam pani będzie potrzebna...

(Matałkowska dyga i cofa się w tył).

KORNIŁOF *(do Józi)*. Panienka niech się nie boi, bo jej się tu nic złego nie stanie. Trzeba całą prawdę powiedzieć, nic nie zataić i nie kłamać!

MATAŁKOWSKA *(od drzwi)*. Panie pułkowniku, ja za nią ręczę, jak za...

KORNIŁOF. Cicho! *(do Józi)*. Panienka mi opowie czy panienka ma kawalerów?

JÓZIA *(obrażona)*. Ja jezdem uczciwa dziewczyna.

KORNIŁOF. Ależ tak, tak... my wiemy. Tylko panna Józia ładna panienka, to chyba niemożliwe, aby tam w restauracji ktoś w pannie Józi się nie zakochał... *(Józia milczy — do Matałkowskiej)*. Pani Matałkowska nam powie, kto za Józią latał?

MATAŁKOWSKA. Różne kawalery, bo dziewczyna zręczna, ale ja panie pułkowniku, dziewczyny moje trzymam ostro.

HORN *(ostro)*. Małczi!

KORNIŁOF *(łagodnie)*. Pani Matałkowska będzie cicho! — *(do Józi)*. Ot i widzi panna Józia, że za panną Józią biegali.

JÓZIA. To tylko takie, co się żenić chcieli...

KORNIŁOF. To też to właśnie — ja się o tych pytam. Tam był jeden Polak, młody, ładny... panna Józia pamięta...

(Józia milczy).

On miał małe wąsiki.... no... panna Józia go nie pamięta?

MATAŁKOWSKA *(ode drzwi)*. No, Józka — ten, co pod oknem siadał, co zawsze pił angielską gorzką...

JÓZIA *(do Matałkowskiej)*. Ten, co pił an-

gielską gorzką, to nie do mnie — to do Honorki...

MATAŁKOWSKA. Nie prawda — ten do Honorki pił oczyszczoną, albo smirnówkę. Panie generale — jak dzieci kocham, tak ona nie wie co gada. *(do Józi).* Toż do Honorki był z komory, a oni smirnówki nie pijom.

JÓZIA. Moje goście pili albo francuską, albo przepalankę. Ino ruscy — smirnówkę.

KORNIŁOF. To właśnie doskonale panna Józia sobie przypomniała. Znaczy, że panna Józia miała gości i Polaków i Moskali. A którzy też więcej pannę Józię kochali?

JÓZIA. Żadne nie kochali, ino się chcieli żenić.

KORNIŁOF. To też ja pytam o tych, co się chcieli żenić. To i ruscy i polscy — no! no! mieli dobry gust. Trzeba było iść za którego.

JÓZIA. Kiedy *(kręci nosem)* oni mi nie byli do smaku.

KORNIŁOF. No, ten Polak, co pod oknem siadał, był ładny, młody i miał pozycję...

JÓZIA. E! taka tam pozycja, żył z lekcji — i ledwo tam na co mógł się zdobyć...

KORNIŁOF. Ten ruski był lepszy — o! lepszy.

JÓZIA. E! proszę panów — choć to oficer, ale co za los...

HORN. To oficer chciał się z tobą żenić?

JÓZIA. Jak Bozię kocham!

HORN. Łżesz!

KORNIŁOF *(uspakajająco)*. Ależ tak, tak panie generale — to możebne — panna Józia ładna, on był zakochany, zresztą on pewno listy do panny Józi pisał.

JÓZIA. A jakże — pisał...

KORNIŁOF. O — widzi pan generał — listy pisał. I w tych listach klął się, że pannę Józię kocha i że tego, co mu stoi na drodze, zabije... prawda — no widzi pan generał — panna Józia nie kłamie, bo panna Józia to figlarka: pośmiała się trochę z tym, co korepetycje dawał, a zaraz ten ruski oficer w zazdrość wpadał i groził...

JÓZIA. A tak było... pan Kazimierz mnie odprowadza — to zaraz tamten leci za nami i tylko słychać, jak szpory o flizy dzwonią. Ja nieraz mówiłam panu Kazimierzowi, że będzie skandal, a pan Kazimierz w śmiech. Aż raz... *(urywa)*.

KORNIŁOF. Ach tak — tak — wtedy już nad ranem.

JÓZIA. Nie — to było koło północy.

KORNIŁOF. Tak, tak, pomyliłem się... więc o północy.

JÓZIA. Wyszliśmy z panem Kazimierzem wcześniej z restauracji, bo ja miałam tego dnia wychodne — nagle pan Strełkof łapie mnie za rękę i krzyczy: — ty moja! ty moja! — Pan Kazimierz go odepchnął, a że pan Strełkof był pijany, więc się zatoczył — my wskoczyliśmy w dorożkę i pojechali.

KORNIŁOF. Tak, tak było. Ale potem Strełkof bardzo się na pana Kazimierza gniewał i odgrażał, prawda?

JÓZIA. O Jezu! strasznie... pani Matałkowska to nawet słyszała. Mówił ciągle: — „on pojedzie daleko — ten twój Polak... a ja ostanuś... i ty budiesz moju żenoj!“ Prawda, pani Matałkowska?

MATAŁKOWSKA. Sprawiedliwie, tak mówił. Na to mogę zaprzysiądz.

KORNIŁOF *(gniewnie)*. My słowu panny Józi i pani Matałkowskiej wierzymy. A czy nie mówił Strełkof, gdzie to pan Kazimierz ma jechać?

JÓZIA. Nie — tylko śmiał się i mówił: „jemu tam będzie ciepło... aż mu nos i uszy odmarzną“.

KORNIŁOF. No — a teraz panna Józia nam powie, czy ten list pisał pan Strełkof? *(wyjmuje list z rękawa i szybko go podaje Józi).*

JÓZIA. Tak, to on na takim papierze pisuje. *(czyta list).*

KORNIŁOF. Bo pan generał mówi, że to nie może być, aby panna Józia dostawała takie miłosne listy od oficera...

JÓZIA. Żeby mnie tak szlag trafił, że to do mnie pisane. O! wszędzie „myszka, kotik, prosionok". — On mnie tak nazywał,.. *(po chwili).* Ja te listy dawałam pani Matałkowskiej, bo u mnie matka do wszystkiego nos wściubia... *(do Matałkowskiej).* To pani list dała?

MATAŁKOWSKA. Ja? cóż znowu! jak Bozię kocham...

KORNIŁOF. Nie trzeba się gniewać za to, panno Józiu. Teraz już pan generał wie dobrze, że panna Józia nie kłamała i nie chwaliła się, mówiąc, że ci panowie chcieli się z nią żenić.

JÓZIA. To jest ten pan oficer, bo ten pan Polak to właściwie jeszcze nic o ożenieniu nie mówił...

KORNIŁOF. Tak, tak! *(idzie do Horna).* Czy pan generał ma się jeszcze o coś zapytać?

HORN *(wzrusza ramionami).* Nie — i to, co powiedziały, nie ma żadnej wagi.

KORNIŁOF. Pan generał żartuje sobie ze mnie, a myśli co innego... Pan generał mnie

chce wypróbować (*do kobiet grzecznie*). Mogą panie odejść.

MATAŁKOWSKA (*lękliwie*). Czy aby nie zamkną mi restauracji?

KORNIŁOF (*j. w*). To się zobaczy.

MATAŁKOWSKA. Panie pułkowniku, ja mam dzieci — ja...

KORNIŁOF. Proszę odejść... (*do Horna cicho*). Ja te kobiety kazałem za progiem aresztować.

HORN. Po co?

KORNIŁOF. Mogą ostrzedz — wszystko przepadnie (*odprowadza kobiety do drzwi*). A! panna Józia bałamutka, oficerów nam bałamuci... — ej! ej! za ładne oczki, za ładne...

(Otwiera drzwi — ukazują się schody jasno oświetlone i 4 żandarmów, ustawionych rzędem).

KORNIŁOF. Wziat eti żeńszczyny!

MATAŁKOWSKA. Jezus Marja!

(Józia chce uciekać — żandarmi ją chwytają).

KORNIŁOF. Cicho! ani krzyku! bo każe usta pokneblować. Na dół z niemi — i czekać rozporządzenia. (*zamyka drzwi wchodowe i wraca*).

SCENA SIÓDMA.

(Horn — Korniłof).

KORNIŁOF. Teraz już pan generał wie nazwisko tego, kto do nas listy pisał i kto plany Wielhorskiemu przysyłał.

HORN. Nie wiem.

KORNIŁOF. Toć jasne, jak słońce. Strełkof!

HORN *(zrywa się jak szalony)*. Co? co? coś ty powiedział?

KORNIŁOF *(śmiało patrząc Hornowi w oczy)*. Powiedziałem — porucznik konnej artylerji — Strełkof.

HORN. Nasz? ruski? oficer? Ty się wściekłeś, Piotrze Pawłowiczu! U ciebie dusza chora! Ciebie do szpitala warjatów. Ty śmiesz rzucić takie podejrzenia na ruskiego człowieka i oficera? Ty opluwasz nas wszystkich! Ty spotwarzasz matuszkę Rosję... ty... *(wyczerpany pada na fotel)*.

KORNIŁOF. Nikogo nie spotwarzam, tylko chcę wyświetlić prawdę...

HORN. Gdyby nawet taka prawda była... to... *(urywa)*.

KORNIŁOF. Zakryć ją? Nie, panie generale — ja do tego ręki nie przyłożę!

HORN. Ot, jaki szlachetny — pomnik mu Polaki postawią — pomnik razem z Kościusz-

ką... — Ruskich będzie gubił, aby ich ocalić!... Wot gieroj!

KORNIŁOF *(podnosząc głos)*. Panie generale — zostaw na boku Polaków, ruskich i plemienną nienawiść. My dwaj — ty i ja — my płatni urzędnicy w tym kraju — nic więcej. My tylko mamy spełnić swój urząd, nic więcej — spełnić urząd — bo za to nam pensję płacą... *(po chwili)*. Pan generał mi pozwoli zająć się aresztowaniem Strełkofa i zrobić rewizję w jego mieszkaniu?

HORN *(gwałtownie)*. Za nic na świecie!

KORNIŁOF. W takim razie ja się podam do dymisji i później rozpocznę dochodzenia tej sprawy przez ministerjum spraw wewnętrznych. *(chwila milczenia)*. Pan generał mi pozwoli aresztować Strełkofa?

HORN *(już nie tak gwałtownie)*. To pan chcesz gubić ruskiego dla Polaka?

KORNIŁOF. Dla mnie to ani ruski, ani Polak, ale dwóch ludzi, panie generale.

HORN. Skąd masz pewność? bo w tej sprawie należy mieć pewność. Pan wiesz — jeśli twoje podejrzenie niesłuszne, to my — żandarmerja odpowiadamy za twoją pomyłkę...

KORNIŁOF. Panie generale — ja trzecią noc nie śpię, ja z tych kartek *(wyjmuje z poza rękawa listy, kartki, weksle)*, na których jest pismo Strełkofa, starałem się poznać prawdę. Ja ze szkłem powiększającem siedziałem nad

niemi, równałem ciągle od zmierzchu do świtu... i panie generale — mnie boli samego — ruski oficer padlec — ale tak jest! przez dziewkę chciał zgubić człowieka...

HORN *(chodzi po pokoju)*. Oh! Piotrze Pawłowiczu!... straszny z ciebie człowiek.

KORNIŁOF. Więc pan generał daje mi „carte blanche“ w tej sprawie?

HORN *(stropiony)*. Rób, co chcesz!... ja umywam ręce.

KORNIŁOF. Dziękuje, panie generale.

HORN. Ale — ty pyszny jesteś, jak szatan, jak demon, Piotrze Pawłowiczu! Jeśli ty się pomylił, jeśli ty armję ruską zhańbił niewinnie ty żyć nie możesz. Nasz korpus za ciebie odpowiadać nie może. Ty jeden — słyszysz, ty jeden musisz w takim razie pomyłkę naprawić. *(wyjmuje z konsolki rewolwer)*. Masz! jeśli Strełkof niewinny, to to dla ciebie!

KORNIŁOF *(po chwili — pasując się ze sobą, wreszcie wyciąga rękę i bierze rewolwer)*. Przyjmuję, panie generale!

(Kurtyna spada).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

Pokój do badań w cytadeli — wysoki, dość obszerny, okna zakratowane. Stół na środku pokryty zielonem suknem, za nim duży fotel skórzany z oparciem — kilka krzeseł — w głębi dwie wysokie szafy z przegródek złożone — pomiędzy niemi portret cara. Lampa jedna pali się na stole i oświetla scenę.

SCENA PIERWSZA.

Korniłof — Botkin (wchodzą szybko w szynelach).

KORNIŁOF. Każ pan obudzić Wielhorskiego i Lasocką. Niech się ubiorą i przywieść ich tutaj.

BOTKIN. Lasocka chora.

KORNIŁOF. Nie umierająca. Spacer jej na zdrowie posłuży. Muszę ją dziś przesłuchać. Czy pan wiesz napewno, gdzie znajdziesz Strełkofa?

BOTKIN. Teraz będzie w cyrku. Nasz człowiek chodzi za nim według rozkazu pana pułkownika i teraz telefonowano mi z Marszałkowskiej, że Strełkof jest w cyrku.

KORNIŁOF. Idź-że pan i oddaj mu tę kartkę. Trzeba, ażebyś ustnie dopełnił, co tu jest napisane. Chodzi o to, ażeby Strełkof sądził, iż wołamy go na świadka w sprawie zajścia, jakie było pomiędzy nim a Wielhorskim w restauracji u Matałkowskiej. Nie pozwalaj mu pan wstępować do domu pod żadnym pozorem. Postępuj z nim nadzwyczaj grzecznie i oględnie, ale nie dozwól mu się wymknąć. Przedewszystkiem niech się nie domyśli prawdy. Jeżeli trzeba, spój go porządnie w bufecie, w cyrku. Masz pan przy sobie pieniądze?

BOTKIN. Mam — nie wiele.

KORNIŁOF. To wystarczy. Strełkof pije samą wódkę... To nie drogo wyniesie. Nie pozwól mu również zajechać do Matałkowskiej, aby nie dowiedział się, że ona i Józia jeszcze nie wróciły. Najlepiej — niech będzie pijany.

BOTKIN. Dobrze, panie pułkowniku.

KORNIŁOF *(zatrzymując Botkina)*. A jak się nam wszystko powiedzie, to już ja ciebie za sobą wysoko pociągnę. — Tylko zręcznie mój druhu! zręcznie!

BOTKIN. Postaram się, panie pułkowniku.

KORNIŁOF. A do rewizji kogo wybrałeś?

BOTKIN. Siemipudowa, Streluszkę, Mordochlestowa.

KORNIŁOF. A, wystarczą. Chodzi o to, aby zabrali z mieszkania Strełkofa tylko wszystkie papiery.

BOTKIN. Postaram się, panie pułkowniku.

KORNIŁOF. Tak — to on znalazł u Lasockiej na piecu owe broszury... Idź pan!... I wracaj pomyślnie!

SCENA DRUGA.

Korniłof sam — później Anna Lasocka. (Korniłof idzie do szafy, wyjmuje z pód klucza pakę broszur, związanych sznurkiem, listów — i niesie na stół. Poczem idzie do drzwi, woła dyżurnego żandarma, mówi do niego coś po cichu. Gdy otwiera drzwi widać wązki kurytarz, oświetlony małym naftowym kinkietem i dwóch żandarmów, opartych o ścianę. Korniłof wraca na przód sceny i założywszy ręce, chodzi tam i napowrót po chodniku, przeciągniętym przez scenę. — Otwierają się drzwi — wyprowadzają żandarmi Annę, odzianą w czarną spódnicę, niemodne, długie palto watowane. Włosy ma luźno splecione w warkocze. Jest bardzo blada. Na nogach ma grube, filcowe pantofle).

KORNIŁOF. *(kłania się jej bardzo grzecznie).* Przepraszam panią, że kazałem ją obudzić, ale pragnąłem z nią koniecznie pomówić... *(Anna milczy).* Pani podobno cierpiąca? Czy życzy pani sobie, aby przywołano lekarza? *(milczenie).* Ponieważ nie wolno pani jeszcze przyjmować przesyłek, kazałem dać pani palto, które nam pozostało po innej uwięzionej... jeszcze z roku przeszłego... Widzę, że je pani ma na sobie i bardzo się z tego cieszę *(mil-*

czenie). Pani, jak widzę, przyjęła system milczenia. Ale to już zużyty i nadużyty. To do niczego nie doprowadzi. Wam się zdaje, że w ten sposób wyrażacie nam swoją pogardę. To głupie... Ten system wprowadził Ludwik XVII, gdy był zamknięty w Temple. Ale on miał siedm lat, o ile mi się zdaje, a pani ma dwadzieścia trzy. Czasby nabrać rozumu! *(krótko)*. Niech pani siada! *(idzie do stołu i bierze do ręki broszurkę)*. To u pani znaleźli?

ANNA. U mnie.

KORNIŁOF. A! przemówiła pani nareszcie. To dobrze — to nam badanie uprości... Więc pani się do winy nie przyznaje?

ANNA. Jeśli to jest winą — przyznaję się do niej w zupełności.

KORNIŁOF. Ślicznie. Choć w tem okazuje pani zdrowy rozsądek. Więc pani — działała?... Proszę! Czy nie lepiej było zajmować się czemś innem?

(Poruszenie Anny).

No, ale trudno. Ja panią rozumiem... Pani młoda — ten i ów pięknie mówi, porwie, uniesie... Wielkie słowa: lud — poświęcenie — męczeństwo — posłannictwo — to ciągnie romantyczne umysły... U mnie siostra taka była... Kubek w kubek, ona w Kijowie zamieszała się... et!... co tam o tem mówić — ale ja współczuję, rozumiem... Ją zgubili rozwie-

watiele, co to niby do czynu zachęcają, a w chwili stanowczej usuwają się i ot — nieszczęście gotowe. Tu — u pani musiał działać niejeden taki rozwiewatiel...

(Poruszenie Anny).

O! panią to oburza, że ja o tych apostołach tak mówię — ale co zrobić pani droga — to jest tak. Ja ich wszystkich znam na wylot, tych pięknych mówców, którzy was uwlekają pięknemi słowami. Oni podczas badań są zupełnie inni — i gdyby pani mogła te akta tu zamknięte przeczytać, to nie patrzyłaby pani na mnie takiemi oczami, jak w tej chwili.., *(po pauzie zmieniając ton, od niechcenia przeglądając broszurki)*. A ci, którzy panią do tego namówili i poprowadzili, także nie wiele są warci. Zresztą od nich właśnie dowiedziałem się, jakiemi drogami pani do tych broszurek doszła... I wyznam pani, że źle umieściłaś swoje zaufanie.

(Anna milczy).

Choć wiem wszystko dokładnie — pragnę jednak dla pani dobra... ażeby mi pani sama wszystko opowiedziała. Być może, iż tamci, pragnąc zrzucić ze siebie winę, nadto panią obarczyli. Ja mam dla pani cześć i szacunek, bo pani wydajesz mi się wyjątkową istotą. Dlaczego pani ma odpowiadać za winy tych, którzy broniąc swej skóry, panią denuncjowali. Niech pani przestanie milczeć — niech pani przedemną powie wszyst-

ko, jak przed... ojcem. Ja panią może z tego labiryntu wyplączę. Mnie pani żal... No, no... kto pani te książeczki przez granicę przewoził? to główne — skoro pani mi to powie — to wina pani się zmniejszy...

(Anna milczy).

Nie chce pani na to odpowiedzieć? — No, to nie — ale teraz może mi pani powie, dlaczego narzeczony pani mieszał się w to wszystko? Po co? na co? On mi mówił! *(poruszenie)* — co? pani nie wierzy, iż on w tej kwestji ze mną rozmawiał? Ależ pani — on sam mi wszystko powiedział, jak i co — w jaki sposób odbywała się kolporterja. Tylko niech go pani za to nie wini. On dobry chłopak, ale on ma słaby charakter — on nic ukryć nie może. Przytem niestały... dziś pani, jutro tamta...

(Anna podnosi głowę).

Co pani chce? to przecież jeszcze bardzo młode — przytem chodził to tu, to tam... Ładna dziewczyna — nie umiał się oprzeć pokusie... Tylko mnie to dziwi, że mając taką narzeczoną, mógł równocześnie zawrzeć znajomość z jakąś dziewczyną z restauracji...

ANNA. Milcz pan... nie kłam dłużej!

KORNIŁOF. Nie, panno Anno — ja nie kłamię. Ja z czystego serca mówię całą prawdę.. O, patrz pani — tu podczas rewizji w jego papierach znaleźliśmy fotografję tej

Józi... ona się nazywa Józia, służy w restauracji na Marszałkowskiej ulicy. Widzi pani — o tu — napisała ta panna: „Drogiemu Kaziutkowi na imieniny od jego Józi". (*Podsuwa pod oczy Anny fotografję z napisem — Anna w milczeniu patrzy na fotografję i napis*). Tu data — niedawna... o!... Widzi pani, co to jest taki rozwiewatel... Pani za jego namową wolność traci, a on sobie z drugiemi... No! no! Więc państwo tak razem te broszurki rozsyłali... i jakże... przecież nie przez pocztę?

(Po twarzy Anny spływają dwie łzy — ona stoi dalej, milcząc, z rękoma zwieszonemi wzdłuż ciała).

Pani sama widzi, że pani nie ma kogo bronić i ochraniać. To straszna obelga — dla pani, że on wolał nad panią taką dziewczynę z restauracji, on ją bardzo kochał... ja ich tam widziałem...

(Anna pada na krzesło, kryjąc głowę w rękach. Kornił of nachyla się nad nią).

I ona go kochała... całe wieczory spędzali razem — potem on ją odprowadzał.. A gdy wrócił, to przychodził do pani i udawał apostoła... posyłał panią nad granicę po te broszurki — prawda? A może sam przewoził? ha? Bo tak — to pani sama na Sybir pojedzie — a gdyby pani powiedziała, jaka była jego wina... to pojechalibyście we dwoje razem... O! pani by go nie zostawiła tu z tą dziewczyną. — Bo on do niej wróci... ona na niego czeka...

ANNA (*wstaje powoli, ociera oczy i mówi wol-*

no, prosto, bez przesady). Spójrz pan! *(odchyla na piersiach palto)*. Czy pan widzisz te plamy? Czy pan wiesz, po kim daliście mi ubranie? Po tej, która uciekając przed waszemi badaniami, kawałkiem szkła zdołała sobie gardło poderżnąć. To jej krew... ja ją tu mam przy sobie — na mojej piersi... to moja tarcza. Jak ta umarła nic nie powiedziała — tak i ja nic wam nie powiem. Tak mi Boże dopomóż!

(Korniłof chwilę stoi i patrzy na Annę — poczem skłania się przed nią i woła żandarma).

KORNIŁOF. Odprowadzić! *(po wyjściu Anny)*. Wot! będzie uparta sztuka...

(Anna wolno wychodzi).

SCENA TRZECIA.

Korniłof sam — później Botkin i Strełkof. (Korniłof chowa broszurki, wyjmuje z szafy butelkę z wódką, tackę z zakąskami, ustawia na stole, nalewa kieliszek jeden — łamie bułkę, robi nieporządek — tak, jakby przedtem jadł przekąskę — poczem siada znużony na fotelu z przymkniętemi oczyma).

BOTKIN (*we drzwiach do Strełkofa*). Wejdźcie, Aleksy Harytonowiczu! Piotr Pawłowicz na was czeka.

STREŁKOF *(pijany)*. Idu, Iwan Nykałajewicz, no tylko na minutku. U mnie dziś świdanje s majej luboszkoj, a ja dżentielmien i na świdanje pierwej pawinien się jawić.

BOTKIN. Naturalnie. Ale ot i pułkownik.

KORNIŁOF *(nadzwyczaj serdecznie)*. Zdrastwujtie, Aleksy Harytonowiczu! jakże wasze dieła?

STREŁKOF. Niczewos! — ale gdie eto ja miałem cześć poznać się z wami?

KORNIŁOF. Jakto? nie pamiętacie? a w angielskiej gostinnicy — późną nocą po prazdniku waszego pułku.

STREŁKOF. Nie pomnim. Na prazdniku ja niemnoszka napił się.

KORNIŁOF *(śmiejąc się głośno i zabawnie)*. Nu, my wszyscy sobie troszkę wtedy podpili.

(Na znak Korniłofa i Botkin wybucha śmiechem, z nimi Strełkof).

KORNIŁOF *(dobrodusznie)*. A ot — ja tu sam tak siedzę i nuda mnie napadła — więc ja sobie przekąskę kazał narządzić. Sławna tu w cytadeli przekąska... U Matałkowskiej takiej nie ma. Ot — Aleksy Harytonowiczu — stakańczyk — do mnie.

STREŁKOF. Jej Bohu... nie magu. Piłem już dużo. A to Iwan Nikałajewicz w cyrkie w bufecie mnie tak ugaszcział, że prosto dusza czełowiek. Nie magu...

KORNIŁOF. Jakże? ja będę pił sam? Ot i Iwan Nikałajewicz gołubczyk z nami, a wy Aleksy Harytonowiczu, duszeńko miła... Toż ty mój ziemlak — my obaj z jarosławskoj gubernij... Pij, ziemlak...

(Strełkof rozrzewniony pije).

KORNIŁOF. Ot ładno! ot maładiec — a teraz wy gałubczyk Iwan Nikałajewicz... a tu siga i kawior nie solony — a ot moskiewska kiełbasa — prost z Moskwy. Ja to sprowadził i tu w cytadeli dla siebie w protokółach trzymam. Jej Bohu!

STREŁKOF. Sławnaja zakuska...

KORNIŁOF. Jeszcze po jednemu!

STREŁKOF. Niet! niet! nie magu...

KORNIŁOF. Nu... jakże? my tu zwyczajni tak już po ruskim obyczaju... Przed dziełem stakańczyk... od czystego serca! (*wylewa swój kieliszek na podłogę*).

STREŁKOF (*pije*). Chyba, że od czistawa serca...

KORNIŁOF. Szkoda, że tu panny Józi nie ma... ot szykowna panna...

STREŁKOF (*pijany*). Sławnaja dziewuszka... Ja w niejo wlublon — strach!

KORNIŁOF. Nie — u — że — li? A ot ona podobno lubi tego polaka... Wielhorskiego...

STREŁKOF (*b. pijany*). Kawo? Polaka? naplewat mnie na niewo! on uże prapał... ja jewo urządził i to na wsiu żiźń... on... (*opamiętując się*). Czort z nim! czort z nim! (*krzyczy*). Czort z nim!

KORNIŁOF. Tak, tak... my jego zamknęli. No ale on może niewinny, jego można uwolnić...

STREŁKOF. Da kakże uwolnić? to nie można... to nie wolno. — On plany zdejmował... eto strogoje prestuplenie... plany... o!...

KORNIŁOF. On musiał chyba jeździć do Nowogieorgiewska.

STREŁKOF. Nu znaczyt pojechał... cóż? kolej nie drogo... Tam i nazad cztery rubla... jej Bogu...

KORNIŁOF. Nie, Aleksy Harytonowiczu. Ty się mylisz. Bilet kosztuje pięć rubli z kopiejkami...

STREŁKOF. Da co mnie gawaritie? czetyre rubla — tam i nazad. Mało ja raz jeździł — ha?

(Rzuca trochę przytomniejszy wzrok dokoła).

KORNIŁOF. A... u was znajomi mieszkają w fortecy?

STREŁKOF *(krótko)*. Da. *(Wstaje)*. Wy mnie pazwali po diełu naszej kłótni z temi tam u Matałkowskiej... Nu, co chcecie wiedzieć? Mnie pora do domu — ja mam świdanje z mojej kochankoj...

KORNIŁOF. Ona zaczeka.

STREŁKOF. Da nie nużno, żeby czekała. Chatia ono tolko służanka, no wsio taki dama... Dama nie możet czekać... *(pada na krzesło)*. Ja w niej wlublon... ja dla niej toby drugowo ubit i pagubit gatow... ot co...

KORNIŁOF *(do Botkina, cicho)*. Ludzie nasi pojechali do jego mieszkania?

BOTKIN *(cicho)*. Już dawno.

KORNIŁOF. Telefonuj pan — po generała. Niech przywiezie ze sobą komendanta pułku...

BOTKIN. Panie... pułkowniku! Piotrze Pawłowiczu...

KORNIŁOF. Co ci to? boisz się...

BOTKIN. Gdzie dowody??

KORNIŁOF. Rób co ci każę! I wracaj tu natychmiast...

(Botkin wychodzi).

KORNIŁOF. Ej! gałubczyk... jeszcze kieliszeczek! Za zdrowie Józi... No — pamiłuj — Boh trojcu lubit!

STREŁKOF. No walaj! jeszczio adin stakan! *(piją)*.

BOTKIN *(wraca — cicho do Korniłofa)*. Wielhorski czeka — a w tamtej komnacie jest jego matka.

KORNIŁOF *(do Strełkofa)*. Wiecie co druzia — ot... nam tu niewygodnie, nieujutno. My weźmiemy ze sobą butelki i do małej komnatki. Tam cicho i dobrze. Jeszcze butelkę węgierskiego dobierzem, no i o diełach pogawędziemy. Chodźcie!...

(Botkin pół żartem, pół serjo wyprowadza na lewo Strełkofa. Na progu Korniłof ich przepuszcza. Wnosi za nimi tacę — wychodzi i woła „Pst" — zjawia się Botkin).

KORNIŁOF. Odbierz mu pan żartując broń — wynajdź sposób... i zabaw go tam — Nie wpuszczaj tu...

(Botkin znika. — Korniłof zamyka za nimi drzwi, idzie do głównych drzwi, mówi do żandarmów; „Pazwat Wielhorskawo", wyjmuje z szafy paczkę z broszurami — kładzie na stole).

BOTKIN *(ukazuje się i podaje Korniłofowi szablę).* Oto szaszka.

KORNIŁOF. Dobrze! — w danej chwili zawołam was obu.

(Botkin odchodzi),

SCENA CZWARTA.

Korniłof — Wielhorski. (Żandarmi wprowadzają Wielhorskiego, który ma na sobie nocną koszulę — na niej palto wierzchnie. Żandarmi odstępują do drzwi. Korniłof daje im znak, aby wyszli — oni wychodzą. Korniłof długą chwilę chodzi tam i napowrót — wreszcie staje przed Wielhorskim).

KORNIŁOF. Ja nie spodziewałem się tu pana widzieć, panie Wielhorski... Ja bardzo jestem zmartwiony, że się tak na panu zawiodłem. Przez te trzy dni nie mogłem nawet zdecydować się, ażeby pana do siebie pozwać i z panem pomówić. To bardzo, bardzo źle z pana strony... Mnie to bardzo boli.

KAZIMIERZ. Panie pułkowniku, mnie jeszcze więcej nad więzienie boli ta myśl, iż pan przypuszczać możesz, że ja złamałem dane ci słowo. Ja sam nie wiem, co to wszystko ma znaczyć. Padłem ofiarą czyjejś intrygi, zemsty — nie wiem wreszcie... ale tak jest. Chciej mi pan wierzyć. Ja po wyjściu z cytadeli do niczego się nie mieszałem...

KORNIŁOF. Istotnie? do niczego?... I może mi pan na to dasz słowo honoru?

KAZIMIERZ *(żywo)*. Daję na to słowo!

KORNIŁOF *(ironicznie)*. Pana, widzę, nie wiele kosztuje dawać na prawo i na lewo słowa honoru.

KAZIMIERZ *(gwałtownie)*. Panie Korniłof.

KORNIŁOF *(gwałtownie)*. Co? czego? i milczeć! Odkąd pan swojem postępowaniem skompromitowałeś i mnie, straciłeś prawo do mojej względności. Pan rozumiesz? pan mnie naraziłeś! Ja za pana ręczyłem, ja!!! ja w zakład stawiałem siebie, swoją rangę, dwadzieścia lat mej służby. Ja ręczyłem, że pan będziesz porządnym człowiekiem.

KAZIMIERZ. Jestem nim.

KORNIŁOF. Ten, co się buntuje przeciw władzy, nie jest porządnym człowiekiem.

KAZIMIERZ. Ja powtarzam panu, że jestem ofiarą jakiejś mistyfikacji.

KORNIŁOF. Ja nie mówię w tej chwili

o sprawie owych planów... my cokolwiek później do niej powrócimy — ale dlaczego pan wplątałeś się znów w ludową propagandę? ha?

KAZIMIERZ. Ja?

KORNIŁOF. Nie zaprzeczaj pan! Na nic się nie zda. Narzeczona pana przed chwilą wyznała wszystko.

KAZIMIERZ. Anna?

KORNIŁOF. Tak! Znam teraz całą sprawę z najdrobniejszymi szczegółami. Wiem, jaki był pana udział w tem wszystkiem. Wiem, w jaki sposób dostawaliście broszury z zagranicy i jaki system przyjęliście dla kolporterji!. Pozwól pan jednak sobie powiedzieć, że to był właśnie najgorszy system! Mogliście zatrzymać dawny, był stanowczo lepszy... Prawda? co?

KAZIMIERZ. Słucham ze zdumieniem słów pana. O jakich broszurach tu mowa? o jakim systemie?

KORNIŁOF. Ach Boże mój! Po co to udawanie? Pan wiesz dobrze o czem mówię. Lepiej powiedz mi pan całą prawdę: Trzy lata temu nie chciałeś taksamo nic powiedzieć — no i my bez twego zeznania wszystko wiedzieli. I tak siedziałeś pan cały rok, a może, gdybyś pan zeznał, to byłoby pół roku, może dwa miesiące, może miesiąc... My duże lgoty dajemy tym, którzy się przyznają.

A jeśli się pan będziesz upierał, to znów posiedzisz... w tym samym pokoiku... a jakże... będziesz spał na tej samej pryczy... i będziesz znów sam! sam!...

KAZIMIERZ *(cicho)*. Sam! sam!

KORNIŁOF. I to nie rok, a może dwa, może trzy — może... Bóg wie, jak tam zasądzą... *(po chwili)*. Sam jeden! odcięty od świata, od ludzi, bez książek, bez pracy... ot dzień za dniem i tak lata całe!... ha! to będzie ciężko...

KAZIMIERZ *(z nagłym wybuchem)*. Nie! nie! ja nie chcę tam wracać!... nie zamykajcie mnie, ja nie chcę być znów sam, ja nie mogę znieść samotności! Powieście mnie — wyślijcie mnie... do katorgi, do min, wszędzie... tylko mnie nie każcie wracać tam — tam ja nie mogę!... ja nie mogę! ja nie mogę!... *(pada na krzesło przy stole)*.

(Korniłof idzie ku drzwiom — otwiera je — w sieni ukazuje się pomiędzy dwoma żandarmami Wielhorska, oparta o ścianę. Korniłof daje jej znak, ona wchodzi).

KORNIŁOF *(wskazując na syna)*. Pani zna swój obowiązek!... *(usuwa się w głąb)*.

SCENA PIĄTA.

Wielhorska — Korniłof, Kazimierz. (Kazimierz spostrzega matkę i rzuca się ku niej — ona wstrzymuje go jednym ruchem ręki).

WIELHORSKA. Powiedz mi... Kaziu... powiedz ale na popioły ojca szczerą prawdę... czy ty byłeś szpiegiem?

KAZIMIERZ. Nie! nigdy!... przysięgam ci mamo!

(Wielhorska wyciąga ręce z głośnym płaczem — Kazimierz rzuca się do jej kolan).

KAZIMIERZ. Mamo! mamo!

WIELHORSKA. Ja wiedziałam, że to nieprawda! ja wiedziałam i wiesz? oni powiedzieli, że to za pieniądze...

KAZIMIERZ. Mamo! mamo! Tyś temu nie wierzyła?

WIELHORSKA. Nie, nie... ty mój biedaku! tyś wychudł... tobie zimno... ty mi, znów zachorujesz, jak dwa lata temu. O Boże! czy ty nie będziesz już mieć nad nami zmiłowania A Macia! gdzie ona? Panie pułkowniku, ja tu mam także i córkę... ja chciałabym ją widzieć... ja...

KORNIŁOF. To niepodobna — ja według rozkazu pana generała mogłem pozwolić na widzenie się z synem. Tylko pani przekracza najzupełniej rozporządzenie, jakie pani

wydane zostało. Pani wie, o co ja panią prosiłem... przez drogę. Miała pani skłonić swego syna do wyznania całej prawdy w sprawie patrjotycznej propagandy, w jaką się wbrew danemu słowu wmieszał... Niech pani pamięta, że my wiemy już o wszystkiem, ale systemem u nas przyjętym musimy usłyszeć prawdę z ust syna pani. Inaczej trzymać go będziemy tak długo, aż prawdy całej nie powie. *(po chwili).* A syn pani jest bardzo nerwowy i chorowity — odosobnienie fatalnie na niego działa. Takie natury nie przenoszą czasem dłuższego więzienia. Ja mówię otwarcie od czystego serca i jak ojciec... U mnie był brat... ot, on się zaplątał w Kijowie między nihilistów, no i w więzieniu zwarjował...

WIELHORSKA. Oh! panie pułkowniku!

KORNIŁOF. No... tak jest — ja prawdę całą mówię — ja szczery człowiek — wolę ostrzedz. Pani widziała co dwa lata temu z synem pani się działo, kiedy sam siedział... Był bliski obłędu...

KAZIMIERZ (*gwałtownie*). Mamo! mamo! nieprawda! nie wierz! to kłamstwo — mnie się nic nie stanie — ja wszystko przeniosę... ja posiedzę, jeśli mnie już niesprawiedliwie zasądzą... ale mnie nic nie będzie... ja jestem silny... zdrów... zdrów zupełnie... mój mózg wytrzyma... mamo nie płacz.

WIELHORSKA (*płacze i ściska konwulsyjnie syna*). Kaziu! Kaziu! Kaziu!

KORNIŁOF. Niech pani nie płacze — do syna tak przemówić, żeby on siebie z nieszczęścia wyratował.

KAZIMIERZ. Nie mów mamo nic! bo to się na nic nie zda. Nie wierz temu, co oni mówią. Czy ja powiem cokolwiek — czy nie, to wszystko jedno, bo oni mnie taksamo zasądzą... To zasadzka!... *(z wybuchem)*. Dlaczego mi pan matkę torturujesz? dlaczego?

KORNIŁOF. Pan oszalał już teraz? ja z dobrego serca grzecznie i przyzwoicie się do matki pana odnoszę...

KAZIMIERZ. Och! wasza grzeczność! Ależ spójrz pan na nią... Pan straszysz ją widmem mojego obłędu — pan grasz na jej sercu! Nie mów nic mamo! Ja ci przysięgam, że się w nic nie mieszałem przez miłość dla ciebie i dla Maci — choć Bóg jeden wie ile mnie to kosztowało. Jedź do domu — bądź spokojna... nam się tu żadna nie dzieje krzywda, my niedługo będziemy wolni... my przyjedziemy do Włocławka... Mamo! mamo!

WIELHORSKA. Ja... przyniosłam ci... panie pułkowniku... ja przyniosłam dla moich dzieci trochę pieniędzy... *(wyjmuje drżącemi rękami zniszczoną portmonetkę)*. Co mogę... to pięć rubli dla ciebie, trzy ruble dla Maci... pan pułkownik pozwoli...

KORNIŁOF. Pani odda na moje ręce.

KAZIMIERZ. Nie trzeba. Mamo — tu nam nic nie brakuje — a ty sama przecież.

WIELHORSKA. Nie! nie! weź — nie możecie być bez pieniędzy... Może dasz na wódkę żołnierzom, to oni będą lepsi dla ciebie. Ja jeszcze przywiozę więcej. Tylko teraz nie mogłam.

KAZIMIERZ. Nie mateczko.. nie trzeba. Idź stąd... ty drżysz cała... nie płacz!... Bądź zdrowa!

WIELHORSKA *(tuląc go do siebie)*. Ty mój biedaku znów! znów!... cię tu zostawiam.

KAZIMIERZ *(ociera jej oczy)*. Nie płacz mamo — nie trzeba, aby widzieli łzy twoje...

WIELHORSKA. Tak — tak — *(całuje go)*. Bądź zdrów! *(robi nad jego czołem krzyż)*. Niech cię Bóg strzeże. *(odchodzi tłumiąc łzy i nagle wraca)*. Oni cię nie biją?

KAZIMIERZ. Nie mamo! nie.

WIELHORSKA *(z oczyma błagalnie w niego utkwionemi)*. Nie biją?

KAZIMIERZ. Przysięgam ci, że nie.

WIELHORSKA *(na progu do Korniłofa)*. Nie dręczcie go!... on już i tak sił nie ma! *(wychodzi powoli)*.

SCENA SZÓSTA.

Korniłof — Wielhorski.

KORNIŁOF. Pan się zuchwali, panie Wielhorski! Pan nie pozwolił matce do siebie przemówić... Mnie się to niepodoba, panie Wielhorski! Pan mnie wobec matki zarzucił złe serce... No! no! A pan wie, co ja dla pana zaryzykował? Pan nic nie wie — i pan nigdy wiedzieć nie będzie. Ja przez pana mogę reputację dobrego urzędnika stracić — bo powiedzą, że ja się na panu pomylił i to mi dalej zaszkodzi... Hm! hm! da!

KAZIMIERZ. Ja nie mogłem pozwolić...

KORNIŁOF *(przerywa)*. Najlepiej niech pan nic nie mówi—bo ja pana gotów... znienawidzieć... Niech pan wraca do celi i tam pomyśli nad sobą. Ja pana znów jutro przesłucham... Panna Anna wszystko już powiedziała, więc jej nie będę już badał... Cóż? Dziwić się nie można, młoda kobieta — nie mogła utrzymać tajemnicy. Nie trzeba jej tego brać za złe.

KAZIMIERZ. Anna nic powiedzieć nie mogła. Raz dlatego, że nic nie popełniła — powtóre, że znam jej charakter. Ani moralną ani fizyczną torturą nie wymoglibyście na niej nic...

KORNIŁOF. Da... da... mądra i piękna panna... no ta Józia od Matałkowskiej milsza... ha? co?

KAZIMIERZ. Oh!...

KORNIŁOF *(z udaną dobrodusznością)*. No co?... tak było... trudno... Dobranoc panu...

SCENA SIÓDMA.

Korniłof — Żandarmi. (Wnoszą w serwecie dywanowej dużo listów — papierów — kopert — drugi żandarm trochę książek — dwa pudełka).

1. ŻANDARM. Eto wsio, czto my naszli.

KORNIŁOF. Haraszos — łożitie — zdzieś — uchoditie procz!

(Żandarmi kładą pakunek na stole i wychodzą).

KORNIŁOF *(sam, wyjmuje rewolwer i kładzie na stole przed sobą)*. Ot i śmiertelna gra — życie moje na stawkę kładę!...

(Słychać za sceną śmiech i śpiew pijanego Strełkowa i Botkina na dwa głosy: Łunnyja noczy).

KORNIŁOF *(szuka gorączkowo w papierach)*. Nic!... nic!.,. listy... listy!... raporta!... prykazy!... o!... *(po chwili)*. Ciemno mi przed oczami... to lampa chyba gaśnie... *(podkręca lampę, szuka dalej — zaciskając zęby)*. Zamilczcie... zamilczcie sukinsyny... ja życie moje tracę — *(z konwulsyjnem natężeniem szuka — nagle znajduje pomięty i podarty papier. Zbliża się z nim do lampy — ociera pot z czoła i przeczytawszy obraca się ku ikonie w kącie, żegna się i trzy razy bije pokłon)*. Sława Tobie, Hospody... *(wra-*

ca na przód sceny, bierze rewolwer, chowa go do kieszeni i triumfalnie obraca się ku drzwiom). No panie generale — teraz my się zmierzymy!

SCENA ÓSMA.

Korniłof — Horn — Komendant pułku art. konnej. (Obaj w płaszczach letnich).

KOMENDANT (*mały — siwy zupełnie starzec).* Pamiłujtie — eto nie wazmożno... wszystko mnie opowiedział wot Aleksander Walentinowicz. To wy Piotrze Pawłowicz taki cień, taką hańbę na mój pułk rzucacie... To dierzost! to zuchwalstwo — to... wam nie ujdzie płazem.. ja...

KORNIŁOF. Patisze — ja pokornie przedłożę to, co w papierach Strełkofa znalazłem.

KOMENDANT. Co!

HORN (*gwałtownie*). Wy znaleźli jaki dowód.

KORNIŁOF. Oto bruljon ostatniej przesyłki — ot tu na marginesach pół listu anonimowego, który my przedwczoraj pod adresem kancelarji dostali!

HORN. Pokażcie!

(Obaj z komendantem czytają dokument — Horn stoi z rękami opuszczonemi. Komendant zakrywa oczy i pada na krzesło).

KOMENDANT. Jaki wstyd! mój pułk sławny był — czysty! nigdy podłoty!

HORN. To wielka hańba!

(Milczenie — słychać śpiew cichy i śmiech).

HORN (*nagle*). Gdzie Strełkof?

KORNIŁOF. Tam — z porucznikiem Botkinem.

HORN. On stąd wyjść już nie powinien.

KOMENDANT. Ale jak? jak?

HORN. Czy on ma broń przy sobie?

KORNIŁOF. Nie — kazałem mu odebrać.

HORN. Daj mi Piotrze Pawłowiczu rewolwer, który ci dałem przed godziną. Posłuży... ale nie dla ciebie!

(Korniłof z głębokim ukłonem oddaje Hornowi rewolwer).

HORN (*do komendanta*). Wy Mikołaju Antonowiczu czyńcie swą powinność. Podajcie mu ten rewolwer.,. niech się tu cicho — bez skandalu — sam zastrzeli...

KOMENDANT (*bierze rewolwer, ociera oczy pełne łez*). Siedemdziesiąt lat przeżyłem — a to chyba najcięższa mego życia godzina.

HORN. Wprowadź go tu Piotrze Pawłowiczu — tylko niech przed zobaczeniem nas niczego się nie domyśli.

KORNIŁOF. Słucham panie generale!

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami — Strełkof i Botkin.

KORNIŁOF (*idzie, otwiera drzwi — i udając wesołość, mówi na progu).* Chodźcie tu gałubczyki — wot wszyscy poszli — będziemy tu kutit! A ładnie śpiewacie (*śpiewa razem z nimi i wyprowadza ich śpiewających do pokoju),*

KOMENDANT (*mówi wolno i stanowczo).* Aleksiej Harytonowicz! My wszystko uznali — my mamy dowody twej podłoty... ty pułk zbezcześcił — ty mundur splamił.

STREŁKOF (*blednieje z przerażenia).* Czto? czto?

KOMENDANT. Ot twoje własne pismo!... Ty możesz jeszcze pułk od sromoty ocalić, aby nad tobą sądu nie było... Na to trzeba... żebyś ty sam się zabił... wot tobie rewolwer... my wyjdziemy do drugiej komnaty... ty zostaniesz się jeden... postaraj się, abyś miał odwagę... (*daje Strełkowowi rewolwer i ocierając oczy, stoi przez chwilę nieruchomy — potem zwraca się ku oknu).* Tam ikona — pomódl się — niech Bóg ci duszę twoją rozgrzeszy — bo ludzie nie mogą.

(Wychodzi — za nim powoli Horn, Korniłof i Botkin).

STREŁKOF (*sam — ogląda rewolwer — patrzy dokoła błędnemi oczami — potem siada na krześle i powtarza kilkakr .nie*). Wot!... wot!... dażdałsia!... (*nuci).* No śmiert bliska, bliska

maja magiła. Kakda umru,.. *(dwa razy przykłada rewolwer do skroni i opuszcza rękę — trzeci raz zamyka oczy i strzela mówiąc)*. E! naplewat'! *(pada z krzesła na ziemię)*.

(Kurtyna spada).

KONIEC AKTU CZWARTEGO

AKT PIĄTY.

Scena przedstawia salę przeznaczoną do odwiedzin w cytadeli, podzieloną na trzy klatki. Każda klatka o stopień podwyższona. Scena winna być mała i zwężona, oświetlona w ostatnim oddziałku lampą, tak aby jej światło padało na Annę — naftowy kaganek w oddziele drugim — w oddziele trzecim świeca na małym stoliczku.

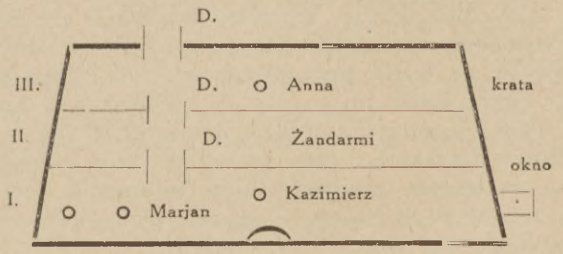

SCENA PIERWSZA.

Siemipudof wprowadza Kazimierza i Marjana do oddziału 1-go. Kazimierz i Marjan w paltach i czapkach.

1. ŻANDARM. Proszę tu podaździat! pan pułkownik nadejdzie!

KAZIMIERZ. Zostawcie nas!

(Żandarm odchodzi. — Chwila milczenia. Kazimierz zgnę-

biony stoi oparty czołem o kratę. Marjan mnie w rękach czapkę).

MARJAN *(przyciszonym głosem)*. Czy jutro ją wywożą?

KAZIMIERZ. Jutro! *(nagle z krzykiem)*. Psy! psy! psy!

MARJAN. Milcz! ciszej na Boga — ciszej!

KAZIMIERZ. A... dławię się! Ale pomyśl — ona — ta moja, ta słodka, ta dobra... ona pójdzie tam — o! o! o!

MARJAN. Powróci!

KAZIMIERZ. Chyba duchem, nie sobą. Ona wygnania nie zniesie. A gdyby nawet... gdyby przeszła przez to piekło, to skoro wróci, jakie będą jej myśli? jej wiara? jej chęci? Czyż wygnanie zamiast wyplenić z jej duszy chęć działania, nie rozwinie, nie wzmocni w szalonym uporze? Ja ją znam, ja wiem... a wtedy, och bracie — strach pomyśleć, czem ja będę dla niej.

MARJAN. Anna jest wyrozumiała, rozsądna, wie, że ty masz wolę obciążoną i spętaną. Masz przecie matkę biedną — siostrę... Ja także jestem rozsądnym, muszę być rozsądnym, bo mój ojciec mnie o to prosił. Ojciec mój poddał się, jak mówi, smutnej konieczności — więc i odemnie tego żąda *(po chwili)*. Zapomina przecież, że sam w 63 nie chciał słuchać głosu rozsądku... Oni tak wszyscy! tak wszyscy!... *(Kazimierz chodzi wzdłuż krat)*.

KAZIMIERZ (*gorączkowo*). To wszystko jedno.., to wszystko jedno... Matka... siostra... to nie powinno iść w rachubę — ja jestem wolny, ona po za kratami! mało tego, ona jedzie na Sybir.., na Sybir... na Sybir.. a ja tu pozostaję; będę żył tu — uczył się, zdawał egzamina, szukał karjery, będzie mi względnie wygodnie, dobrze, ciepło, przyjemnie...

MARJAN. Kaziu, ty jesteś chory, ty masz gorączkę...

KAZIMIERZ. Mam, mam gorączkę od chwili, kiedy mnie wypuszczono, kiedy mnie obdarzono... wolnością. Ja jestem chory z tej swobody — mnie trzeba krat... słyszysz krat... (*chwyta w ręcę kraty i wstrząsa niemi*) ja do nich przywykłem — to moi druhowie... my się rozumiemy... (*przykłada czoło do krat*). O! o! jak chłodzą, jak dłonie kochanki... dobre kraty, moje! moje!

SCENA DRUGA.

Ciż sami — Korniłof)

KORNIŁOF (*wchodzi cicho, wesoło, grzecznie w szynelu letnim i czapce*). Dzień dobry panom!

(Studenci się kłaniają).

Pannę Lasocką natychmiast przywiodą. Jedna rada i prośba. Najlepiej nie rozdrażniać skazanej próżnemi słowami. Panna Lasocka jest bardzo silna i odważna, ale to zawsze

kobieta... więc po co przed taką długą drogą odbierać jej tę siłę i odwagę.

KAZIMIERZ *(jak echo)*. O tak! to bardzo długa droga...

KORNIŁOF. Bardzo! bardzo! Jakkolwiek nie jedzie sama, ale z całym transportem, lecz zawsze dla młodej osoby to uciążliwe...

KAZIMIERZ. Czy wolno zapytać, z kogo się składa ten transport?

KORNIŁOF. Uwięzieni, drogi panie... przestępcy rozmaitej kategorji...

KAZIMIERZ. Zbójcy, mordercy, podpalacze...

KORNIŁOF. Są, są... politycznych znów tak dużo na szczęście nie mamy...

KAZIMIERZ. I ona między nimi... ona między nimi... Słyszysz? słyszysz?

KORNIŁOF. Prawo różnicy w zbrodni nie zna...

KAZIMIERZ. Więc ona zbrodniarka?

KORNIŁOF. Pan Wielhorski powinien był zrozumieć, że bunt przeciw rządowi to zbrodnia — ja starałem się to już dawno panu wytłómaczyć i zdawało mi się, że pan to już pojął. Dwa razy pan był u nas w gościnie a wszystko jakoś nie pomaga. Zwłaszcza dziś pan do mnie mówi — tak, że to zaczyna mi się niepodobać... Ja dużo sobie zada-

łem trudu, żeby pana stąd wyciągnąć i znów oswobodzić. Pan mi powinien być wdzięczny.

KAZIMIERZ. Rzeczywiście — pan pułkownik mnie bardzo pokochał i strasznie się mną opiekuje...

KORNIŁOF (*dumnie, wyniośle, ozięble*). Ja pana pokochał? a to skąd się panu wzięło? Ja znienawidził, bo ja przez pana straszną chwilę w życiu przeszedł. Ja przez pana romanse z dziewkami o mało mojej rangi, moich zasług... ba... mego życia nie stracił. Pan to poniał, panie student? Mnie się pomylić nie wolno, a ja pana pierwszy raz pod mojem słowem wypuścił. To potem już, żeby do piekła iść, musiałem dowieść, żem się na panu nie zawiódł... Ale ja przez pana do reszty osiwiał i teraz pan mi z każdego swego kroku zdasz rachunek, a jeśli ja pana *(z nienawiścią)* raz jeszcze tu dostanę — to na Kazańską Bożiu Matier klnę się, że już pan stąd nie wyjdziesz. Ja przez pana cześć i uważanie stracę, ale pan mi za to zapłacisz... *(po chwili)*. A teraz radzę panu, niech pan jutro najlepiej do matki pojedzie. Tam — gdy pan zobaczy, że tej biednej starej na wszystkiem zbywa, a ona na pana czeka, to się pan zmieni, — zupełnie zmieni. Ja idę po pannę Lasocką.

(wchodzi przez furtkę do drugiego oddziału, stamtąd do trzeciego i drzwiami znika).

KAZIMIERZ. Słyszałeś go? słyszałeś? on

tak już od trzech lat gra na strunach mojej duszy — lata całe! Ciągle ma słowo „matka“ na ustach.,. Oni tak z nami wszystkimi teraz grają... Matka... rodzice... miłość dla rodziny... obowiązek... nędza... To obecnie ich narzędzia... tortury... co odpowiadać? co?

MARJAN. Chrystus powiedział: „Co jest wspólnego między mną i tą kobietą“...

KAZIMIERZ. A — tak!... Ale mojej matce nikt darmo jeść nie da, nie kupi na zimę trzewików, nie da jej węgli, aby się ogrzać mogła. To wszystko muszę ja dla niej zdobyć — ja.

MARJAN. Dlatego też staraj się opanować swój ból. Pożegnaj się z Anną i poświęć się cały dla rodziny. — To banalne, co ja ci mówię w tej chwili, to głupie — ale to ma swoją podstawę życiową.

KAZIMIERZ. Ja wiem! ja wiem... ale to tak trudno... *(Opiera się o stół).*

SCENA TRZECIA.

Ciż sami — Botkin — Korniłof — Anna i 2 żandarmi (przechodzą przez drzwi pierwszego oddziału, wchodzą furtką w drugi oddział i tam usuwają się na lewo. — Drzwiami w 3 oddziele wchodzi szybko Korniłof i wchodzi furtką w 2 oddział, po chwili, gdy już wszyscy są na miejscach, otwierają się drzwi w 3 oddziele i pomiędzy dwoma żandarmami ukazuje się Anna Lasocka. Jest odziana biednie, ma na sobie długi szal z białej wełny, który

ją osłania. Włosy w warkocze wolno splecione. Powoli dochodzi do kraty i staje, oparłszy o nią czoło. Patrzy, nie mówiąc nic na Kazimierza),

KAZIMIERZ (*milczy również — tylko drży na całem ciele*).

KORNIŁOF. Państwo mogą rozmawiać ze sobą. To dozwolone.

(Milczenie).

Dlaczego państwo nie mówią? Wszak to ostatnie widzenie... jutro już pani rankiem wyjedzie... ja więcej widzieć się nie pozwolę...

(Milczenie).

(Korniłof rozmawia po cichu z Botkinem. Botkin podchodzi do kraty).

BOTKIN. Mamzel Lasocka — pazwoltie — gaspadin pałkownik izwolił wam skazat', czto on rozrieszajet wam idti w pierwoje otdielenje Pazwoltie — ja was prewiedu... (*otwiera drzwiczki i przeprowadza Annę do pierwszego oddziału naprzód sceny. Ona chwilę się waha, potem idzie za Botkinem*).

KORNIŁOF. Pozwalam, żeby się państwo tak widzieli — ale to czynię ze względu na panią... Pozwalam tylko pięć minut rozmowy, ja mam zegarek w ręku...

(Anna stoi nieporuszona z rękami spuszczonemi wzdłuż sukni).

KAZIMIERZ (*zbliżając się ku niej*). Anno! to nie moja wina, że ja jestem wolny.

ANNA *(b. prosto)*. Wiem o tem...

KAZIMIERZ. Anno!... dlaczego sprowadziłaś na siebie to wielkie nieszczęście!

ANNA. Nieszczęście? Gdybym ci powiedziała, że jestem w tej chwili szczęśliwą, nie zrozumiałbyś mnie może.

KAZIMIERZ. Ależ ty jedziesz... tam... na wygnanie... na całe pięć lat!

ANNA. A czyż i tam ludzie nie żyją? — Tam wreszcie czeka mnie... zapomnienie, tu miałabym tylko pustkę i nicość. Nie mam już nic z dawnej wiary w sercu...

KAZIMIERZ. Tutaj miałabyś obok siebie mnie — nas wszystkich. Tam — nie będziesz mieć nikogo!

ANNA. Będziesz ze mną wiecznie ty — dawny, ten któregom widziała za temi kratami, tak jak ty mnie ujrzałeś! My z tamtym pójdziemy we dwoje — na całe życie skuci jedną czarowną myślą — może... szaloną, ale taką piękną, taką wielką, taką naszą...

KAZIMIERZ. Więc mnie już nie kochasz Anno?

ANNA. Kocham cię tamtym, który wierzył, walczył i cierpiał...

KAZIMIERZ. Ależ ja teraz także walczę i cierpię.

ANNA. Walczysz o swój byt, cierpisz — swojem cierpieniem, ale nie dla drugich.

KAZIMIERZ. Ty wiesz Anno — ja nie mogę... ja nie mogę!... ja mam ręce skute...

ANNA *(prosto)*. Dlatego drogi nasze się rozchodzą... Nie miej do mnie żalu za nieposłuszeństwo — najlepiej zapomnij o mnie!

KAZIMIERZ *(nagle chwytając ją za ręce)*. Ty mną pogardzasz Anno! Ty mną pogardzasz!

ANNA. Nie mam prawa pogardzać nikim. Każdy działa według swego przeznaczenia. Uspokój się i staraj się iść już teraz równą drogą. Po co ci biedaku szarpać się nadaremnie.

KAZIMIERZ *(coraz więcej rozdrażniony)*. Biedaku? biedaku? mówisz do mnie jak do psa, który się zabłąkał i do domu powrócił... a tak! ja to widzę z oczu twoich... ty myślisz sobie... podlec! podlec! ja jadę na Sybir, a on wolny chodzi, ha! ha!

KORNIŁOF *(w 2 oddziele)*. Panie Wielhorski, pan zanadto rozdrażniony, proszę spokojniej...

KAZIMIERZ. Co? czego? ciszej? a tak — racja — wszak to cmentarz... tu groby.., o *(uderza nogą w podłogę)*. Tam gniją żywe trupy.

MARJAN. Kaziu — na Boga, opamiętaj się

ANNA. Milcz! milcz! miej wzgląd na matkę swoją...

KAZIMIERZ. I ty! i ty! straszysz mnie matką... nie chcę tego słyszeć — nie chcę!

KORNIŁOF. Panno Lasocka — pięć minut minęło — zechce pani się pożegnać krótko i bez niepotrzebnych wzruszeń.

(Botkin wchodzi do oddziału pierwszego — za nim dwóch żandarmów).

KAZIMIERZ *(jak w obłędzie)*. Poco wy tutaj? po nią? już przyszli...

KORNIŁOF *(w 2 oddziele)*. Wyprowadzić Lasocką...

(Botkin zbliża się ku niej).

KAZIMIERZ *(j. w.)*. Precz!... nie dotykać się jej — nie dam, nie pozwolę... Anno!... ty nie pogardzaj mną... ja..

KORNIŁOF. Ważmi jejo siejczas.

MARJAN. Kaziu — ulituj się!

ANNA. Odstąpcie — ja idę sama! *(do Kazimierza)*. O ty nieszczęsna, biedna duszo — żegnaj, żegnaj na długo *(opiera czoło o piersi Kazimierza)*.

KAZIMIERZ. Weź mnie ze sobą! Weź mnie ze sobą!

ANNA. Stań się — tamtym, a odnajdziesz do mnie drogę... *(całuje go i wychodzi — w oddziale pierwszym pozostaje Botkin — Anna prze-*

chodzi przez oddział drugi — wchodzi do trzeciego — Kazimierz wstrząsając kratami przypada na kolana.

KAZIMIERZ. Anno! ja pójdę z tobą!

(Anna zatrzymuje się chwilę, oblana światłem lampy, robi giest pożegnalny ręką i odchodzi w milczeniu — Słychać łoskot zamykających się za nią drzwi).

KAZIMIERZ. O psy! psy!... wy mi ją wywozicie... a ja zostaję! o jaki ja podły!

(Szaleje przy kratach).

KORNIŁOF *(w 2 oddziele)*. Proszę być ciszej... co to znowu?

KAZIMIERZ. A to ty? ty szatanie, coś mi duszę spętał swojem słowem honoru i uczynił ze mnie nikczemnika!

KORNIŁOF. Ja z pana zrobiłem porządnego człowieka...

KAZIMIERZ. Porządnego człowieka? czy słyszycie? wy wszyscy, wy trupy tam gnijące pod memi nogami... wy wszyscy, coście się u tych krat żegnali i o te kraty kaleczyli sobie ręce? Porządny człowiek? To dla was to słowo... to dla tych, co mają kraj, gdzie mogą być porządnymi ludźmi... nie dla nas! nie dla nas! Ha! ha! ha! uwolnili mnie... po to, żeby za mną chodzić, tropić mnie, węszyć uwolnili mnie, a duszę mi ukradli i tu do jakiejś celi zamknęli... psy! psy!

BOTKIN *(podchodzi do Kazimierza)*. Małczat'!

dostatoczno kamedji łamat! *(bierze go za ramię i usiłuje przymusić do wstania).*

KORNIŁOF *(w 2 oddziele).* Ja pana każę za te słowa zamknąć.

KAZIMIERZ *(jak szalony).* Każ! każ! ale przedtem oddziel się odemnie jeszcze silniejszą kratą... Ty milcz, nie mów mi nic o matce — nie mów nic, bo ja ci z tego słowa pieczęć grobową zrobię...

KORNIŁOF *(do żandarmów).* Wziat'!

KAZIMIERZ. Wziat'!... wziat'!... to mało... zesłat'! zesłat' a za czto? ot... *(uderza Botkina).* (Żandarmi rzucają się na niego, powalają go o ziemię. Korniłof wybiega z drugiego oddziału do pierwszego).

KORNIŁOF. Swołocz!...

KAZIMIERZ *(z ziemi).* Teraz ja „tamten" — teraz ja znajdę do niej drogę!

(Kurtyna spada).

KONIEC.

SYBIR

DRAMAT NARODOWY W 4 AKTACH

OSOBY:

PIOTR STEPANOWICZ AKSAKOW, gubernator.
ANEMPODIST WASILJEWICZ TARASOW, dyrektor więzienia.
ŻOSIEJ GRYGORJEWICZ ANIUCZKINOW.
FADIEJ PAWŁOWICZ PROSKURÓW, oficer etapowy.
MAKAR, brodiaga.
IWAN IWANOWICZ, urzędnik.
ALOSZA.
BUKASZKA.
ELIKANID, właściciel traktyerni.
MUŻYK.
SZURA, FONIA } Sybiracy.
MARUSIA.
UNTEROFICER.
WARŁAMOW.
ŻOŁNIERZ.
SOŁDAT.
MARFA GAWRYŁÓWNA.
SONIA, MASZA } jej córki z I małżeństwa.
PIERWSZA dama sybirska.
DRUGA dama sybirska
1 KUPCOWA.
2 KUPCOWA.
ZDANOWSKI, starosta partyjny
ANCYPA,
ŻARSKI.
HR. LIPSKI.
STANISŁAW PODCZASKI.
ALFONS PODCZASKI.
JÓZEF KINIEWICZ.
STAŚ WILGOCKI.

ZOFIA ZDANOWSKA.
KAROLINA STANISZEWSKA.
ZYGMUNTOWA STANISZEWSKA.
STAŚ.
JÓZIO.
JULCIA.
1 CHŁOPKA.
2 CHŁOPKA.
WARJATKA.

Wygnańcy — Chłopi litewscy — Sołdaci — Jamszczyki — Kozacy — Chłopi i chłopki sybirscy.

AKT I.

Etapem.

AKT II.

U gubernatorszy.

AKT III.

W Traktirze.

AKT IV.

Gdy ognie zapłoną.

AKT PIERWSZY.

ETAP.

Scena przedstawia placyk przed etapem. Po lewej stronie ostrokół, wysoka palisada ostro zakończona — bramka wjazdowa zamknięta. Po prawej placu pierwszy domek etaponojo oficera, niski o dachu szpiczastym, jednem oknie i drzwiach tak niskich, iż schylać się należy, gdy się przez nie wchodzi. Przed domkiem pod oknem ławeczka. Domek jest pomalowany cały na jasno-niebiesko, dach i drzwi na różowo. Za domkiem plac drugi, ukosem do widza szopa bez okien z szeroko otwartą ścianą bez drzwi. Wewnątrz widać pod ścianami rząd drewnianych pułek spadzistych, na których układają się więźniowie. W szopie błoto i wielkie niechlujstwo. Po za palisadą widać jedno bezlistne drzewo i widnokrąg szary, chmurny, straszny. Przy podniesieniu zasłony Alosza siedzi na ławeczce skulony w obdartym mundurze i patrzy smutnie przed siebie. Jest to dość młody jeszcze sołdat, cichy i pokorny. Po chwili rozlega się nosowy głos Proskurowa z domu. Obok stoi samowar na ziemi.

SCENA PIERWSZA.

Alosza — Proskurów.

PROSKURÓW. Alosza! (*Milczenie*). Alosza! prachwost ty kakoj! Alosza!

ALOSZA *(zrywając się)*. Słuszajus Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW. Pastaw samowar!

ALOSZA. Słuszajus Wasze Wysokobłahorodje! *(Zaczyna krzątać się koło samowara, wreszcie zdejmuje but i używa go zamiast mieszka).*

PROSKURÓW *(staje na progu domu, jest rozczochrany, obdarty, ma pierze we włosach i brudną szynel oficerską, zarzuconą na koszulę).* Cztoż ty sukin syn? czaju niet? ha?

ALOSZA. Zaraz będzie czaj... ja już i butem... i ot...

PROSKURÓW. Wrosz! ty spał... ty wsio dumasz... a dumania przynależą grafom albo oficerom a nie sołdatom... mieczty to filosowja, a od czego ty prachfost? ty filozofom nie był. Poniał?

ALOSZA. Poniał Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW. Bo jeśli ty pogańska różo będziesz myśleć... ot... dumać, cztoż zostanie się mnie? czto ja będę robił cały dzień? No, przypuśćmy napije się czaju, prekrasno — no, przypuśćmy poigraju na gitarze, prekrasno — no, przypuśćmy zferlakuruję mamzel Ditrich, prekrasno — no, a reszta? Trzeba myśleć... trzeba dumać... nada carskomo pofiłozofować... a jak ty i ja... tak już gołubczyk nie można. Ja wot ważna figura, a ty czto? abisjana małpa. *(Siada na ławeczce).* Tak to już było od

stworzenia świata, były oficery i sołdatyszki. Ważnyja lica i miełocz. Ot, jak dziesięć rubli, asygnata i miedna kapiejka — ty Alosza kapiejka, a ja ot asygnata. *(Ziewa).* Boh!... kakaja skuka... ot; morda od ziewania rozciągnęła się jak czort znajet cztoł *(Do Aloszy, który brał miotłę a kierował się do szopy).* Ty kuda?

ALOSZA. Straszne błoto w etapie po ostatniej partji. Chciał podmieść a to...

PROSKURÓW. Astaw! nie nużno nam nie prykazano, żeby w etapie błota nie było. Jak nie prykazano od wierhu to my winni sami żadnych nowosti nie dielat. Ty sołdatyńka i małczy, ja choć oficer a taki sam swoim umom niczego nie zrobię... Błoto w etapie, robaki, cztoż... prykazu nie było cztoby błoto won... tak pust ostanietsia. *(Po chwili do Aloszy, który wziął z szopy kubeł i szedł za palisadę po wodę).* Ty kuda?

ALOSZA. Wody w etap Wasze Wysokobłahorodje.

PROSKURÓW. Nu... wody można, w prykazie jest, cztoby woda była... no idź... *(Zamyka oczy i ziewa. Alosza chce iść.*

PROSKURÓW (*nagle*). Ty kuda.

ALOSZA. Wody do etapu.

PROSKURÓW. Poźniej, astańsia, ja budu fiłozofować... tak ty hużak słuszaj, cztoż, no' da... mnie chciało się fiłozofowat a ty słuchaj.

ALOSZA *(z rezygnacją stawia kubeł na ziemię).* Słuszaju Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW. Tak... wot... Zaczem ot w Sybirje takoje szare niebo? ha, nie znajesz? nie znajesz *(Urywa, ziewa, zamyka oczy — po chwili).* No, a czto ty nagotował? ha? Kolacja eto toże filozofja... jeść... cztoż? u czełowieka rozum a potem briucho.

ALOSZA. Krupy Wasze Wysokobłahorodje i leniwyje szczy.

PROSKURÓW. Ot uż ja drugi rok trzy razy dnia jem leniwyje szczy i krupy. A z miasta nic nie przynieśli?

ALOSZA. Nic... może będzie szła dziś partja nieszczastnych i co z miasta dla nich podniosą.

PROSKURÓW. Przyjdzie partja?

ALOSZA. Ja tak słyszał Wasze Wysokobłahorodje.

PROSKURÓW. Oo, tak ładno... może co i dobrego się zdarzy... *(Ziewa i przeciąga się).* Alosza, daj gitarę! *(Alosza chce iść do domu).* Ty kuda?

ALOSZA. Gitara...

PROSKURÓW. Ach! da! no idź!

ALOSZA. *(Wchodzi do domu, widać przez okno jak odczepia gitarę. Przez ten czas Proskurów ziewa, zamyka oczy i mówi.*

PROSKURÓW. Ot skuka! (*Nagle krzyczy przeraźliwym głosem*). Prywiedi Dikuszku!

ALOSZA (*z domu*). Siej czas Wasze Wysokobłahorodje! (*Proskurów siedzi z zamkniętemi oczami. Alosza wychodzi z domu, niesie starą gitarę na różowej wstążce i prowadzi obrzydliwego parszywego psa*).

ALOSZA. Wot Dikuszka!

PROSKURÓW (*do psa*). Zdrastwuj braticz! ładna kundla?... nu cztoż diełat? kundla... parszywaja... ot Sybirak... ot korennyj Sybirak... sadis da. (*Do Aloszy*). Ty kuda?

ALOSZA. Wasza Wysokobłahorodje w etapie nary się połamały... nużno naprawić... to jak przyjdą nieszczastni, będą na ziemi leżeć.

PROSKURÓW. Nu, tak czto? Dikuszka ot na ziemi leży? ha? czto? a ot u Dikuszki dusza jak u czełowieka, cztoż? nary połamali... czort z niemi... A u ciebie w prykazie jest cztoby połamane nary naprawiać? Niet! tak zostaw! Zaczem połamali!

ALOSZA. Partja była duża Wasze Wysokobłahorodje... było 70 człowieka w etapie miejsca na 40.

PROSKURÓW. Nu tak co? ot u mnie w głowie filozofij na czterdzieści ludzi a ot siedzi w jednej głowie. Tak i u nich niech tak będzie. Czto? ha? Dikuszka? (*Brzdąka na gitarze. — Alosza krząta się koło samowara*).

PROSKURÓW (*próbuje śpiewać*).

Razdiali sa mnoj ty dolja...
Grust, pieczal łasku... *(Nagle)*. Alosza!

ALOSZA. Słuszajusz Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW. U mienja piękny głos, ha?

ALOSZA *(bez entuzjazmu)*. Czudnyj głos Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW *(śpiewa)*:

Kak prijatno
W wieczer majski
Rum jamajski
W czaj kitajskij
Po—o—o—dlewet!

Ha? czto? Dikuszka? nu, czto robić... rumu niet Alosza.

ALOSZA. Wasze Wysokobłahorodje?

PROSKURÓW. Piej! czort laguszkoj;

ALOSZA. Słuszajus Wasze Wysokobłahorodje? (*Zamyka oczy i jak automat śpiewa. — Proskurów gra na gitarze*).

ALOSZA. Czort z laguszkoj razsażdał
Sidia na igołkie
Ej ja z rodu nie widał
Jewreja w jarmołkie.

PROSKURÓW. Prygaj! prygaj!

ALOSZA (*z zamkniętemi oczami, nie zmienia-*

jąc wyrazu twarzy, tańczy podczas gdy Proskurów gra.

PROSKURÓW *(do psa).* Nu, patrz Dikuszka — kakaja eto świnia... ot prygajet... prygajet.,. jeśliby ja Dikuszkie skazał prygaj... ot siedit... A ot czełowiek, prygajet a sobaczka siedit. Alosza prestań... ha... patrz... mówię tiebie prygaj! prygajesz... kto zwierz? Ha! pofiłozofiruj, kto zwierz! Nu, prygaj... a nie, to w mordu... (*Zamierza się gitarą. — Alosza automatycznie zabiera się do tańca — nagle dzwonek rozlega się u bramy i słychać przeciągły krzyk*). Ha! a! a!

PROSKURÓW. Ki czort? *(Alosza otwiera bramę, ukazuje się Brodiaga).*

SCENA DRUGA.

Ciż — Brodiaga. (Brodiaga jest już siwiejący mężczyzna. wysoki, chudy i zgarbiony — odziany jest dziwacznie w rozmaitego rodzaju odzież — czapkę sprawnika — bardzo brudny i oberwany mówi cicho, półsłówkami — tylko oczy mu grają gwałtownie pod zsuniętemi brwiami).

BRODIAGA *(na progu do Aloszy).*. Brodiaga!

ALOSZA (*zwraca się do Proskurowa).* Wasze Wysokobłahorodje? Brodiaga! (*Proskurów wzrusza ramionami obojętnie i brzdąka na gitarze. Brodiaga wchodzi i kłania się po wojskowemu Proskurowi).*

BRODIAGA. Imieju czest jawić się Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW *(patrzy na niego ospale)*. Czego wam trzeba?

BRODIAGA. Ja przychodzę prosić, cztoby wy mienja aresztowali.

PROSKURÓW. Cztoż, tego roku tak wcześnie?

BRODIAGA. Użaszno chołodno nadojeło włóczyć się.

PROSKURÓW. Ty był już u mnie? ha?

BRODIAGA. Da, w przeszłym roku... w późnej jesieni... ot już drzewo liście straciło... wy mnie aresztowali... ja ubijca Makrimowicza... da...

PROSKURÓW. Aha! da! da! no cóż... gdzieś mnie ciebie teraz aresztować, miejsca nie ma gdzie ciebie trzymać, idź, pogulaj jeszcze trochę, a potem jaw się.

BRODIAGA *(uparcie)*. Chłodno już... chcę do turmy.

PROSKURÓW. Idź procz!

BRODIAGA *(jak wyżej)*. Arestujtie mienja

PROSKURÓW *(coraz gwałtowniej)*. Mnie nie chce się!

BRODIAGA. Arestujtie mienja!

PROSKURÓW. Mnie nie chce się! ot Di-

kuszka — smatri! durak kakoj! Ja będę jego trzymać, żywić, dawać znać sprawnikowi i całe komedje z nim łamać.. idź k'czortu — przychodź jak będzie partja, pójdziesz z niemi razem.

BRODIAGA. Ja głodny — u mnie nogi we krwi, ja się stąd nie ruszę. *(Siada na ławce obok Proskurowa).*

PROSKURÓW *(patrzy na niego — chwilę mierzą się oczami, ogarnia go lęk, wreszcie wstaje, pluje i mówi do psa).* Pajdi Dikuszka! pust! siedit! etot mierzawiec odin! naplewat nam na niewo! *(Przechodząc kopie sumowar, który się przewraca i woda wylewa).* Alosza! czaj! *(Odchodzi do domu).*

SCENA TRZECIA.

Alosza — Brodiaga.

ALOSZA *(zabiera się do samowara, po chwili patrzy na Brodiagę, który siedzi z przymkniętemi oczami).* Wy któren raz uciekli?

BRODIAGA *(nie otwierając oczów).* Pietnasty!

ALOSZA. W ile lat?

BRODIAGA *(jak wyżej).* W dwadzieścia!

ALOSZA. Maładiec! a czemże wy teraz byli?

BRODIAGA. Horodniczym.

ALOSZA. A przedtem?

BRODIAGA. Ja był strapczym, dieńszczykiem, prystawem, felczerem, nawet popem.

ALOSZA. Nie uże...

BRODIAGA. Da... da... *(Chwila milczenia).*

ALOSZA. Wy na wiosnę znów z turmy uciekniecie?

BRODIĄGA. Nadiejuś! Kakże? ja by z wiosną nie wytrzymał w turmie. Sołnyszko... las szumi, ciągnie... pachnie — da w drogę — jesienią, zimą, smutno za turmą — ot — nawykła dusza.

ALOSZA. No, a pałki?

BRODIAGA. Prywykł... naplewat! *(Po chwili patrząc na Aloszę).* Ty prosto zwierzę nie człowiek.

ALOSZA. Za czem brat? za czem?

BRODIAGA. Kakże? Ty wot służysz? ty ilot na tyle let? sołdat... szynel na grzbiecie i waruj jak sobaka... wstydno! rzuć szynel — udieraj w les, w skały, w święte Bajkalskie wody... swoboda... życie... o! *(Wyciąga przed siebie ręce).*

ALOSZA. Kakże? Mnie sądzono służyć... prykazano... nie można inaczej.

BRODIAGA. Tuman ty! tuman! gdzie ten, kto prykazywajet? car? ha, ha! Batiuszka car? da on i nie wie czto jaki durak butem samo-

war rozdmuchuje... ta w mordu od oficera bierze... i męczy się w szyneli... Za czem ty carowi potrzebny, co?

ALOSZA. Boh dał jemu właśt', moc, potęgę, siłę — nam słuchać trzeba.

BRODIAGA. A Bogu kto dał właśt'? i siłę, ha? *(Po chwili z pogardą).* Tuman, tuman.

ALOSZA. Da... wy już ubijca... to wam wszystko jedno, wy z Bogiem w niezgodzie i z carem batiuszką i z prawem. U was krew na duszy, ale ja choć sołdatyszka, ale czysty i praw. Wy wierno nie tylko Makrymowicza ubili... u was więcej ofiar na duszy.

BRODIAGA *(szyderczo).* Nadiejuś... kak ucieknę z turmy trzeba żyć... lasem jedzie kupiec... pas na nim tłusty od pieniędzy... cztoż kupiec? żyru, tłuszczu kupa — gdzie u niego dusza... w łob go kawałkiem żelaza i kupca niet a ruble moje! Ot i żyć mogę... i sołnyszko świeci a grzeje... las szumi, ptaszyna śpiewa... a kupiec? żyr, tłuszcz... wot liście lecą,.. lecą... kupa cała... pokryły .. da!

ALOSZA. Ja by nie mógł zabić człowieka.

BRODIAGA. Poczekaj brat... ciebie kiedy ubiją. — Na świecie zabit! nada, jeśli nie chcesz, aby ciebie zabili... da... da!.. *Po chwili.* U ciebie trochę chleba jest? *Po chwili.* Ja jak głodny to i za chleb zabić gotów.

ALOSZA *dobywając z zapazuchy chleb razowy.* Ja ostatnim kawałkiem z głodnym się podzielę.

BRODIAGA *bierze chleb.* Tuman ty, tuman! *Dzwonek u bramy i wołanie.* Ha... a... a!...

ALOSZA. Ha... a... a!...

SCENA CZWARTA.

Alosza — Brodiaga — Iwan Iwanowicz Iwanow — Marusia — Szura — Fonia.

MARUSIA. My z podarkami dla nieszczastnych.

ALOSZA. Partji niema.

IWAN IWANOWICZ. My wiemy, no, partja idzie, my chcemy prosić Fadieja Pawłowicza, cztoby pazwolił złożyć podarki na swoje ręce.

ALOSZA. Wejdźcie! *Wchodzą. Iwan Iwanowicz ubrany w galowy mundur i białe rękawiczki — na wierzchu barankowe futro, niesie na tacy pierog — na pierogu leży trochę srebrnej monety. Iwan Iwanowicz jest biednym pokornym urzędnikiem. Marusia stara chłopka sybiraczka, odziana w kożuch i wysokie buty, trzyma na talerzu pierog. Szura i Fonia, chłopi sybirscy odziani ciepło ale biednie — każdy ma talerz z jedzeniem.*

IWAN IWANOWICZ. Pamiłujtie... można zobaczyć Fadieja Pawłowicza?

ALOSZA *po chwili skrobiąc się w głowę.* Ot.., ja wam prosto powiem Iwanie Iwanowiczu... jeśli u was rum jamajski w kieszeni jest,

dobrze... ja was powiodę k' Błahorodji... a jeśli u was rumu nietna, tak batiuszki lepiej idźcie do domu.

IWAN IWANOWICZ. Jakże... pamiłujte... rum jest. Fonia! wyjmij rum z kieszeni. *Fonia wyjmuje Iwanowi butelkę rumu z kieszeni.*

MARUSIA. Idź gałubczyk Alosza... daj jemu butelkę... niech on pozwoli nam pomódz nieszczastnym. Ja upiekła dziś świeże pierogi z kapustą... a ot Fonia ma chleb i trochę masła... po parę kopiejek też położyli my na talerzach. Poproś Fadieja Pawłowicza, niech nam wskaże kto w partyi samoj nieszczastnyj.

ALOSZA. Oni wszscy nieszczastny! *Śnieg lekko pada.*

MARUSIA. Da... da! Boh mój! Daleko idą... ot... co ojczyznę postradali, wszystko — oni tam podobno podnieśli bunt... wolnienje.

ALOSZA. Da — eto strasznoje przestępstwo... bunt przeciw caru — car sprawiedliwie karze.

MARUSIA. Da! da! ty praw gałubczyk — no cztoż — oni nieszczastny... głodni... da chłodno... wot śnieg — pierwyj śnieg.

IWAN IWANOWICZ. Idź! hołubczyk idź!

ALOSZA. Da mienja ich żal... straszno żal... ot serce się kraje jak patrzę... no ale bunt, wolnienje nie... nie... *Odchodzi do domku.*

IWAN IWANOWICZ. A jeśli Fadiej Pawłowicz, zechce wziąć sobie pieniądze?

MARUSIA. Ha! pust! niech bierze... pierogi niech choć ostawi dla biednych. *W oknie pojawia się Proskurów.*

PROSKURÓW. Nu czto? czto wam potrzeba?

IWAN IWANOWICZ. *z ukłonem.* Fadiej Pawłowicz... my ot z podarkami dla partji. Ja Iwan Iwanowicz Iwanow, z poczty, wy mienja uznali? niet? Partja idzie nowa, więc my po dawnemu sybirskiemu zwyczaju z podarkami — u mnie dziś imieniny, tak ja mundur nadział i z pierogiem i datkiem k' nieszczastnym...

MARUSIA. A ja ot z kapustą i z kopiejkami.

PROSKURÓW. Nu ładno, ładno! Alosza odbierz podarki i postaw w sieni... Jak partja przyjdzie to możecie wejść na dziedziniec. *Alosza odbiera talerze i wnosi do domu.* Teraz idźcie procz!

WSZYSCY *cofają się do bramy.* Spasibo Fadiej Pawłowicz... spasibo..

PROSKURÓW. Alosza! czaj! *Odtyka w oknie butelkę rumu i wącha.* Rum Jamajskij! *Podśpiewuje.*

Rum jamajskij
W czaj kitajskij...
dum — dum — dum!

Słychać dzwonki. — Proskurów zamyka okno. — Dzwonki się przybliżają, słychać tętent koni i wołanie: Ha! a! a!

SCENA PIĄTA.

Brodiaga — Alosza — Proskurów — Aniuczkin — Iwanowicz — Marusia — Chłopi (cofają się na bok — Alosza otwiera bramę — wpada zaprzężona kibitka w jednego konia z wysoką hołoblą malowaną — na koźle jamszczyk odziany w grubą sukmanę — na kibitce, trzymając się jamszczyka, siedzi Aniuczkin. Zajeżdżają przed domek Proskurowa, który wypada na ganek, usiłując zapiąć porządniejszy mundur.

JĄMSZCYK *do chłopów.* Biere-giś.

ANIUCZKIN *do Aloszy.* Remnie! *Alosza odpina skórzane pasy, którymi Aniuczkin jest do kibitki przymocowany. — Jest to prześliczny młody chłopiec w czerkieskim mundurze, lat 22, o białej twarzyczce i ślicznych szafirowych oczach. Wąsiki zaledwie się puszczają, zgrabny, ruchy niezmiernie malownicze i estetyczne — mieszanina kota z gołębiem — chwilami wzrok marzący, jak u dziecka, to znów krwiożerczy, jakby podniecony chorobliwie — odziany ciepło.*

ANIUCZKIN *szybko.* Gdzie etapnyj oficer?

ALOSZA. Siej czas budiet jawitsia. *Idzie do domu.*

BRODIAGA *wstaje i podchodzi do Aniuczkina.* Wasze Wysokobłahorodje?

ANIUCZKIN. Czego?

BRODIAGA. Pokorniejsze proszu... imieju czest jawitsia...

ANIUCZKIN. Po kakomu diełu?

BRODIAGA. Ja brodiaga... ubił temu dwadzieścia lat swego pana Makrimowicza... uciekł z katorgi pietnaście razy... teraz zima, do turmy choczetsia nużno arestowat!

ANIUCZKIN. Poczekaj!

BRODIAGA. Wasze Wysokobłahorodje...

ANIUCZKIN *gwałtownie.* Poczekaj!

BRODIAGA (*zły mrucząc*). Ja ubił Makrymowicza.

ANIUCZKIN (*z pasją*). A ja ciebie zabiję, jak będziesz odpowiadał. Won! (*bijąc we drzwi butem*). Cztoż eto? nikogo niema? (*drzwi się otwierają wychodzi Proskurów, za nim Alosza*).

PROSKURÓW. Prastitie... no ja zdrzemnął się — tyle pracy...

ANIUCZKIN. Da, da! znaju... no nie w tem rzecz. — Ja wiodę partję... ja ich wyprzedził... ja mam do was interes!

PROSKURÓW. Alosza! postaw samowar, proszę w komnatu... u mnie ot tam jamajski świeży.

ANIUCZKIN. Niet, niet, u mienja czasu niema. Ja do was z prośbą.

PROSKURÓW. Pamiłujtie... powiedzcie o co chodzi.

ANIUCZKIN (*bijąc się szpicrutą po ostrogach*). Wy tutejszy, Sybirak?

PROSKURÓW. Ja? kakże? ja iz Torżka

rodem — Tarżok, sławne miasto,.. tam 43 monastery — ja popadłem ot na Sybir w etapnawo oficera... no, to dla mienja męka... ja człowiek uczony u mienja w gołowie filozofij na 40 ludzi... a ja muszę na etapie siedzieć,

ANIUCZKIN. Da — to nieprzyjemnie. Tak ja rad, że ja na was popadł, bo wy mnie łatwiej zrozumiecie. Ja Petersburczyk... Żosiej Grygorjewicz Aniuczkin pazwoltie poznakomitsia.

PROSKURÓW. ja Fadiej Pawłowicz Proskurów... no... poczekajcie, ja był dwa lata temu w Petersburgu i tam często bywał na Litejnom prospekcie, u Róży Stiepanowny Monczałowej... Ona często opowiadała o Zosjeju Grygorjewiczu... Ona była w nim wlublona do bzika, ona zwała go igruszkoj... ha?

ANIUCZKIN. Ato — ja!

PROSKURÓW, Pomiłujtie... eto wy! Tam w Petersburgu wsie damy były zakochane w was jak warjatki... Takij mołodeńkij a tyle ofiar, no... no! eto wy! I kakże wy tak partje wodzicie, takoj donżuan?

ANIUCZKIN. Czto zdiełat? służba — niewola! Odkomenderowali do Polszy... ja okazałsia dzielnie, tak transport mnie zdali A! a! wpierwych trzeba na szczot diela — K'wam prykaz... Eto żurnały *(wyjmuje z zanadrza plikę dzienników)*. Jeden dla was... tu artykuł... ot... Katkowa... Wy musicie ten artykuł czytać miejscowej ludności, żeby oni spotykali ssylnych

jak przynależy... tu oto jest, że Polacy niosą za sobą pożogę i mord — ciemnej swołoczy — trzeba mówić prosta, że Polaków za to wysłali bo ruskich wyrzynali i ruskie kobiety bezcześcili... da... a co rozumniejszym, to trza powiedzieć, że gdyby nie bunt u Polaków byłaby już konstytucja i znaczenie szlachty by się podniosło.

PROSKURÓW. No... pomiłujtie...

ANIUCZKIN *(gwałtownie)*. Tutaj prykaz i mądry prykaz. Lud po drodze wielkodusznie podejmuje ssylnych, podnosi prezenty. Oni sobą lud buntują, trzeba osłabić to wrażenie. Oni idą głodne i chorzy, to lud się lituje. Wy Fadiej... Piotr...

PROSKURÓW. Pawłowicz...

ANIUCZKIN. Pardons! Wy, Fadiej Pawłowiczu, powinni artykuły Katkowa im czytać a wszystko będzie dobrze... i podarków nie pozwolić podawać. — Gnać won! *(po chwili)*. No... a teraz... moja własna sprawa... *(z uśmiechem)*. Eto intimnoje dieło...

PROSKURÓW *(zachwycony)*. Kobieta?

ANIUCZKIN. Da... kobieta!

PROSKURÓW. Wy wlublon?

ANIUCZKIN *(rozmarzony)*. Do szaleństwa!

PROSKUROW. W Petersburgu? w Róży Stiepanowej Monczołowoj, ha?

ANIUCZKIN *(gwałtownie)*. Naplewat mnie

na Rozu! czto ona! ot małpa... durna kakaja... niet! ja wlublon w krasawicy... ot... cud... prosto...

PROSKURÓW. Gdzież ona?

ANIUCZKIN. Eto Polaczka... kakaja Zdanowskaja.

PROSKURÓW. Katorżnica?

ANIUCZKIN. Niet — mąż jej zesłany... Ona idzie za nim dobrowolnie... z nim i z dziećmi... troje małych... kryczut... no... niczewo... matka prosto anioł... *(nagle)*. JeJ Bohu... nie wydzierżu!

PROSKURÓW. Da, da! wy zawsze Zosiej Grygorjewicz mieli ekstra tiemperament. Mnie damy w Petersburgu opowiadały.

ANIUCZKIN *(coraz gorzej)*. Cztoż naplewat na eti damy... to szympanzee martyszki naprzeciw Zdanowskoj... *(po chwili)*. Jakie ciało musi być u tej kobiety. Ja widał tylko jej szyję kak ona myłaś na etapie... Boh mój... nie wydzierżu.

PROSKURÓW. Ja was rozumiem! A to ja sam jeszcze w Tarżkie... wkochałem się tak samo... to była kucharka u popa przy monasterze. Kucharka a umna, mądra, szykowna... ot filozofka! Ja jej co dnia róże do kuchni rzucał. Ja toże sentyment rozumiem.

ALOSZA *(podchodzi do Proskurowa)*. Wasze Wysokobłahorodje... jeśli partja idzie, tak trzeba chyba im nary do spania narządzić.

PROSKURÓW. Paszoł proczl prykaza niet... niech śpią na ziemi (*do Aniuczkina przewracając oczy*), Ach, dał i u mienja serce jak u ptaka... Ja oczeń łatwo się kocham.

ANIUCZKIN. Tak wot... Zdanowskaja nie wie nawet, co ja się w niej rozkochał. Ja partję wieł z Kijowa przez Połtawę i Charków. Ona zaś w Penzie nas dognała perekładną. Gdym ją zobaczył, jakbym w łeb dostał, Ja do niej podchodzę łaskawie, ale ona mężem i dziećmi zajęta, nie widzi. No, już takie dziś moje nerwne rozpołożenie, że wolę, żeby albo mnie odtrąciła, albo niechaj mnie czorci porwą. Tak do was prośba. Partja będzie dziś nocować, ja ich zamknę w etapie, ona jedna zostanie się. Pozwólcie mi waszą kwaterę... tam ją pomieścimy a potem... niech... (*po chwili*). Wy widzicie mnie Fadieju Pawłowiczu w jakom ja nerwnym razpołożeniu, jeśli ja k'wam nieznakomym obracam się z taką prośbą intimną, ha?

PROSKURÓW. Wy mnie cześć robicie Zosieju Grygorjewiczu.

ANIUCZKIN. No, ręka rękę myje. Skoro wołnienje w Polszy się całkiem uciszy i transporta sfolgują, ja wrócę znów do Petersburga a tam daję wam czestnoje słowo, że wami się zajmę i z Sybiru nazad do matuszki Rassij przewiodę. No co. zgoda?

PROSKURÓW. Kakże niet? ja wam wdzięczny, że mi pozwalacie oddać sobie przysługę.

Tak ja komnatę dla etoj madamy przystroję a sam spać będę u Aloszy. Aloszę wygnam precz na dwór na skamejkę, U mienja dobre serce dla drugiego człowieka.

ANIUCZKIN. Prekrasno... pazwoltie niech wam podziękuję, *(wsuwa w rękę bumażkę)*. Eto na przystrojenie komnatki.

PROSKURÓW *(chowa pieniądze)*. A..: a jej mąż? jak on zacznie fokusy a komedje.

ANIUCZKIN. Jej mąż mąż? on że katorżnik, w szeregu idzie *(nagle z nienawiścią)*. Eto samyj gordyj czełowiek w partji. Nieugięty, zły, wiedzie ich w bunt. Jak mnie go w Kijowie zdali, to my się oczami zmierzyli. I od tej pory priamo dwa dzikie psy.

PROSKUROW. Z zazdrości.

ANIUCZKIN *(szybko)*. Niet, niet — tak ot — bunt u niego a u mienja siła. Pysznie się... gieroj... żoną, czynami... wsiem, a jego duszę i jego żonę ot tak... *(łamie szpicrutę)*. w drobiazgi... o! No praszczajtie! jedu im na spotkanie, za minut 5 będę nazad! Jemszczyk... padawaj! *(zajeżdza Kibitka — Alosza przywiązać chce Aniuczkina do kibitki)*.

BRODIAGA *dopada do kibitki i chwyta konia za uzdę*. Da... aresztujcie mnie... radi Boga...

ANIUCZKIN. Paszoł won!

BRODIAGA *uderzony po ręce przez jamszczyka puszcza konia*. Aresztujcie radi Boga! ja ubijca! śnieg ot! mnie w turmu choczetsia.

ANIUCZKIN *staje w saniach i uderza brodiagę w zęby.* Wot tiebie turma... won!

BRODIAGA *zatacza się w tył i chwyta się za zęby.* Mierzawiec... zuby wybił! *kibitka odjeżdża.*

PROSKUROW. Sława Bogu! dobry dzień... butyłka rumu... da asygnata... cudnyj dzień.

BRODIAGA *chwytając go za rękę z pasją.* Aresztujcie mienia a to jej Bogu ubiju, łkawo ubiju!

PROSKURÓW *wchodząc do domu.* Za minutkę gołubczyk... minutkę... a pójdziesz z partyjką do Tiumeń, do Tobolska — potem dalsze!

SCENA SZÓSTA.

Brodiaga — Alosza.

BRODIAGA. Wot prachwosty! Żaden nie chce aresztować a tu da liście obleciały i śnieg. Ja nigdy jeszcze śniegu na wolności nie widział. Ot pomyjna jama nie etap.

ALOSZA. Tak wam pilno pałkami dostać?

BRODIAGA. Da! pałoczki moje, jesienna biesiada. Ja co jesień biorę pałki... da co? pałka krew rozgrzewa, no ty brał w mordu, bierzesz, a to cześć twoją wala.

ALOSZA. Tobie też partyjny oficer w mordu dał.

BRODIAGA. Nie w mordu a w zuby... eto raznica. On służbę pełnił; a tobie oficer nie po służbowej cześci ale po samowarnej w mordu bije.

ALOSZA. Konwój idiot! *Otwiera bramy na roścież — śnieg coraz gęstszy sypie — ściemnia się.*

SCENA SIÓDMA.

Brodiaga — Alosza — Proskurów — Iwanowicz — Marusia — Fonia — Szura (potem konwój, Aniuczkin na kibitce pierwszy), Zdanowski — Staniszewska — Kiniewicz, hr. Lipski — Ancypa — Żarski — Pomeranc — Stanisław Podczaski — Alfons Podczaski — Staś Wilgocki — Chłopka — Warjatka — Wygnańcy polacy — Kryminalni przestępcy — 2 unteroficerów — konwojujący sołdaci.

IWANOWICZ *wchodzi pierwszy wraz z Marusią Fonią — i Szurą.* Idą już, idą!

MARUSIA *bardzo wzruszona.* Ach! biednieji... biednieji... tak ich dużo aż czarno na drodze.

IWANOWICZ. Chodźmy k'Proskurowu, niech nam da nasze podarki, spotkamy ich w bramie.

MARUSIA. Da... Da! chodźmy! *idą ku domkowi, wychodzi Proskurów, trzymając w ręce gazetę.*

IWANOWICZ Zdrastwujtie Fadiej Pawłowicz... my przyszli odebrać nasze podarki... partja idzie!

PROSKURÓW *przybiera srogą minę i uderza ręką w dziennik.* Wy wiecie czto eto.

WSZYSCY. Niet Wasze Wysokobłahorodje:

PROSKURÓW. Odkryjcie głowy... no... prędzej... eto ukaz... da... ukaz, cztoby więcej podarków zesłanym Polakom nie podnosić.

WSZYSCY. Nie podnosić?

PROSKURÓW. Da! Car batiuszka tak nakazał *chłopi żegnają się.*

MARUSIA. Car batiuszka... Hospody.

PROSKURÓW. Wy Iwan Iwanowicz Iwanow inteligent tak ot wam po osobno. Jeślib nie Polaki byłaby już dawno konstytucja... da i mieszczanie... szlachta i urzędniki... da toże i pocztowe wzrosłyby w znaczenie. Eto dla was! A dla was czerni to ot... Polaki za to zesłane, że ruskich rżnęli, mordowali, rabowali da... kobiety bezcześcili... A teper zdieś, na Sybirze jakby ich wolno puścić, to oni wasze chaty spalą a was eto zareżą jak bydło.

MARUSIA. Nie może być?

PROSKURÓW. Da! tak stoi w prykazie. Sam car-batiuszka dowiedział się, że wy tych przestępców pierogami karmicie, da kopiejki dajecie i gniewa się... O! car się gniewa! *(chłopi stają niepewni i zafrasowani).*

IWANOWICZ *(po chwili).* Da... eto wazmożno... no... prepraszam ja by chętnie tot prykaz przeczytał.

PROSKURÓW *(gwałtownie).* A eto czto takoje! To ja nie mam wiary? Jeśli ja mówię

to prawda, bo ja carski oficer... a carski oficer prawdą żyje... Ubierajtieś wsie won... a nie, to ja za horodniczym poślę... a nie, to ja...

MARUSIA. Da prasti batiuszka... nie kryczy! my uchodim procz... *(naradzają się).*

IWANOWICZ *(podchodzi nieśmiało).* Przebaczcie... no by chcieli nazad nasze pierogi i pieniądze.

PROSKURÓW *(wrzeszcząc)* Co? co? wasze pierogi ostaną się u mnie! one pojadą do Petersburga do samego cara — one będą świadczyć jako wy się także buntujecie. Was także ześlą, was w turmy zamkną... was *(wołając ku domowi).* Aloszа! postaw samowar!

IWANOWICZ. Chodźcie gałubczyki do domu... tot złodziej nic nie odda... a cóż z próżnemi rękami nieszczastnych spotykać!

MARUSIA. On wszystko nałgał... Polaki dobry narod... mój ojciec jeszcze przed laty miał ich u siebie... oni dobry ludzie...

IWANOWICZ. Każetsia!

MARUSIA. Da... da... Eto tylko dla tego, żeby nam pierogi i kopiejki ściągnąć. Czort z nim *(pluje).*

(Aniuczkin wjeżdża na kibitce i zeskakuje. — Proskurów wybiega na jego spotkanie).

ANIUCZKIN. Cztoż wsio gotowe?

PROSKURÓW. Da...a gdzież wasza krasawica?

ANIUCZKIN. Za partją z dziećmi jedzie *(jak oszalały)*. Ach! jak sobie przedstawię, co będzie za godzinę... nie wydierżu!

UNTEROFICER *(wchodzi, salutując przed Aniuczkinem)*. Wasze Wysokobłahorodje... konwój idiot!

(Słychać brzęk kajdan. — Milczenie na scenie. — Przez bramę otwartą wchodzą skuci po dwóch wygnańcy. Niektórzy są skuci wspólnemi kajdanami, które mają włożone na rękach—niektórzy mają skute razem po jednej nodze.— Wówczas pierścień od kajdan jest ciasno włożony na buty. Inni więźniowie są przykuci po dwóch do jednego żelaznego pręta. Prawie wszyscy Polacy są razem — wchodzą wolno, zmęczeni, wyczerpani. Niektórzy ledwie się wloką — odziani są w siermięgi szare z żółtą łatą kwadratową na plecach. Kobiety mają także siermięgi zbyt duże i spodnice czarne — głowy zawiązane chustkami. — Mężczyźni mają uszy przewiązane chustami, pończochami, szmatami, a na wierzchu włożone aresztanckie czapki. Co trzecią parą więźniów idzie sołdat z bronią— na samym końcu konwoju prowadzi 4 żołnierzy kryminalistę moskala o wyglądzie ascety — żołnierze mają ku niemu zwrócone bagnety jak ku dzikiemu zwierzęciu. Konwój cały wchodzi w milczeniu — więźniowie ustawiają się w dwa szeregi — żołnierze otaczają ich półkolem — śnieg pada coraz gęstszy — ściemnia się zupełnie. Przez otwartą bramę tłoczą się Sybiracy, niektórzy mają w rękach podarki — pierogi, drobne pieniądze. Pomiędzy niemi widać Marusię, która im coś cicho opowiada— chłopi słuchają lecz kiwają uparcie głowami. Powoli pomiędzy wygnańcami — chłopi litewscy zaczynają zbijać się w gromadkę i stoją tak, jak małe stado, oparci o siebie. Długa chwila milczenia. — Aniuczkin z nieznacznym uśmiechem stoi na przodzie sceny i z wielkiem zajęciem ogląda końce butów — wreszcie podchodzi do niego unter oficer).

ANIUCZKIN *(do podoficera)*. Czego?

PODOFICER. Po rozkazy.

ANIUCZKIN *(gwałtownie)*. Czy ja was zwał? Odkąd wy ośmielacie się mnie rozkazywać? na miejsce... Ždat!...

(Podoficer cofa się. Znów długie milczenie—więźniowie stoją nieruchomi. Aniuczkin pogwizduje przez zęby piosenkę i wyjmuje papierośnicę, podaje Proskurowowi.

ANIUCZKIN. Izwoltie papieroska?

PROSKURÓW. Merçi... no... tu niewygodnie, może w komnatę... tam czaj, rum... Alosza! zaświeć w komnacie.

ANCYPA *do Zdanowskiego, z którym jest skuty.* Czy długo nas ten łotr będzie tak trzymał?

ZDANOWSKI. Milczenie... wszak widzicie, że on nas wyzywa.

ANIUCZKIN. *zapaliwszy papierosa, odwraca się ku wygnańcom i patrzy chwilę, nagle krzyczy.* Unteroficier!

UNTEROFICER. Słuszajus Wasze Wysokobłahorodje!

ANIUCZKIN *wskazuje na chłopów litewskich* A to czto? Zaczem nie w szeregu?

UNTEROFICER. Wasze Wysokobłahorodje! to litewskie chłopy! Oni tak ciągle kupą — ani weź ich rozdzielić...

ANIUCZKIN. Czto eto? Stoją kak skoty... ja kazał, żeby w szeregu... siej czas zrobić porządek. *Sołdaci i unteroficer rozdzielają chłopów, którzy lękliwie cofają się w szeregi.*

ALFONS PODCZASKI *młodziutki chłopiec do Zdanowskiego.* Starosto... mówcie o kajdany... moje już buty przeżarły, nie mogę dłużej.

ZDANOWSKI. Za chwilę.

ANIUCZKIN *do Unteroficera.* Niech czekają— ja smotr będę robił. *Zdanowski mówi coś cicho do drugiego Unteroficera.*

DRUGI UNTEROFICER. Wasze Wysokobłahorodje!

ANIUCZKIN. Czego.

DRUGI UNTEROFICER. Starosta partyjny żełajet czto to skazat Waszemu Wysokobłahorodju...

ANIUCZKIN. Kto? starosta? czto eto? jaka śmiałość! po smotrie będzie mówił... jak ja mu pozwolę... starosta! ha? figura,.. on chce... *parska śmiechem do Proskurowa.* Z niemi trzeba srogo... a to inaczej oni by nademną wojowali... mnie już w Kijowie informowali... a potem u mnie takoj charakter, ja szczekotliw i srog! *Spostrzega Sybiraków w bramie.* A eto co takoje? Podarki? wstrecza? ha? Czy wy Fadieju Pawłowiczu nic im nie objawili?

PROSKURÓW. Pamiłujtie? wsio skazał — i o konstytucji i o pierogach i dla tołpy i dla inteligentów... no oni tu miejscowe, nie wiele sobie z nas robią. *Nagle porywa z zanadrza dziennik i pędzi ku sybirakom, wrzeszcząc co sił.* Eh! Wy etakije! czy wy nie wiecie co Katkow pisze? Won stąd skareje.

SYBIRACY, My k'nieszczastnym...

PROSKURÓW. Nie lzia, nie lzia!

ANIUCZKIN *gwałtownie.* Co to? będziecie z niemi razgawory wiedli. Nie lzia... Unteroficer... postawić sołdatów między niemi a ssylnymi.

UNTEROFICER. Słuszajus Wasze Wysokobłahorodje.

MARUSIA *do Proskurowa.* No... nie rugajsia... a to my wolne ludzie a nie wasze sołdaty... czto eto? Hospody!

(Pomiędzy wygnańcami a Sybirakami staje kilka sołdatów z zwróconemi twarzami do Sybiraków z bagnetami nastawionymi. Sybiracy nie odchodzą, tylko tłoczą się ciągle u bramy, mrucząc).

SYBIRACY. Ot, pariadki!

ANIUCZKIN *zadowolony, patrzy chwilę.* Wot.. ładno!

PROSKURÓW. A teraz może smotr.., a potem napijem się czaju.

ANIUCZKIN. O niet! naprzód czaja, potem smotr — strasznie czaju chce się, *do Unteroficera* Pust ! niech czekają! nie rozkuwać... niech stoją! *idzie z Proskurowem do domu — odwraca się i mówi do Unteroficera.* Jak nadjedzie tarantas, dać mi znać. *Ceremoniują się grzecznie przy drzwiach z Proskurowem. Wreszcie wchodzi pierwszy, mówiąc* Pardons!

W następnej scenie widać przez okno oświeconą komnatę w domku, nakryty stół czerwony obrusem — na nim samowar, butelka, pierogi — Alosza krząta się dokoła stołu. Proskurów i Aniuczkin siadają do stołu i piją herbatę — na scenie chwila milczenia, wreszcie coraz głośniejsze mruczenie w gromadzie Sybiraków.

MARUSIA. Wot... malczyszka... dzieciak taki... a to nowe poriadki wprowadza. Patrzcie.. o! jakie biedniagi... tam stara siwa kobieta.

PIERWSZY SYBIRAK. A tam ot prosto dziecko.

MARUSIA. Boh! Kakije biedne... bratcy... trzeba im dać cokolwiek... *chwyta bułkę chleba, rzuca przez głowy sołdatów.* Nieszczastni, my z czystego serca!

ANCYPA *dumnie.* Odrzucić bułkę... cóż to? my już jesteśmy psami, aby nam jadło rzucano.

KAROLINA STANISZEWSKA. Milczcie, panie Ancypo! ta kobieta nie chleb rzuciła, ale swoje serce nam pod nogi. Serca odrzucać nie wolno.

ZDANOWSKI *do sybiraków.* Dziękujemy wam bracia! Ale prosimy was nie narażajcie się dla nas.

MARUSIA. My z wami sercem.

ZDANOWSKI. Tak, jak my z wami! odejdźcie, przecież nam nie pomożecie a sami przepłacić to możecie ciężko. Odejdźcie bracia.

ANCYPA. Mówcie nie za wszystkich, panie starosto... Ja ich nigdy braćmi nie nazwę.

KAROLINA STANISZEWSKA. To źle, panie Ancypo!

HRABIA DE LIPA LIPSKI. *Olbrzymi, łysy, arystokratyczny wołyński typ — mówi wolno, wydymając usta, skuty z Kiniewiczem,* Pan Kiniewicz mógłby tak rąk nie opuszczać. Przez pana Kiniewicza ręce, ja muszę ciągle stać albo iść zgięty... mnie to nieprzyjemnie!

KINIEWICZ *litwin z długą czarną brodą.* Ta cóż serdeńko poradzę? u mnie łapska długie, aż do kolan, tak się za sobą ciągnę. To nie moja wina.

HRABIA LIPSKI. Ja nie mówię, aby to była wina pana Kiniewicza. Ja proszę, panie Zdanowski, żeby mnie pan Zdanowski wyrobił przekucie z innym jakimś.

ZDANOWSKI. Panie Lipski, to niepodobna. Pan widział, co ten smarkacz z nami wyprawia; tak, jak los padł na nas, gdy nas zakuwano, tak już pozostańmy aż do miejsca. On gótów nas pozakuwać z kryminalistami. Na Boga! zaklinam was... ustępujmy sobie wzajemnie. Niechże choć niezgoda nas nie udręcza, skoro chłód i głód szarpie nas, jak sępy... *odwracając się do partji.* Czy bardzo jesteście głodni?

POLACY SKAZAŃCY. Tak! tak! bardzo. Od rana wszakże nic nie jedliśmy.

ZDANOWSKI *do Unteroficera.* Panie podoficerze... partja jest bardzo głodna.

UNTEROFICER. Da... znaju... wam należy się... tak... wot... w etapie...

ZDANOWSKI. Nie o etapne jadło nam chodzi. Pozwólcie, żaby dwóch sołdatów poszło do miasta po zakupy, jak często było robione.

UNTEROFICER *zaambarasowany* Da... no... wy wiecie... ta lalka zrobiła się taka sroga... on nas szpieguje... on jeżeli dojrzy, to mnie czeka kara.

ZDANOWSKI. To idźcie do niego i proście, a my... *odwraca się do Żarskiego, studenta warszawskiego.* Dajcie 10 kop.

ŻARSKI. Za dużo — w kasie całej wszystkiego 32 ruble.

ZDANOWSKI *cicho.* Trzeba mu dać koniecznie, inaczej do jutra będziemy bez jadła.

ŻARSKI. Ja wytrzymam.

KINIEWICZ. I ja także!... Ja zresztą mam jeszcze trochę chleba.

ZDANOWSKI *do unteroficeru, dając mu 5 kopiejek nieznacznie.* Idźcie do Aniuczkina.

UNTEROFICER *chowa pieniądze.* Sprobuję. *wchodzi do domu.*

ZDANOWSKI. Należy teraz przygotować rubla na zakupy i po trzy kopiejki dla sołdatów.

ŻARSKI. To dużo.

ZDANOWSKI. Przedewszystkiem trzeba kupić tyle chleba, aby mieć na zapas i ażeby nigdy nas głód tak nie spotkał, jak w tej chwili. A potem...

ŻARSKI. Nie, nie, zaczekajmy...

ZDANOWSKI. Wy możecie, boście silniejsi, ale kobiety, ale słabsi... a dwoje naszych obłąkanych — czy i tym czekać każecie? A potem, dlatego biorę rubla, że jest nas teraz więcej.

ANCYPA. Jakto więcej.

ZDANOWSKI. Czy nie liczycie tych pięciu kryminalistów, których do nas przyłączyli na poprzednim etapie? Oni także nie jedli.

ANCYPA, A! jeśli teraz zaczniemy się ze wszystkiemi dzielić.

ZDANOWSKI. Tak być musi.

ANCYPA *(gwałtownie)*. To moskale... oni nas nic nie obchodzą.

KAROLINA STANISZEWSKA. W tej chwili to są ludzie pozbawieni wolności jak my i jak my głodni.

ANCYPA. O! za dużo tej ewangelii.

KAROLINA STANISZEWSKA. Tyle tylko, ile w sercu każdego chrześcijanina mieścić się winno.

ŻARSKI. Powinniśmy poddać tę sprawę

powszechnemu głosowaniu. Ja się nie zgadzam.

ANCYPA. I ja także.

(Cała scena coraz gwałtowniej).

ZDANOWSKI. Och! Wiecznie nie pozwalam! och! widmo, och, piętno Kaina! czyż i tu za nami iść będzie! *(nagle stanowczo)*. Głosować nie będziemy. Wybraliście mnie starostą... ja mam władzę, każę i tak będzie.

ANCYPA. Och! och, autokratyzm?

ZDANOWSKI. Wstydź się pan... wszakże dźwigamy wspólnie kajdany.

(Ancypa po chwili, podając Zdanowskiemu rękę).

ANCYPA. Przepraszam was bracie.

(Wchodzi Unteroficer).

UNTEROFICER. Nie pozwala.

(Szmer pomiędzy wygnańcami).

ANCYPA. Ach! gdybym ja go mógł raz dostać... to już ta strojna lalka cała by mi z rąk nie wyszła.

ŻARSKI. Taki dzieciak pastwi się nad nami.

UNTEROFICER. Skazał szczo budiet diełat smotr *(do Zdanowskiego cicho)*. Wot... wasze piat kopiejek.

ZDANOWSKI. Weźcie je, to dla was.

UNTEROFICER. Niet, niet, ja niczewo nie zdiełał, wazmitie, u was i tak dienieg niet.

(Słychać dzwonki zdaleka).

ZDANOWSKI *(do partji)*. Bracia! zdaje się, iż dzisiejszego wieczora jeść nie będziemy. Cóż robić? Pokrzepmy się tą myślą, że nie jemy wszyscy. Kto ma kawałek zapasowego chleba, niech go odda dla kobiet i obłąkanych.

KINIEWICZ. U mnie jest chleb.

HRABIA LIPSKI. U mnie także.

(Oddają chleb. — Zdanowski podaje go Staniszewskiej — ona odmawia).

STANISZEWSKA. Oddajcie obłąkanym i tamtej ruskiej katorżnicy z dzieckiem.

(Chleb, przechodząc kolejno z rąk do rąk, dostaje się wreszcie po połowie obłąkanemu Stasiowi Wilgockiemu i jednej z chłopek, obłąkanej także).

STAŚ WILGOCKI. Dajcie, dajcie jeść! jeszcze... i pić!

(Dzwonki się przybliżają).

ZDANOWSKI. Bracia! Widocznie dzisiaj Aniuczkin wpadł w swoje nerwne rozpołożenie. Proszę was, nie dajmy mu niczem poznać, iż upadliśmy na duchu. Poznaliście jego charakter. Dręczenie ludzi jest mu do życia konieczne. To już u niego chorobliwe.

ALFONS PODCZASKI (*młodziutki, śliczny chłopiec, skuty razem ze swoim ojcem za nogi*). Niech choć kajdany zdjąć każe! Ja iść nie mogę... noga mi nabrzmiała strasznie, kajdany na mnie za ciasne.

STANISŁAW PODCZASKI (*siwy, niski starzec*). Muszą być za ciasne... do mnie dobierali. A ja przecież szkielet w porównaniu z synem.

ZDANOWSKI. Zaklinam was, jeszcze trochę cierpliwości. Podczas smotru ja będę wszystko robił, aby coś u niego wymódz.

ANCYPA. Nie chcę wam robić wymówek... ale tak postępując, jak wy...

ZDANOWSKI. Ależ ja sobie gwałt straszny zadaję, aby nie wybuchnąć. Przecież czuję, iż zgubiłbym was wszystkich.

ANCYPA. Jabym z nim inaczej postępował.

ZDANOWSKI. Ależ my na jego łasce i niełasce.

ANCYPA (*gwałtownie*). Zabić!

ZDANOWSKI. Milczcie- Za to jedno słowo wszyscy paść mogą.

SCENA ÓSMA.

Ciż — Sierakowska — Jemszczyk Kozak — 2 Sołdatów.

JEMSZCZYK (*za bramą*). Bie-regis!

ZDANOWSKI. Ach! to może moja żona. (*wpada konno kozak, zeskakuje z konia — oddając wybiegającemu Aloszy — za nim wjeżdża kibitka, na niej siedzi jemszczyk, dwóch sołdatów*

z bronią i Zygmuntowa Sierakowska. Jest to młodziutka kobieta, dziwnej piękności, brunetka, czarno odziana, blada, podczas jazdy spadła z jej głowy czarna chustka, włosy rozpadły się — ona siedzi prawie zemdlona, podtrzymywana przez sołdata, kibitka zatrzymuje się przed etapem.

KOZAK (*do Aloszy*). Etapnyj gaficer?

ALOSZA, Chodźcie za mną!

(Kozak wpada do domu).

KAROLINA STANISZEWSKA. Któraś z naszych kobiet! Och! gdyby się dowiedzieć kto?

ZDANOWSKI (*do Unteroficera*). Kto to jedzie? kogo wiozą,.. błagamy, dowiedźcie się.

UNTEROFICER (*podchodzi do sołdata pyta się i wraca*). Iz Wilna. Zygmuntowa Sierakowska.

POLACY. Sierakowska!

(Zdejmują z głowy czapki z oznakami czci).

KAROLINA STANISZEWSKA. Spojrz pani na nas! Pozwól się powitać.

SIERAKOWSKA (*od kilku chwil starała się przyjść do siebie, z wysiłkiem*). Ach! to wy także Polacy! Witajcie... ja jestem chora... mówić nie mogę... chodźcie do mnie...

(Polaków kilku chce wystąpić z szegu).

UNTEROFICER. Nie lzia!

ZDANOWSKI. Na chwilę.

UNTEROFICER. Nie lzia! Sałdaty!

(Kilku sołdatów staje pomiędzy kibitką a szeregiem wygnańców).

SIERAKOWSKA *(wstając w kibitce)*. Wasze nazwiska?

(Słychać nazwiska: Zdanowski, Staniszewska, Podczaski Kiniewicz).

SIERAKOWSKA. Z daleka?

ZDANOWSKI. Z kijowskiej turmy.

SIERAKOWSKA. A ja prosto od Murawiewa... (*Po chwili*). Wy wiecie... Zygmunta powiesili.

POLACY. Wiemy! Pokój mu! W drodze bracia powiedzieli!

KOZAK *(wychodzi z domu)*. Pojadiem dalsze!

SIERAKOWSKA. Ależ ja chora... ja odpocząć muszę... ja dalej nie mogę... mnie głowa od tej jazdy pęka z bólu.

KOZAK. Nie można — mówią. że miejsca nie ma.

SIERAKOWSKA. Ależ w tym domu ja mogę odpocząć! Ja na tej ławce odpocznę... pozwólcie... mnie tak boli głowa.

KOZAK. Niet... niet... i tak my opóźnili się i na tym etapie nie prykązano nocować. Gdyby było miejsce... ale miejsca nie ma! *(Do jemszczyka)*. No pajeżdzaj!

SIERAKOWSKA (*do wygnańców*). Bądźcie mi zdrowi... módlcie się dla mnie o śmierć.

POLACY. Bądź zdrowa!

SIERAKOWSKA. *(Wyjmuje z futra gałązkę szpilkowej syberyjskiej rośliny, rzuca ją wygnańcom i woła już odjeżdżając).* Na pamiątkę po Zygmuncie i po mnie.

(Ancypa chwyta gałązkę i przyciska do ust — kibitka rusza w bramę poprzedzona przez kozaka — w domku słychać grę na gitarze „razdieli sa mnoj ty dolu", dzwonki oddalają się.

ANCYPA. Jak sen znikła... a taka piękna!

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż — Brodiaga. (Ściemniło się zupełnie — chłopi litewscy zbili się znów w gromadkę — śnieg sypie ciągle. — Brodiaga podchodzi do szeregu, sołdaci ustąpili — Sybiracy zniknęli — pozostaje tylko gromada skazańców, którzy coraz więcej tulą się do siebie. Niektórzy siadają na ziemi tak, iż formuje się czarna zbita grupa na środku sceny, okolona sołdackimi bagnetami. Z domku dolatują ciągle dźwięki gitary, Unteroficer patrzy przez bramę).

BRODIAGA *(do siebie).* Wot i moja partja!

(Obchodzi szeregi i patrzy badawczo na więźniów).

HR. LIPSKI *(do Brodiagi).* Idź precz!

ZDANOWSKI. Co się stało?

HR. LIPSKI. Jakaś kanalja, smarowóz mi tu pod nos lezie... Won!

BRODIAGA. A cztoż ty brat rugajeszsia, ha?

HR. LIPSKI. Ja nie twój brat?

BRODIAGA. Cztoż ty, prinz? archirej? Jeślib ty, w katorzniczej sierośce, to ty mój brat. Tolko ja starszyj, bo ja pietnasty raz popadaju w katorga, a ty pierwyj.

ZDANOWSKI. Czego wam trzeba?

BRODIAGA. Niczewo... ja tak... smotr diełaju. A to patrzę na was i myślę.. hej! hej! tyle umnych ludzi... same mądre... skuli ich... hej! a jak to uciekać iz katorgi będzie z niemi chytrze!

KINIEWICZ. Idź ty bracie swoją drogą. Nie podchodź do nas z takiemi słowy. *(Do Zdanowskiego).* Trzeba się mieć na baczności, bo to mogą być agenci prowokacyjni.

ZDANOWSKI *(patrząc z zajęciem na Brodiagę).* Nie... nie... ten Brodiaga to dusza Sybiru, ręce mu skują... nogi okują... on je wyswobodzi i ucieknie.

BRODIAGA *(ogląda kajdany Podczaskich).* Da! da! krepka sztuka... ale co i takie przepiłować można... ja jeszcze silniejsze spiłował. *(Do młodego Podczaskiego, który legł wyczerpany u nóg ojca).* Cztoż gałubczyk? tiażeło, co? mołodoj... *(Patrzy po wygnańcach).* Boh mój! jaka u was głosach skuka i smutek. Ta cztoż... batiuszki... zima w turmie a na wiosnę... ot... w świat. Jeśli to drzewo zaszumi liśćmi, rozerwać kajdany da w świat! My tak Sybirjacy!

ZDANOWSKI *(porwany).* Oni tak Sybirjacy!

STANISZEWSKA *(szybko i głośno)*. A Sierociński... a inni...

ZDANOWSKI *(z zapałem)*. Wytyczną drogą dla nas ich trupy! *Wpada sołdat i mówi do Unteroficera)*.

SOŁDAT. Wasze błahorodje... tarantas! *(Unteroficer wbiega do domu, po chwili wpada za nim Aniuczkin i Proskurów)*.

ANIUCZKIN. Wsie ssylnyje w etap... skareje *(szmer pomiędzy skazańcami)*. Unteroficer! skareje!

ZDANOWSKI *(występuje cośkolwiek z szeregu)*. Panie Aniuczkin! pan zapewne zapomniał, że my od rana nic ciepłego w ustach nie mieli?

ANIUCZKIN. Jak wy śmiecie?

ZDANOWSKI. Ja do pana mówię w tej chwili jak do człowieka a nie do oficera wiodącego partję... My jesteśmy głodni... kajdany są za ciasne... poraniły ręce, nogi.

ANIUCZKIN (*do Unteroficera)*. Dać chleba w etap... wiadro wody... zdjąć kajdany... skareje! *(Rozkuwają więźniów)*.

ZDANOWSKI. My przeziębli, czekając na dworze... coś ciepłego pozwól pan nawarzyć.

ANIUCZKIN. Ej panie Zdanowski... kto wiedzie partję ja czy pan... komu władza dana...

ZDANOWSKI. Zdana władza człowiekowi a pan się okazujesz zwierzęciem.

ANIUCZKIN *(wściekły)*. Zwierzęciem? kto? czto? Wy podobno panie Zdanowski byli tam w Polsce pułkownikiem... nu to dlatego wy takoj gordoj. Nu za to pan Zdanowskij pułkownik ostanie się w kajdanach na noc, żeby lepiej podumał kto zwierz, czy ten co ma siłę, czy ten co leży u nóg... ot,. jak sobaka! W etap ich! *(Żołnierze wracają wszystkich więźniom do etapu — biorą deski leżące na dworze i zabijają otwór etapny. Przedtem Alosza wniósł do etapu kilka bochenów chleba.*

ALFONS PODCZASKI *(odchodząc do etapu)*. Ojcze! ja się boję... znów nas zamkną z warjatami. Boże! to dla mnie największa męka!

ZDANOWSKI *(do Aniuczkina)*. Obrazę moją kiedyś ci policzę... ale z urzędu mego proszę o względność dla partji. Oddal pan od nas warjatów i umieść ich osobno. Między nami są ludzie nerwowi... boją się...

ANIUCZKIN. Ni za czto na świetie. wszyscy razem!

ZDANOWSKI *(po chwili)*. Pozwól pan kobietom przenocować w domu oficera. Ot pani Staniszewska... siwa kobieta... upada ze znużenia.

ANIUCZKIN. Niet... wsie razem.

ZDANOWSKI. To choć...

ANIUCZKIN *(krzycząc)*. Dostatoczno! Zabić otwór... skareje! *(Sołdaci wykonują rozkaz. Dwóch*

staje na warcie, inni idą przed bramę. — Słychać dzwonki).

ANIUCZKIN (*do Proskurowa*). Eto... ona Zdanowskaja!

PROSKURÓW. Szkoda, że niema ode kołonu... a to straszno cuchnie w komnacie od tytoniu... (*Tarantas zatrzymuje się przed bramą. Wysiada z niego Zdanowska z dziećmi. Noc zupełna. Zdanowska młoda, bardzo piękna kobieta... blada... odziana ciepło... koło niej troje dzieci w kożuszkach i bucikach.*

SCENA JEDENASTA.

Ciż — Zdanowska.

ZDANOWSKA. Gdzież partja?... Wszak tu etap...

ANIUCZKIN (*podchodzi*). Da, madam... zdieś etap.

ZDANOWSKA. A mój mąż? panie oficerze... to partja już rozlokowana... tam?

ĄNIUCZKIN. Niet... niet! to tylko część... dalsze jest zabudowanie. Wy madame się spóźnili. Mąż kazał prosić, ażebym ja wyszedł wam na spotkanie...

ZDANOWSKA. Mój mąż... was prosił?

ANIUCZKIN (*rozgorączkowany*). Nu... da... my trochę się sprzeczamy... no... my wsio

dżentelmeny... Tak ot... ja na wasze rozkazy. Jakie wasze rozkazy?

ZDANOWSKA. Chodźcie dzieci... musimy odjechać.

ANIUCZKIN. Ale na co? na co? dzieci ustały... zmarzły... czaju im trzeba! Ot tam w domiszkie ciepło i czaj jest... Aj! aj madam Zdanowska, niedobra z was matka... dzieci głodne a wy chcecie jechać.

PROSKURÓW. Pazwoltie... poznakomitsia. Ja Fadiej Pawłowicz Proskurów... w domiszkie moim komnatka na wasze usługi. Ja lubię Polaków i zawsze moje komnaty im oddaję a głównie damom.

ZDANOWSKA. Dziękuję panu! Ale doprawdy pojąć nie mogę.— Pan zawsze w takiej walce z moim mężem.

ANIUCZKIN *(chytrze)*, Ja muszę... To służba... Nu... w duszy... ja inaczej razpołożen .. Ja ot czołem przed wami madam... Nu... czto? i ja człowiek jak inni... *(Chwyta dziewczynki i całuje je namiętnie)*. Ach! duszenka ty miła... *(Namiętnie)*. U ciebię oczy jak u... *(Stawia dziecko na ziemi i stara się uspokoić)*. No... idźmy... napojemy dzieci czajem...

ZDANOWSKA. Jeśli już tak ma być, to proszę o jedno. Jestem bardzo zmęczona... dzieci pragnę do snu ułożyć... chciałabym zostać sama.

ANIUCZKIN *(z ukłonem)*. Selon votre desirt... madame...

PROSKURÓW. Pazwoltie życzyć sobie spokojnej nocy.

ANIUCZKIN *(ze znaczeniem)*. Spokojnyj i miłyj... miłyj jak herufimy imiejut w niebie.

ZDANOWSKA *(stojąca na progu z pewnem wahaniem)*. Wolałabym pojechać do miasta.

ANIUCZKIN. Boh z wami... miasto od etapu 15 wiorst, dzieci zachorują... My wam przeszkadzać nie będziemy. Ot, nie odmawiajcie... a to pomyślę, iż wy pogardzać mną chcecie i karać za moje trochę ostre z wam przedtem postępowanie.

ZDANOWSKA *(smutnie)*. Karać pana... nie wolno. Ja mogę tylko życzyć sobie, ażebyś pan był innym. Dobranoc panom.

OFICERZY OBAJ. Pokojnej nocy!

(Zdanowska z dziećmi wchodzi do domu. Widać przez okno jak rozbiera dzieci, nalewa im herbatę).

ANIUCZKIN *(oszalały z miłości)*. Ot... angieł... ot kniahyni!

PROSKURÓW. Da.. no wy wiecie... blada a potem harda. Ona patrzy na nas kak na psy.

ANIUCZKIN. Niet! wy nie wiecie, co to kobieta. Ona niby patrzy hardo... a ot uśmiechnie się... oczkiem strzeli. Tak i ta. Ona inaczej nie może... bo ona się mnie boi... Ona wie u mnie siła. Ale ona będzie dla mnie

łaskawsza. Jeśli nie dla mojej urody, to ze strachu przedemną.

PROSKURÓW. Możeby jej coś zaśpiewać i pograć na gitarze pod oknem... ot serenada! *Zaczyna grać na gitarze. Zdanowska w domku staje nieruchoma... po chwili podchodzi do okna).*

ANIUCZKIN *(rozmarzony).* Idzie do okna... igrajtie... igrajtie... Fadiej Pawłowicz... Tamara ty moja... ja twój demon... ja k' tiebie idu... k' twoim objęciom... k' ustom twoim... moja... moja... *(Zdanowska zapuszcza firanki u okna).*

PROSKURÓW. Wot tiebie war...

ANIUCZKIN. Igraj... igraj... eto kaprysy... damskie kaprysy!

PROSKURÓW. Możet byt!

ANIUCZKIN *(nagle)* Ide k' niej... nie wydzierżu... *(Wpada do domku).*

PROSKURÓW *(rusza ramionami i przestaje grać).* Nu... ładno... teraz i ja pójdę spać... pora... *(Kieruje się ku drzwiom, nagle otwierają się drzwi i widać przez nie bladego jak trup Aniuczkina, który wyrzuca na śnieg dziewczynkę Zdanowskiej.*

ANIUCZKIN *(jak szalony z gniewu).* Eto tak! eto ja k' wam łaskawo a wy mienja... *(porywa z rąk Zdanowskiej, która się ukazuje na progu, chłopca i wyrzuca na śnieg).*

ZDANOWSKA. Dzieci! nie zabijaj mi dzieci nikczemniku! *Wybiega na scenę, trzymając za rękę trzecie dziecko, porywa poprzednio wyrzucone dzieci i tuli ich do siebie).*

ANIUCZKIN. Won ot tuda... won! Ja chciał z wami po ludzku... no nie lzia... Wy śmieli na mnie rękę podnieść... Ja was nauczu!

ZDANOWSKA *(do Proskurowa).* Panie! ratuj mnie pan... gdzie ja z dziećmi pójdę... co ja zrobię...

PROSKURÓW. Za czem wy madame taka niełaskawa? Zosiej Fedorowicz czudnyj...

ZDANOWSKA. I ten także... i ten...

ANIUCZKIN *(woła).* Unteroficer!

UNTEROFICER *(wchodzi z poza bramy).* Słuszajusz Wasze Wysokobłahorodje!

ANIUCZKIN. Odbić etap... skuć więźniów... w drogę...

UNTEROFICER. Słuszajus Wasze Wysokobłahorodje!

ANIUCZKIN *(pieniąc się ze złości).* Pajediem! dobrze... pajediem... i wy madam Zdanowska z dziećmi... proszę za konwojem! Wot za mężem ty bohaterko...

ZDANOWSKA. To nie bohaterstwo! to obowiązek! *Unteroficer wchodzi do etapu i po chwili wraca).*

UNTEROFICER. Wasze Wysokobłahorodje... oni iść nie chcą...

ANIUCZKIN. Ja im pokażę! *(Biegnie do etapu i staje w otworze. — Widać więźniów zbitych w masę — na środku etapu, u sufitu latarnia — Zdanowski stoi pośrodku partji. Obok niego Padczaski z synem.*

ANIUCZKIN. Dlaczego wy iść nie chcecie?

ZDANOWSKI. Jesteśmy chorzy, zmęczeni, głodni... zrobiliśmy nasze 500 wiorst na miesiąc i nie macie prawa gnać nas dziś z etapu.

ANIUCZKIN. Łżesz! nie zrobiliście 500 wiorst... ja prowadzę liczbę... Wy nie śmiejcie przeczyć... Wyjdźcie wszyscy, a nie to...

ZDANOWSKI. Myśmy na wszystko przygotowani... lecz dłużej tak znęcać się nad sobą nie pozwolimy. Życie nasze to nie igraszka dla młokosa i choć nędzne ono, bronić je będziemy.

ANIUCZKIN. Małczat! wy pan Zdanowskij! Wy od siebie tylko gadacie. Niech zaraz ci, którym życie miłe, z etapu wyjdą... ja na nic się oglądać nie będę.

ZDANOWSKI *(do więźniów)*. Bracia... któren z was chce opuścić etap i udać się w dalszą drogę niech wyjdzie stąd dobrowolnie.

LIPSKI *(z dumą)*. Czego się pan o to pytasz! Nikt nie wyjdzie. Niech kanalja morduje.

ZDANOWSKI. Kto iz ruskich choczet wyjti... pust... wychodit! *(Kilku kryminalistów Rosjan wy-*

chodzi z etapu i trwożliwie staje opodal. Sołdaci natychmiast zaczynają ich skuwać).

ANIUCZKIN. Tak, eto bunt powstanie?!

ZDANOWSKI. Wywołałeś go sam i zdasz za niego rachunek przed władzą!

ANIUCZKIN *(pieniąc się ze złości).* Ja się nikogo nie boję... nie mam nad sobą władzy.

ZDANOWSKI. Zapominasz o Bogu! *(Do partji).* A więc wszyscy dobrowolnie zostajecie wraz ze mną!

WSZYSCY. Dobrowolnie!

ZDANOWSKI. Dziej się wola Boża!

ANIUCZKIN *(do sołdatów).* Strelat! *(6-ciu sołdatów staje ze strzelbami zwróconemi w etap).*

ZDANOWSKA *(rzuca się ku Aniuczkinowi).* Jezus Marja!

ANIUCZKIN. Czto... łzy? wot... prekrasno!

ZDANOWSKI. Zofjo! odejdź... ty żyć musisz dla dzieci!...

ANIUCZKIN. Dzierżytie jejo! *(Dwóch sołdatów chwyta Zofję Zdanowską i trzyma silnie za ręce).*

BRODIAGA *(do siebie, który się przypatrywał).* A jeślib tak w łob jewo! *(Wskakując do etapu).* Smirno bratcy! ja z wami.

ANIUCZKIN. Strelat! *(Płacz kobiet w wewnątrz etapu. — żołnierze wahają się strzelać).*

ANIUCZKIN. Unteroficer! zaczem oni nie strelajut? Ja was pod sąd!

UNTEROFICER (*cicho*). Tam kobiety i chorzy...

ANIUCZKIN. Eto nie wasze dieło! strelat! potem kolbami ich! Pli! (*Strzał — cisza — i słychać jęk Alfonsa Podczaskiego*).

ALFONS PODCZASKI. Ojcze! (*Pada martwy na ziemię*).

GŁOSY W ETAPIE. Jezus Marja! zabijają! wychodźmy! wolimy! iść... chodźmy... chodźmy!

ANCYPA (*chce się rzucić na Aniuczkina*). Zabił morderca! (*Sołdaci na giest Aniuczkina, zasłaniają go przed wygnańcami, obracając bagnety ku tym, którzy chcą się rzucić na oficera. — Wszyscy wychodzą z etapu, nad zwłokami zostaje ojciec*).

ANIUCZKIN (*chwilę stoi, jakby zawstydzony — wreszcie uderza się po ostrogach szpicrutą*). Hej, jemszczyk podawaj kibitki! A ich wsiech w dyby... da... i mieszać panów Polaków razem z naszemi... zakuwać skareje! (*Sołdaci zakuwają*). A ot pan Zdanowski pójdzie... (*Szuka oczami i dostrzega Brodiagę*) z etim brodiagą razem... Dobrana będzie kompanja..

BRODIAGA (*triumfująco*). I taki ty mienja zaaresztował! (*Sołdaci chcą wywlec starego Podczaskiego z etapu*).

PODCZASKI. Zostawcie mnie razem z sy-

nem! *(Sołdaci tłumaczą mu coś po cichu i wyprowadzają do zakucia).*

ANIUCZKIN Tarapitieś! Spieszcie sięl Wszyscy w szereg pod liczbą... skareje!

KAROLINA STANISZEWSKA (*do Zdanowskiej).* Sił nie mam... nie wiem, czy zdołam iść dalej.

ZDANOWSKA, Niech pani siada na tarantasa wraz z dziećmi, ja pójdę za panią w szeregu do następnego etapu.

KAROLINA STANISZEWSKA. Muszę przyjąć, w oczach mi ciemno. *(Staniszewska bierze dzieci i idzie za bramę).*

ANIUCZKIN *(widząc, jak Zdanowską skuwają z kryminalistą).* A ot prekrasno! madam Zdanowskaja, razem ze wszystkiemi. (*Wskakuje do kibitki).* Za mnoj! *(wyjeżdża za bramę — w etapie leżą martwe zwłoki Alfonsa Podczaskiego).*

ZDANOWSKI. Bracia! Niech każdy z nas w duszy odmówi pacierz za tego, którego ciało tutaj pozostaje, lecz duch idzie z nami.

STANISŁAW PODCZASKI. Gdyby choć ciało wziąść.

ZDANOWSKI. Napróżno. Wiecie sami... nie dadzą... tu musi spoczywać gdzie padł.

JEDNA Z CHŁOPEK LITWINKA. Gdyby choć garstkę ziemi.

STANISŁAW PODCZASKI *(ze łzami przechodząc w szeregu mimo etapu).* Śpij synu spokojnie!

WSZYSCY. Śpij bracie spokojnie! *(konwój formuje się powoli i w ciszy odchodzi. Na scenie pozostaje Alosza — Proskurów i martwe ciało Alfonsa — słychać długo brzęk kajdan i nawoływania sołdatów. Gdy wszystko ucichło — Proskurów ziewa wyciąga ręce i mówi):*

PROSKURÓW, No... uszli... i znowu skuka — nudy. *(po chwili).* Alosza! Alosza!

ALOSZA (*nie odzywa się, tylko stoi i patrzy w etap).*

PROSKURÓW. Czto ty abałdieł? çzto tam patrzysz? trup leżyt... pust... leżyt... jutro pochowają go po rządowej części. A Dikuszka?... parszywaja kundla... spit?...

ALOSZA (*ciągle patrzy w etap).*

PROSKURÓW. Cztoż spat! uż nie budu. Napijuś czaju... Alosza postaw samowar. Ty wsie na tego trupa patrzysz? da... ostaw... czort z nim! *(wchodzi do domu, bierze gitarę i zaczy nabrzdąkać, siędząc przy stole).*

ALOSZA (*sam zwrócony do etapu).* Czort z nim?... niet — Boh z nim! chotia on tylko buntowszczyk! Jaki młody! dziecko prosto? Gdzie twoja matka... biedniaga... gdzie twoja matka? *(Siada na ławce, patrząc ciągle w etap i ociera łzy—w etapie trup młodego Podczaskiego leży oświetlony dogorywającem światłem latarni — kurtyna wolno zapada).*

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

U GUBERNATORSZY.

Scena przedstawia salon w pomieszkaniu Gubernatorstwa Aksakowa. Jestto bardzo obszerny pokój bielony z olbrzymiem weneckiem oknem w głębi. Sufit belkowany — wystające belki malowane na niebiesko — przed oknem schodki drewniane — na nich masa kwiatów w doniczkach. Meble ceratą kryte, ciężkie — w rogu ikon przed nim lampka zapalona, po lewej duży piec, obok niego tak zwana leżanka, to jest kaflowe wzniesienie, ogrzewane od spodu. Po lewej pierwszy plan kmnapa, na ziemi dywan, na nim stół okrągły, dookoła fotele i krzesła. Na środek sceny wysunięty — ogonem w lewe kulisy — duży ładny fortepjan. Po prawej plan drugi: biurko gubernatora, za nim fotel — zresztą umeblowanie niegustowne — dwie lub trzy serwantki oszklone, w nich pełno porcelany i gratów. Dużo patarafek z włóczki. Na ścianach landszafty na kanwie i dwa oleodruki cara Aleksandra II. i Mikołaja I. Za podniesieniem zasłony słychać straszny gwar kobiecych piszczących głosów, brzdąkanie na fortepjanie, szczęk łyżeczek. Na kanapie siedzi Marja Gawryłówna Aksakowa w czarnej jedwabnej spódnicy i białym perkalowym haftowanym kaftaniku. Na głowie ma związaną pod brodą jedwabną szafirową chustkę, pretensjonalnie uczesane. Jest to bardzo tłusta kobieta, lat około czterdziestu, czerwona i zdrowa. Siedzi z nogami podkurczonemi na kanapie i pali papjerosa. Na fotelu: kupczycha przegląda dziennik mód z I-szą sybirską damą. Sonia nalewa herbatę. Masza stoi koło fortepjanu i brzdąka. Druga sybirska dama cokolwiek odsunięta siedzi na fotelu w kapeluszu i co chwilę wyciąga z kieszeni ziarnka słonecznikowe i gryzie je ze zręcznością małpy. Kobiety wszystkie mają krynoliny: bluzki wogóle ubrane modą

61—62 roku. Na stole samowar, szklanki, łyżeczki, głowa cukru owinięta sinym papierem i nadrąbana. Mała siekierka, którą damy odrębują cukier, gdy biorą go na prykuskę. Wszyscy piją herbatę wylewając ze szklanek na spodki i trzymając spodki na pięciu palcach wzniesionych wysoko w górę.

SCENA PIERWSZA.

Aksakowa — Sonia — Masza — I. Sybirska dama — II. Sybirska dama — I. Kupczycha — II. Kupczycha.

AKSAKOWA *(do I. Sybirskiej damy).* Może czaju.

I. SYBIRSKA DAMA. Merçi... pięć stakanow wypiłam.

AKSAKOWA. Głupost'... tak przy rozmowie można i trzydzieści wypić.

II. SYBIRSKA DAMA. Ale rojal wasz cudo! To wasz mąż sprowadził na miejsce starego?

AKSAKOWA. Boh z wami! On by nam jaki podarek zdiełał? on? Da on całą swoją pensję chowa, a sam jeszcze czeka, żeby my jemu jaki podarek zrobiły... ot anafema to kakaja.

MASZA. Da! papasza chytry i skąpy.

AKSAKOWA. I nijak z nim, ani po złości, ani po dobroci. Już i histeryki podpuszczam i spazmy i nerwy rozwodzę i nijak ładu nie dojdę. Ot! Hospody! co tu gadać! Może rumu duszeńki podrugi?

KUPCZYCHA. Mnie kapelkę Marja Gawryłówna, a to dziś nudno i chłodno.

AKSAKOWA. Zakurz papieroskę Marja Iwanówna. Od papieroski to nawet miłosna nuda rozwieje.

I. SYBIRSKA DAMA. Ach! tu i o miłosnej nudzie mowy być nie może.

AKSAKOWA. Za czem? za czem?... nie brak-że teraz i szykarnych oficerów?

I. SYBIRSKA DAMA. Mówcie o jednym. Innych nie widzę.

II. SYBIRSKA DAMA. Onże jeden anioł starczy za cały tysiąc.

MASZA *(zbliżając się do stołu)*. Wy o Zosieju Grygorjewiczu?

II. SYBIRSKA DAMA. A o kimże duszeńka miła. Toć on herufim. Całe miasto za nim chodzi. Krasawiec a mołodeńkij... czudnyj! czudnyj!

WSZYSTKIE *(oprócz Aksakowej i Soni)*. Czudnyj! Herufim!

II. SYBIRSKA DAMA *(do Aksakowej)*. A wy co Marja Gawryłówna? wy nie w zachwycie? wam nasz herufim nie w smak?

AKSAKOWA *(powoli ze spuszczonemi oczyma)*. Och! niet... tylko ja ot na nazwanie wasze zgodzić się nie mogę. Herufim? niet! niet! eto za słodko, za łaskawo... demon on... demon. Tamary demon! iz Lermontowa baśni.

MASZA. Ach da mameńka, wy dobrze mówicie, on Lermontowskij demon!

AKSAKOWA *(groźnie)*. A ty kuda Lermontowa znajesz?

MASZA. Przeczytałam mameńka wziąwszy z waszej komnaty. Za czem że nam dziewicom nie wolno czytać książek, które Zosiej Grygorjewicz przynosi.

AKSAKOWA. On dla mnie przynosi nie dla was.

MASZA. Och mamo! skądże wiesz... on wczora ze mną długo i kokietliwo rozmawiał.

AKSAKOWA. Z tobą! dura edakaja. Sonia zagraj coniebądź, a ty lepiej pozwij Bukaszkę. Samowar wygasł.

MASZA *(biegnie ku drzwiom)*. Bukaszka! *(Koło okna)*. Sonia! Madam!.,. Mamoczka!... Jedzie — jedzie...

WSZYSTKIE. Kto?

MASZA. Zosiej jedzie na perelotce. *(Wszystkie oprócz Sonji biegną do okna)*.

I. SYBIRSKA DAMA. Kak prync jedzie... ot kłania się. *(Wszystkie tłoczą się do okna i machają chustkami piszcząc):* Zdrastwujtie!

II. SYBIRSKA DAMA. Ukłonił się.

MASZA. Gdzie on może jechać?

AKSAKOWA. Do turmy — ot, staje u wrot, Tam i Piotr Stepanowicz już od pół godziny siedzi.

I. SYBIRSKA DAMA. Czy nową partję Polaków przywiedli?

AKSAKOWA. Niet... ale z dawną coś tam nie wład tak ot i Piotrowi Stepanowiczowi jako gubernatorowi nada porządek zaprowadzić. Bo to jedni na posielenie, inni na katorgę, inni na turmę — czort znajet, jak tam z niemi... A wszystko to gorde ho! ho!

I. SYBIRSKA DAMA. Da,.. mój mąż powiada, że to dla nas sybirskich nieszczęście, że ich tu zsyłają. Biedniagi tylko patrzą, gdzie jaki zarobek naszym wydrzeć.

AKSAKOWA. Nu, jest między niemi inteligenty... Nasza ot guwernersza Zdanowskaja, gra na rojale... po francusku i Sonję i Maszę manier dobrych uczy.

MASZA. A zakazała nam madam Zdanowska, żeby my kosą gęby nie obcierały, jak herbatę wypijemy.

I. KUPCZYCHA. Nu, nu.. nowe porządki.., my od dzieci kosą gębę po czaju ucieramy, a zdrowo żyjemy...

MASZA. Bukaszka! Bukaszka! gdzież ten czortow syn?

SCENA DRUGA.

Też same — Bukaszka. (Tłusty, bardzo młody dienszczyk, w białej bluzie, łagodny i cichy).

AKSAKOWA. Gdzie ty się podziewasz prachwost... ty edakij. Nie wiesz, co na żurfiksie samowar ciągle powinien kipieć? ha?

BUKASZKA. Winowat wasze błahorodje... zdrzemnął się.

MASZA. Wot tobie raz... jaki predsiedatel... a to cztob ty prasnułsia... *(Uderza go w twarz).*

AKSAKOWA. Daj jemu z drugiej strony w mordę .. niech pamięta o służbie...

SONIA. Masza!

MASZA. Czto? czto? czego ty chcesz? *(Bije Bukaszkę).* Ot jeszcze raz, jeszcze... *(Zamierza się. Wchodzi Zofja Zdanowska, i chwyta ją za rękę).*

SCENA TRZECIA.

Też same — Zofja. (Zofja odziana biedno, ale cało, patrzy surowo na Maszę).

ZOFJA. Masza!... ja tobie zakazałam bić Bukaszkę!

MASZA *(hardo).* Mameńka pozwoliła.

ZOFJA. Pani gubernatorowa każe wyjść Bukaszce.

AKSAKOWA *(zmieszana).* Uchodzi procz! *(Bukaszka wychodzi. — Chwila milczenia).* Wy madam Zdanowskaja naprasno mieszacie się w te sprawy,.. Z chłopstwem tolko u nas biciem...

ZOFJA. I dobrem słowem.

WSZYSTKIE PANIE. Ach! czto... eto szutki...

AKSAKOWA *(zła)*. To już nasze dieło, jak ze służbą, a wasze dieło ot by kazać moim córeczkom co zagrać na nowym rojale. Drogo nas lekcje kosztują. Niechże chodź ludzie widzą, że w pomyjną jamę nie wrzucamy pieniędzy.

ZOFJA. Zagraj Soniu.

SONIA *(łagodna blondynka))*. Co zagrać? Ja chciałabym Szopena...

ZOFJA. Zagraj preludjum. *(Sonia siada i gra cicho. — Zofja siedzi przy niej i przewraca kartki. Bukaszka wnosi samowar. Panie piją herbatę. Chwilę słuchają, wreszcie znów zaczynają rozmawiać.*

SYBIRSKA DAMA. Harda jakaś ta guwernersza... Czy to zesłana?

AKSAKOWA. Nie, ona po dobrej woli przyjechała za mężem. On skazany do katorgi, ale że teraz transport dalszy utrudniony to zatrzymali go u nas, w turmie.

MASZA *(śmiejąc się)*. W lokatorach, jak mówi papasza.

AKSAKOWA. A ona za zarobkiem chodzi, zanim dalej pojadą. Nastręczyła mi ją Awdotja Pawłówna. Jej synka uczy francuskiego.

I. SYBIRSKA DAMA. Blada i smutna.

AKSAKOWA. Da z czego jej weselić się? ha? Podobna dworianka, a w guwernerszy popadła *(Do Kupczychy)*. Agrafena Nikołajewna czaju? a może papirosku?

I. KUPCZYCHA. Merçi... mnie to od prykuski został się w gębie kawałek cukru, to ja jeszcze smokczę.

SONIA *(grając, do Zofji)*. Nikt nie słucha... może przestać grać...

ZOFJA. Graj dla siebie samej dziecko...

SONIA. Mnie ten hałas i ta przegaworka denerwuje... ja chciałabym tak ciszy... *(Urywa nagle granie)*.

SCENA CZWARTA.

Też same — Aniuczkin. (Wszystkie kobiety, oprócz Sonji i Zofji zrywają się uszczęśliwione).

AKSAKOWA. A... nareszcie.

ANIUCZKIN. Izwienitie... ja był zajęty, ledwo się wydostał...

MASZA *(z grymasem)*. Eto wy tak kokietliwo tylko kazali na siebie czekać!

AKSAKOWA *(ostro)*. Masza! odstań od Zosieja Grygorjewicza.

MASZA. Za czem mameńko! za czem? razwie ja nahalna

ANIUCZKIN. Wy? ach... quelle idiél...

MASZA. A wot widzisz mameńko, Zosiej Grygorjewicz rad ze mną mówi.

AKSAKOWA. Odejdź Masza! my chcemy także z Zosiejem Grygorjewiczem pomówić. *(Aniuczkin zbliża się do stołu, panie robią mu miejsce, nalewają mu herbaty, on się szasta, dzwoni ostrogami).*

AKSAKOWA. Czajku!

ANIUCZKIN. Miłosti prosim. *(Spostrzega Sonię i Zofję).* A pardons... nie widziałem panie, wszedłszy.

AKSAKOWA. Wy znacie madam Zdanowskoj?

ANIUCZKIN. Jakże to? ja miał cześć prowadzić partję w której szła madam Zdanowska.

AKSAKOWA. Ach da! ja zapomniałam. *(Z kokieterją).* No, skoro wy Zosieju Grygorjewiczu zjawiacie się to prosto tyle myśli do łba się tłoczy. że ręce opadają,

ANIUCZKIN. Zdaje się, że panna Sonia grała na rojale. Czy można prosić, żeby jeszcze co niebądź zagrała?

SONIA. Moja gra nie będzie wam w guście Zosieju Grygorjewiczu.

AKSAKOWA. Wot widzisz... dura kakaja.. wot ona taka wiecznie mądra, jak archirej.. nie w guście.

ANIUCZKIN. Zostawcie Marja Gawryłów-

na... panna Sonia nie ze siebie ma takie mniemanie... eto madam Zdanowska tak mnie profanem okazuje... kakże madam Zdanowska... cóż? ja się mylę. *(Zofja milczy — po chwili zwraca się do Aksakowej).*

ZOFJA. Czy pani gubernatorowa pozwoli mi lekcje z panienkami zacząć?

AKSĄKOWA. Proszę niech pani idzie...

MASZA. Ja nie pójdę... ja ostanę się. Zosieju Grygorjewiczu, proście mamaszy, niech pozwoli ostać się tutaj.

ANIUCZKIN *(kokietliwo)*. Marjo Gawryłówna! dobroć to cnota aniołów! *(Wszystkie damy zachwycone)*. Prelest! czudno skazane!

AKSAKOWA *(uszczęśliwiona)*. Da ostań Masza! Sonia idzie z madam Zdanowskoj! *(Sonia i Zofja wychodzą na lewo)*.

I. SYBIRSKA DAMA. Nu sława Bogu, że poszła eta guwernersza... a to czysto mina, jak na pogrzeb albo na panihidy.

MASZA. Za czem ona was nie lubi, Zosieju Grygorjewiczu?

ANIUCZKIN. Ach mamzel Masza... wy już niedyskretna,

I. SYBIRSKA DAMA. Aj! aj... ja się założę, że to jaka romantyczna afera... czto!... wot widitie moi damy... Niet... wy uż czerezczur donżuan!

ANIUCZKIN. Ach! Wiera Iwanowna.. kakże!..

WSZYSTKIE DAMY. Da, da wy donżuan.

MASZA. Wy donżuan i diemon!

ANIUCZKIN. Och! Och!

AKSAKOWA. Da! wy diemon Zosieju Grygorjewiczu...

MASZA *(podłażąc mu pod oczy)*. Ach! ja by chciała być waszą Tamarą!

WSZYSTKIE DAMY. Masza! Masza! Masza!

MASZA. Nu co? może nie? każda z was by to chciała, tolko ja priamo mówię, a wy nie.

AKSAKOWA. Ach ty bezobrazje kakoje! Wot abizjana... uchodi procz!

ANIUCZKIN. Ach niet! zostawcie! mamzel Masza tak z żartów... Łuczsze porozmawiamy o balu, co go ma wydać dyrektor tiurmy. Wy nie mówiły, że chciałybyście potańcować polkę mazurkę.

WSZYSTKIE DAMY. Da! da!

MASZA. Radi Boga! nauczcie nas tańcować mazurkę.

ANIUCZKIN. Eto oczeń lekko... ot dwa szaga tak, a dwa szaga tak... *(Pokazuje. Damy wstają i usiłują tańczyć.*

MASZA. Bukaszka, weź harmoniję i graj czto niebud...

ANIUCZKIN. Nie można, trzeba mazurkę.

MASZA. Naplewat! My i tak potrafiemy. *(Bukaszka siada na leżance i zaczyna przygrywać na harmonji kozaka).*

AKSAKOWA. Pokażcie mnie Zosieju Grygorjewiczu, jak się tańczy.

ANIUCZKIN. W siju minutu. *(Biegnie do niej, bierze ją za ręce i usiłuje nauczyć kroków mazurowych, ona wściekła patrzy mu w oczy i mówi cicho).*

AKSAKOWA. Co ty miał z tą Zdanowską? Ty ją znał intimno?

ANIUCZKIN *(cicho).* Ty z uma zeszła Marzańka — astaw.

AKSAKOWA, Ostań się, jak one wszystkie pójdą, ja muszę z tobą gadać.

MASZA, *(która stanęła przed Bukaszką).* Jak ty grasz, ty świńskie ryło? *(uderza go w twarz i śmieje się).* Jak chlapnęło? co? Jak jego uderzyć, to chlapnie, jakbyś dłoń w donicę śmietany włożył. No, sprobój Agrafena Iwanowna, no, prosto śmietana.

I. SYBIRSKA DAMA *(do Kupczychy).* A wy?

I. KUPCZYCHA. Ja nie mogę — mnie stydno... Ja dziś nie wdziałam pończoch.

I. SYBIRSKA DAMA. Niet Zosiej Grygorjewicz... Dla mnie to za trudno. Ja nie potrafię.

MASZA. Głupost! Polaki potrafią—to i my. Cóż, oni przecież barbary naprzeciw nas... Słuszajtie — mnie rozpowiadali, że oni ruskie dzieci jedli. Czy to prawda?

AKSAKOWA. E... eto wzdor... lepiej tańczmy! Nu! ka? Bukaszka! smirno! *(Wszystkie tańczą ze śmiechem, nagle drzwi się otwierają i zjawia się w nich Aksakow).*

SCENA PIĄTA.

Ciż sami. — Aksakow. (Aksakow, mężczyzna tłusty, niski z podbródkami —ubrany w mundur i płaszcz mikołajewski—mieszanina nadzwyczajnej chytrości, brutalności i siły— oczy przenikliwe, uśmiech na pozór dobroduszny — nadzwyczaj inteligentny. — Zatrzymuje się w drzwiach, zrzuca płaszcz tak, że płaszcz pozostaje na scenie — to samo i czapka. Panie nie widzą go, tańczą — on przechodzj przez scenę i mówiąc „Pardons" wchodzi do swego pokoju. Panie przestają tańczyć cokolwiek zmieszane).

AKSAKOW *(u drzwi zwraca się do Aniuczkina).* Ja kwam imieju dieło Osip Grygorjewicz! *(Wchodzi do swego pokoju, chwila milczenia, kobiety zbliżają się do stołu, Aksakowa zła, nerwowo odrębuje cukier i gryzie).*

I. SYBIRSKA DAMA. Piotr Stepanowicz dziś nie w dobrem rozpołożeniu ducha.

AKSAKOWA. On zawsze taki. Jak tylko wejdzie, tak i cała proklamacja i anatomja po łbie bierze. — E to moje nerwy wydzierżać nie mogą. Ze mną może zdiełać się histeryka.

MASZA. Da, ostaw mameńka histeryku, lepiej tańcujmy mazurkę.

AKSAKOWA. Ty zwarjowała? A on że? (*Pokazuje na drzwi Aksakowa*). Da on nam taki kongres urządzi, że no!...

KUPCZYCHA. Tak idźmy lepiej do domu.

AKSAKOWA, Da już lepiej idźcie... ja was zatrzymywać nie będę — a cóż Boh mnie pokarał takim mężem, ot nie dom, a prosto kazamaty.

I. SYBIRSKA DAMA. Praszczajtie... a jutro do mnie na żurfix... klukwa świeża przyszła i wy Zosiej Grygorjewiczu także...

ANIUCZKIN. Jeśli czas mieć będę.

I. KUPCZYCHA. Dziękujemy za czaj i ugoszczenie. (*Kłaniają się i odchodzą*).

I. SYBIRSKA DAMA. Wy Zosieju Grygorjewiczu nie chcecie odjechać ze mną do domu?

AKSAKOWA (*szybko*). Niet! — on się tu zostaje. (*Damy wychodzą*).

SCENA SZÓSTA.

Masza — Aksakowa — Aniuczkin — Bukaszka — później Aksakow.

AKSAKOWA. Bukaszka ubieri procz samowar. (*Bukaszka zabiera samowar*), Masza idź uczyć się skarije.

MASZA (*grymasząc*). Niet! Ja się ostanę z Zosiejem Grygorjewiczem, my będziemy bałtat' o miłości i o Lermontowie.

AKSAKOWA. Uchodi procz — mierzawka! Tobie o miłości... idź uczyć się... won!

MASZA. Adje z bonżurom. (*Wychodzi na lewo*).

AKSAKOWA (*rzuca się do Aniuczkina*). A teraz ty mów czystą prawdę. Co ty miał z tą guwerneszą? Ona była w ciebie wlublona? co?

ANIUCZKIN. Patisze... mąż...

AKSAKOWA. Naplewat' mnie na niewo! Co on mi za mąż? Wkopał się w swoje dieła i na próbkę go nie widać. (*Idzie do drzwi Aksakowa i zagląda*). On uszoł w spalniu... Przeodziewa się... on będzie znów jakieś fokusy ze ssylnymi stroić. Diejatiel kakoj!... (*Gwałtownie do Aniuczkina*). Zaczem ty wczoraj nie przyszedł?... córeczki poszły na pragułku — ja została się jedna.

ANIUCZKIN (*znudzony*). W turmę iść musiałem. Tam znów są ważne dieła. Waszże mąż ciągle także teraz tam siedzi.

AKSAKOWA. Wriosz! Ty z turmy wyszedł o drugiej. Ja z za gardiny patrzała, a serce mi się ślozami oblewało. Ty prieżdie jeszcze przed godziną przychodził. (*Aksakow zbliża się*). Izmiennik ty! uhodi ty procz? (*Na-*

gle wyciągając ręce). Angieł ty! herufim!... diemon ty!... mój!... (*Całuje go namiętnie*).

ANIUCZKIN (*odtrącając ją od siebie*). Ostrożnie! (*Wchodzi Aksakow, bez munduru, w domowej kurtce z srebrnymi guzikami*).

AKSAKOW. Wy zdieś Osipie Grygorjewiczu?

ANIUCZKIN. Żdu na was gaspadin gubernator.

AKSAKOW. K'wam u mnie prośba. Idźcie do tiuremnego dyrektora i każcie żeby tych ludzi, których ja kazał przywieść razem — przywiedli każdego po osobno. — To jest pierwszego osobno, a dwóch drugich razem. Już pisać nie chcę, bo niewiadomo gdzie dyrektor siedzi.. wy go lepiej sami znajdziecie.

ANIUCZKIN. Ja do waszych usług Piotr Stepanowicz.

AKSAKOW. A wracajcie się tu jeszcze.

AKSAKOWA. Czekamy na was z czajem. (*Aksakow spogląda na nią ze złością — ona woła za odchodzącym Aniuczkinem*. Adje z bonżurom Zosieju Grygorjewiczu.

SCENA SIÓDMA.

Aksakowa — Aksaków.

AKSAKOWA. Cóż na mnie patrzysz zwierem? ha?

AKSAKÓW. Tylko ty mi żadnej histeryki dziś nie strój, bo u mnie cała przepaść dieł

na głowie. Słysz Marfa Gawryłówna... ostaw ty mnie dziś w pokoju.

AKSAKOWA. Nie użeli? ja tobie mieszam w czem spokój? Da tłuczesz się po całym domu, jak niedźwiedź na weselu — tiuremniki twoje śmierdzą wszędzie i w gościnnej i w jadalni, wszędzie ich nawodzisz tak, iż ja sobie w moim własnym domu miejsca znaleść nie mogę.

AKSAKÓW. Ty idź do spalni i tam siedź, dom mi potrzebny do moich dieł, a ja nie na to posłany tutaj przez mego druha Michała Mikołajewicza Murawiewa, aby perfumować twoje komnaty i w gościnnoj żurfiksy stroić.

AKSAKOWA. Ja do takiego życia przywyknąć nie mogę.

AKSAKÓW. Naczinajetsia Simfonja! Matuszka radi Boga uchodi ty won gałubuszka — idi kakietniczat' na spacerze z junkierami — da ostaw ty mnie w pakoje.

AKSAKOWA. A za czem ja drugi raz za mąż szła? za czem ja dołgi za ciebie spłaciła? kagda ja iz Nicy po śmierci mego pierwszego męża jechała? Ty mnie drożej kosztujesz, niżby cerkiew postawić... a ty mnie teraz rugasz i z mojej własnej gostinnoj gnasz? ha?

AKSAKÓW (*siada przy biurku i zatyka uszy*).

AKSAKOWA (*z coraz większą furją*). Ale się wynukać stąd nie dam! Ja zdiesznaja ko-

rennaja Sybiraczka — ja doczka i bywsza żona grubych tuzów gorodskich... ja jak zachocze to ciebie won prognam z domu.

(Wchodzi Aniuczkin).

AKSAKÓW. Marfa Gawryłówna — za dwie godziny skończysz podpuszczać swoje histeryki, teraz zostaw nas samych.

AKSAKOWA. Mnie nie choczet sia.

AKSAKÓW (*biorąc ją nadzwyczaj silnie za rękę i prowadząc do drzwi*). Uchodi procz! gawarju tiebie!

AKSAKOWA (*wychodząc*). Wot nahał! wot bez obrazje! wot czto eto takoje! (*Wychodzi. Aksakow chwilę wstrząsa się, pociera ręką po czole, wreszcie woła Aniuczkina*).

AKSAKÓW. Zosiej Grygorjewicz — wy nikomu nie rozpowiadajcie o mojej intimnoj żyźni... Marfa Gawryłówna dobra żeńszczyna, no ona bolna, nerwy u niej krugom chodzą... A potem... wot... u was jest wpływ na nią... da... da... — ja zamietił... tak zdiełajcie proszę, żeby ona mnie teraz ostawiła w spokoju, nie mieszała, bo u mnie teraz musi być głowa swobodna i myśl czysta. (*Ściska Aniuczkina za rękę*). Ja wam to już jako druh odpłacę... (*Siada przy biurku*).

ANIUCZKIN. Dyrektor tiurmy mnie mówił, że dzień do dnia spodziewają się rozkazu, aby partja szła w dalszą drogę. Już

siódmy miesiąc siedziemy na miejscu... nowe partje nadciągają.

AKSAKÓW. Da... no część z waszej partji i tak ostaje się tu na posieleniu.

ANIUCZKIN. Da... no Zdanowskij, Ancypa, Lipski, Staniszewska — oni naznaczeni dalej.

AKSAKÓW. Niech oni idą wszyscy — ale Zdanowski ostanie się tu podemną).

(Aniuczkin brwi marszczy).

AKSAKÓW. Wy wiecie dlaczego ja go chcę, ja muszę mieć go tutaj.

ANIUCZKIN. Wiem Piotrze Stepanowiczu. No właśnie dlatego, że on buntuje i sieci zarzuca, trzeba go stąd wziąć, przerwać jego działanie i rozbić projekta.

AKSAKÓW. Ach ty rebionok! ty rebionok... Z ciebie krasiwyj frontowyj oficer — no, ty nie dyplomat. U tiebie kryk, strelaj — razbij! razwie na tiem stoi rząd? — Rząd e to... kot... koszka. Wyciągnie łapę i czeka... Idzie mysz koszka idiot — czeka, mysz tu, tu... koszka czeka, mysz gula — kontenta, myśli koszka śpi... i lezie... lezie — da i wlezie prosto w rot. I wtedy ją bieri... Da wot i my powinni żdat' Zdanowskij naczynajet wiercić, jak Sybir podnieść przeciw Rosji... nie przerywać... gałubczyk niet żdat'... sieci zarzucić i ślepia zamknąć. Wot w sieci naleci sotni, tysiacze, my sieć ściągniemy i oni już nasze,

a cały bunt utłumili... (*Wstaje i chodzi po pokoju z rękami założonemi z tyłu*). Da, da, ja z dobrej szkoły — ja brał udział w powstaniu Dynaburskiem, ja wiem co i jak, a potem takie pismo jak to, które ja dziś otrzymał od mego druha Michała Mikołajewicza Murawiewa z Wilna, to mnie ukrzepia i do działania podnieca. Ot Michał Mikołajewicz pisze: (*czyta list*). „Niech ci, których Tobie Piotrze Stepanowiczu prześlę, przechodzą prosto z moich rąk w twoje ręce. Dlaczego o ciebie prosiłem tam, na oddalonym poście w Sybirze. Praca moja nad przywróceniem ładu w Polsce nie kończy się z chwilą zsyłki. Ty czuwaj i systemu mego nie zmieniaj. Najmiłościwszy cesarz raczył mi wyrazić swe zadowolenie mimo Dołgorukowa i polskiej intrygi...

ANIUCZKN. Pozwólcie, że wam przerwę, Piotrze Stepanowiczu. I mnie znajomy dobrze duch działalności Michała Mikołajewicza Murawiewa. Lecz on nie dyplomacją a siłą ukrócił bunt i wolnienje w Litwie.

AKSAKÓW. Rebionek ty! Rebionek! Pomnij, że Murawiew przyszedł już do zbuntowanego i podminowanego kraju. — Gdyby on był obecny wtedy, gdy bunt tworzył się i rósł jak chwast, on by miał, mój system pielęgnowania buntu... ot prosto jak w cieplarni kwiat... A jak on wzrośnie, napaść na niego i wyrwać z korzeniem... ot!

ANIUCZKIN. To może być, no — ja do więźniów moich mam także prawa... Mnie Zdanowskij przynależy i ja go mam transportować dalej. *(Ściemnia się).*

AKSAKÓW. Batiuszka — żądaj ty czego chcesz, a mnie ostaw tego więźnia. Da pojmij ty, ja go chcę schwytać — oplątać i schwytać... chcę go mieć s w o i m.

ANIUCZKIN. I ja go chcę mieć swoim.

AKSAKÓW. Na co? aby go siłą zgnieść?

ANIUCZKIN. Aby go siłą zgnieść.

AKSAKÓW. Mała rozkosz. Umiem go zgnieść. On bardzo inteligentny, on „polska intryga" — Tak, jego intrygą zgnieść!... wot udawolstwie.

ANIUCZKIN. Dla mnie też udawolstwie takiego umnego wieść ot na rzemieniu.

AKSAKÓW. Eto już daruj batiuszka, no eto dzicz tak lubi. U mnie polirowanyj duch. Ja delikatnie, ot, jak koronka zadzierżgnąć umiem sieci... a potem całą noc myśleć, jak, co dalej. *(Pochurli — prosto chytrze).* A ja wam jeszcze co powiem Zosieju Grygorjewiczu! Czyn czyna poczytajet... pojmi. — Kiedyż nam dobre chwile łowić, jak nie teraz? Tam w Polsce już ucicha, rząd stłumił powstanie w guberniach północno-zachodnich... Gdy wrócisz, nie znajdziesz sposobności odznaczyć się i znaleźć sobie do car-szprynca w górę.

Tak nam należy pozwolić dojrzeć powstaniu tu na Sybirze — nie wypuszczać z ręki losu i jak oni już będą gotowi wybuchnąć, a niebezpieczeństwo dla rządu będzie istotne — wtedy rozwinąć swoją działalność.

ANIUCZKIN. Mnie tak o zaszczyty nie chodzi.

AKSAKÓW. Da! da! ty jeszcze młody.., u ciebie tiemperament, No, u mnie jednak chce się car-szprynca zrobić, bo we mnie siedzi kromie gubernatora może jeszcze co większego w duszy. Tak ty mi Zdanowskiego ostawić nie chcesz?

ANIUCZKIN. Bez niego nie pójdę dalej.

AKSAKÓW. Tak, ostań się. Tak, jak chcesz, ja tobie sprowadzę jaką zaraźną chorobę do tiurmy — tyfus, albo ospę... twoi zsylni będą chorować — ty zrobisz donos do Petersburga, że jechać dalej nie możesz, a tymczasem pust' Zdanowskij niech robi rewolucję, a potem, kto wie, co z nim rząd zrobić każe... Może ja ci go oddam, powieziesz go dalsze...

ANIUCZKIN. A jak skażą na posyłki i zabiją?

AKSAKÓW. To ja znów w zamiam oddam ci przysługę. Każę bić tak, aby nie zabili. No co zgoda?

ANIUCZKIN. Uwidim.

AKSAKÓW. Ej ty chytryj malczyszka! *(idzie wgłąb i woła)*. Bukaszka! przynieś świece!

(Wraca). Da, da, trzeba mieć szczęście, trzeba aby w relsy popaść i aby linja poszła szczęśliwie. *(Wchodzi Bukaszka).*

BUKASZKA. Wasze Prewoshoditielstwo.

AKSAKÓW. Czto słucziłoś!

BUKĄSZKA. Pryszoł unteroficer i gawarit czto szukają wszędzie warjata, no, znaleść nie mogą.

AKSAKÓW *(wściekły).* Jak nie mogą. *(Chce iść do przedpokoju, potrąca po drodze Bukaszkę i uderza go w twarz).* Czto ty suniesz sia w nogi? won! *(Wychodzi do przedpokoju)*

SCENA ÓSMA.

Aniuczkin — Bukaszka — Zofja — i Sonia. (Równocześnie stają we drzwiach z lewej Sonia i Zofja).

SONIA *(do Zofji).* Madam! papasza znów Bukaszkę w twarz uderzył.

ZOFJA. Widziałam Sonjo! Przykro mi. Tylko jednem się cieszę, iż ty zrozumiałaś, iż bić ludzi, którzy nam swoje siły i życie niosą w ofierze, nie należy. *(Aniuczkin usuwa się cokolwiek).*

SONIA. U was w Polsce służby nie biją?

ZOFJA. Bili... kiedyś... teraz nie, Sonia.

SONIA. Ja dam Bukaszce rubla. — Mama mi dała wczoraj rubla na wstążki... Ja mu

dam tego rubla. *(Biegnie do Bukaszki).* Wot tiebie rubl Bukaszka... spriacz!

BUKASZKA *(zdziwiony).* Za czem wy mnie eto dajetie Barysznia?

SONIA. Tiebia w mordu cieły dzień bijut.

BUKASZKA *(naiwnie).* Nu tak czto? morda nie szklanka, nie stłucze się.

SONIA. A! *(Do Zofji).* On nie pojmuje. On nie pojmuje.

ZOFJA. Uspokój się Sonio!

SONIA. Czto? ja nerwna... ja tak, jak mamasza — u mnie nerwy się rozchodzą i mnie serce boli... i wszystko mnie tu dręczy... Ot papasza... ja się jego boję, on straszny, on się zawsze śmieje... On mnie wieczorem każe grać waszego Szopena, gasi świecę... a tu ktoś stoi — wtedy jęczy, płacze, żali się... o! *(Spostrzega Aniuczkina).* Madam! tam ktoś jest madam!

ANIUCZKIN. Radi Boga... Sonio Tarasiejewno... eto ja... Aniuczkin...

SONIA. Ach!... to wy!... Boh jak ja się zlękłam. A to czemu wy się chowacie po kątach? Ach madam Zdanowska — ja dla waszych rebionków przygotowałam trochę konfektów. One w spalni u mamaszy — ja przyniosę — nie odmawiajcie, a to pomyślę dlatego, że ja Ruska a wy Polka. *(Wybiega na prawo — Bukaszka wyszedł).*

SCENA DZIEWIĄTA.

Zofja — Aniuczkin. (Zofja patrzy chwilę na Aniuczkina. poczem naciąga swój żakiet i nakłada zniszczone rękawiczki).

ANIUCZKIN *(blady, z wykrzywionemi ustami)*. Kakże wasze zdarowje — madam Zdanowska? Wy widzę w guwernerszy popali? hm! hm! To nie czestno dla dworjanki, dla arystokratki kak wy... A wasz muż? Wy widzieli waszego muża? On znosi drzewo na dziedzińcu w tiurmie... da, da. *(Po chwili)*. A mogło być inaczej...

ZOFJA. Nie mogło być inaczej. Myśmy na tę dolę byli przygotowani. Wiedzieliśmy co nas spotka.

ANIUCZKIN. Da czto? manifest legalny ja mogłem wam tak samo wydać, jak car... *(Siada na fotelu)*. Ja byłem i jestem teraz ciągle car nad wami — ja mogę zrobić z wami co mi się podoba.. *(Po chwili, zrywając się, namiętnie)*. Ty sto razy krasiwieje teraz czem na etapach. Ty! ty! nie uchodi! nie wiesz, co to jest miłość ruskiego!... Ja dla ciebie niebo w piekło przewrócę. *(Klęka i całuje brzeg jej sukni)*. Ty... święta! ty caryca! ty różowa! *(Wydziera zębami kawał jej sukni)*. Nie wydzierżu!... Chcesz rękę sobie przekłuję a ty moją krew pij — ja ci wszystką krew oddam.

ZOFJA. Puść mnie pan! To moja jedyna sukienka. Pan drzesz ją w łachmany.

ANIUCZKIN. Broś ty z suknią! broś!... *(Zrywa się i rzuca się na nią, jak zwierz).* Pociełuj! Pociełuj!

SCENA DZIESIĄTA.

Ciż sami. — Aksakowa i Sonia.

AKSAKOWA *(zobaczywszy Aniuczkina całującego Zofję).* Wot nakazanje! *(Blada, ledwo mogąc mówić ze wzruszenia).* Ach! ty! izmiennik! ty ochał kakoj! ty niegadiaj! *(Zofja wzrusza ramionami, poprawia suknię i wychodzi).*

SONIA *(która weszła tyłem zwrócona tak, że nie widziała, co się działo).* Mameńka... czto z toboj?

AKSAKOWA *(dławiąc się spazmami).* Powiedz mu Sonio czto on nie diemon a szympansee, czto, ach, zdiełajetsia histeryka...

ANIUCZKIN *(spokojny, otwiera drzwi do przedpokoju).* Piotr Stepanowicz z Marfą Gawryłówną czto to zdiełałoś?

SCENA JEDENASTA.

Ciż sami — Aksaków — Bukaszka, który niesie pomarańcze, talerz z zupą, łyżkę — ciastko z przedpokoju.

AKSAKÓW. I nowa symfonija... wodoj! wodoj! Bukaszka, napusti fontannu. *(Bukaszka bierze w usta wodę i parska na Aksakową — ta się zrywa).*

AKSAKÓW. Nu sława Bogu, żyje! A teraz — proszę iść stąd i zostawić mnie w spokoju!

AKSAKOWA. Ja ujdu! ujdu! nie żełaju niczewo bolsze... ale wpierw ja powiem prawdę, co ja zobaczyłam! Piotrze Stepanowiczu... Na twój dom Zosiej Grygorjewicz ściąga niesławę. On tu całował się z etoj triapkoj guwernerszoj...

AKSAKÓW. Z kim?

AKSAKOWA. Z etoj Zdanowskoj... On z nią w intimnem znakomstwie od dawna... i tu romany w moim domu nawodzi. Eto stydno, eto mierzost', eto priamo nie dżentelmien a swinia tak diełajet, eto nie podchodit ruskomu oficeru a kakomu to prachwostu! *(Wychodzi na prawo i zamyka drzwi).*

AKSAKÓW *(do Aniuczkina)*. Ach! eto tak? ty wlubił sia w żonę Zdanowskowo?... Czemu ty mnie tego prosto nie powiedział? My tak to intryżkoj zdiełamy, że ty Zosiej Grygorjewiczu będziesz roman z żonoj puskat'... a muż będzie tymczasem w Sybirze powstanie stroił... Nu prasti... zaczem było tak niezręcznie... wsio można, tolko ostrożno... Tieper bieda!...

ANIUCZKIN. Uż późno... pozwoltie... ja ajdu... aha!... wot czto trzeba tych dwoje warjatów z mojej dawnej partji oddać do szpitala na zimę, jeżeli partja tu dłużej zostanie.

AKSAKÓW. Co? co? warjatów oddać do bolnicy? No, no, kakij wy dyplomat! Warjaty

będą nie w bolnicy, ale będą chodzić wolno po turmie i pomiędzy posieleńcami... ej! ej!... malczyska eto moi agenty, eto moja tajna policja!... nu praszczajtie przyjdźcie dziś w klub — ja także tam zajdę na chwilę — zagramy, do swidania! (*Gdy Aniuczkin odchodzi — on go wstrzymuje*). No, a jakże ze Zdanowskim? on mój?

ANIUCZKIN (*żywo*). Pazwoltie... budiem ždat rozkazu z Kijowa.

AKSAKÓW. Wyście się zgodzili? A może chcecie Marfę Gawryłównę zobaczyć?...

ANIUCZKIN. Niet' niet' — merçi (*wychodzi szybko — widocznie wzburzony*).

AKSAKÓW (*wyjmuje portfel, kładzie na biurku*). Da wot... a kto zdieś (*spostrzega Sonię*). Eto ty? prekrasno! Ty mnie dziś gałubuszka będziesz potrzebna zaraz.

SONIA (*strwożona*). Papasza, znów grać po ciemku?

AKSAKÓW. Da... tolko minutkę...

SONIA. Ja bojuś — ja nerwna. Kto to jęczy i płacze? ja nie chcę.

AKSAKÓW (*twardo*). No, ja chcę!... Sonia... ja wiem, ty wlubiłaś w odnawo krasiwawo, małodawo czeławieka... Ty k'niemu piszesz pišma, da i rendes-vouz z nim stroisz. Ja eto znaju, a ja małczu, tak ty dołżna diełat' czto ja chaczu! (*Sonia spuszcza głowę*). Idź czekaj

w swoim pokoju — ja po ciebie przyjdę. I o tem ni gu... gu..,

SONIA. Ach papasza! *(Wychodzi na lewo płacząc).*

SCENA DWUNASTA.

Aksaków sam później Staś Wilgocki i Bukaszka.

AKSAKÓW *(odsuwa trochę kanapę, tak ażeby stanęła między fortepjanem a leżanką — stawia na leżance trochę pod ścianą zupę, pomarańczę i ciasto).* Wot kak robi się małymi środkami dyplomacja. *(Zaciera ręce, idzie ku drzwiom na prawo — zamyka je na klucz, tak samo i drzwi na lewo, poczem podchodzi do przedpokoju).* Bukaszka prywiedi sumaszedszawo! *(Narzuca na siebie płaszcz tak, że kryje świecące guziki kurtki — gasi jedną świecę, drugą przysłania zielonym abażurem. Bukaszka wprowadza Stasia Wilgockiego, który wpada z widocznym strachem).*

STAŚ *(ubrany w kałorżną siermięgę — obdarty — obłocony — straszny — twarzyczka śliczna, blada i nadzwyczaj dystyngowana).* Nie strzelaj tylko! nie strzelaj!

AKSAKÓW *(szeptem do Bukaszki).* Zamknij drzwi! *(Bukaszka szybko zamyka drzwi — Jaś zostawszy się sam, nie widzi chwilę Aksakowa — który się kryje w cieniu — Aksaków skrada się na lewo i po cichu wprowadza Sonię, którą prowadzi do fortepianu, ale tak, że ona nie może*

spostrzedz Stasia — Aksaków sadza dziewczynę do fortepianu i mówi).

AKSAKÓW. Igraj czto nibud iz polskich motiwow. *(Sonia zaczyna grać preludjum Szopena bardzo cicho. — Staś stoi chwilę zdumiony— wreszcie podnosi głowę).*

STAŚ. O! grają! fortepjan! o! *(siada na krześle).* Warszawa! dom... siostra Mania... mama! moja mama!

AKSAKÓW *(podchodzi do niego, cicho, dobrodusznie obejmuje go i całuje).* Jak się masz Stasiu?

STAŚ. Kto to? kto pan?

AKSAKÓW. Nie poznajesz mnie? Ja twój wuj!...

STAŚ. A... tak... tak... ale cicho... Mania gra... ma lekcję... Mania ładnie gra...

AKSAKÓW. Tu zimno — chodź ogrzeć się. *(Prowadzi go do pieca i opiera plecami o piec)*

AKSAKÓW. Ogrzej się. Zmarzłeś dzisiaj.. Wróciłeś wcześniej ze szkoły?

STAŚ. Tak... tak... mama się bała rewizji... bo już wczoraj przyszli i przetrząsnęli wszystko... wuj wie...

AKSAKÓW. Wiem, wiem... i znaleźli śpiewy historyczne i chorągiewki i szarpie schowane w sienniku Mani...

STAŚ. Mania gra,

SONIA *(od fortepjanu).* Papasza!... pusti!... ja boję się!... Papasza!

AKSAKÓW. Igraj!... A teraz gdzie twoi znajomi chowają papiery, listy? Co mówią jak się zejdą wieczorami

STAŚ *(wsłuchany w grę).* Mania gra!

AKSAKÓW. Wczoraj wieczorem co mówili? wiesz... u pani Staniszewskiej... jak się zeszli? co? Stasieczku przypomnij sobie.

STAŚ. A! a!... mówili dużo... mówili dużo... wuj wie — Sybir oddzielić — oderwać...

AKSAKÓW. Odebrać Moskalom.

STAŚ. Tak, odebrać!... *(Gwałtownie rzuca się ku Sonji).* Maniu siostrzyczko!

SONIA *(z dzikim krzykiem).* Boh mój! eto warjat! ja bajus! Mameńka! Masza!

AKSAKÓW *(usiłując wydrzeć Sonię z rąk Stasia).* Małczi nie pugaj!

AKSAKOWA *(dobijając się do drzwi na prawo).* Odkrojti dwiery... czto eto?

SONIA *(wydziera się i biegnie do drzwi).* Mamasza ratuj! *(otwiera drzwi — wpada Aksakowa).*

AKSAKÓW. Won! idźcie stąd! won!

STAŚ *(przerażony).* Puście! nie strzelajcie... mama niewinna... ja sam...

AKSAKOWA. Chodź Sonia, pojedziem do stryja — to nie dom, to piekło!

(Staś wydziera się ku Aksakowej).

STAŚ. Mama.

AKSAKOWA *(z krzykiem)*. Czto eto? Boh mój! Sonia? ujdiom! ujdiom! nie chaczu byt zdieś bolsze!...

AKSAKÓW *(wyrzuca gwałtownie obie kobiety na lewo i zamyka drzwi na klucz)*. Won! poszły won! *(Wraca do Stasia)*.

STĄŚ. Dlaczego mama i Mania poszły? I tak dziś już rewizji nie będzie, a potem sługa stoi na dziedzińcu to da nam znać, jak będą szli.

AKSAKÓW *(podprowadza go do pieca)*. Mania przyjdzie zaraz, siądź. Miałeś dziś korepetycje... ucznia masz dobrego?

STAŚ *(spiesznie)*. Dobry! dobry! uczy się! ja patrzę na szyby, mróz rysuje srebrne kwiaty i liście... to bardzo ładnie.

AKSAKOW *(podaje mu talerz z zupą)*. Jedz! mama przysłała z kuchni... prosi, żebyś jadł.

STAŚ. Mama?... szarpie skubie?... cóż, kobieta nic nie może... szarpie... łzy... modli się...

AKSAKÓW *(karmi go jak dziecko)*. Pani Staniszewska przecie chce Sybir odebrać Moskalom?

STAŚ. Tak, tak mówiła i pani Zdanowska także... Tylko Makar się gniewał i krzyczał, a tak łańcuchem brzęczał...

AKSAKÓW. A pan Zdanowski podobno także się gniewał.

STAŚ. Nie wuju, pan Zdanowski mówi, skoro ognie zapłoną z drugiej strony jeziora... wolność zaświta... Gdzie Mania?... (*Aksaków rozbiera mu pomarańczę i daje ćwiartkę*).

AKSAKÓW. A kiedy ognie zapłoną? nie mówił?

STAŚ. Ja pójdę do Mani... ja chcę się z mamą przywitać.

AKSAKÓW (*nacierając*). Nie mówili, kiedy ognie zapłoną?

STAŚ. Czego ty chcesz odemnie? (*Przypatruje mu się*). Ty nie mój wuj. Wujaszek Leon był inny. Ty masz złe oczy, choć usta się śmieją... ty jesteś zły duch... idź!

AKSAKÓW. Ale siadaj Stasiu... pogadaj ze mną spokojnie... zjemy sobie jeszcze ciastko.

STAŚ. Nie. poza tobą jest cień... cień jako wieko trumny, a ty cały jakby umarły. Za tobą jest śmierć. (*Aksakow chwilę wstrząsa sie, jakby przerażony — poczem śmieję się, wzrusza ramionami i znów wraca się do Stasia*).

AKSAKÓW. A kto był jeszcze wczoraj z tobą?

STAŚ. Nie pamiętam... dalecy... nieznajomi...

AKSAKÓW. Moskale?

STAŚ. Nie wiem... nie wiem... ja już pójdę...

(Wstaje niespokojnie). Ja tu nie chcę być dłużej... tu jest śmierć... ja widzę... ja czuję... tu straszno... tu weszła śmierć.

AKSAKÓW *(także zdenerwowany).* To uchodi procz! wot żałobny ptak'... dziś nic z niego dobyć nie można... *(Woła).* Bukaszka! *(Zaświeca świecę).*

STAŚ *(zdziwiony).* Och! meble... obrazy... kwiaty!...

AKSAKOW. Uhodi won!

STAŚ. Świeże kwiaty... mamy kwiaty! *(Aksaków go wyrzuca do przedpokoju).*

AKSAKOW. Wyrzuć go Bukaszka na ulicę! *(Staś zobaczywszy Bukaszkę woła).*

STAŚ. Sołdat!... boję się... będzie strzelał... ja nie chcę... ja nie pójdę dalej.., zimno!

BUKASZKA. Wasze prewoshoditielstwo — zawieść go może do domu?

AKSAKOW. Nie trzeba, on nie ma domu... on sam sobie legowisko znajdzie. *(Bukaszka wyrzuca do sieni Stasia, który ucieka. Aksaków wraca na scenę).*

SCENA TRZYNASTA

AKSAKÓW *(sam).* Powiedział, że tu jest śmierć... Głupost!... Warjat! *(Po chwili).* Nu gawarjat ludzie, że u warjatów dusza chora i widzi więcej i lepiej niż nasza... Jeśli on tu

naprawdę widział śmierć, jeśli ona idzie po ciebie Piotrze Stepanowiczu!... Niet'!... przed car-szprincom — to mnie stać się nie może... Ja gubernatorem w niebo popaść nie mogę *(zapala więcej świec)*. Da! tak jasno! i zaraz raźniej i lepiej. *(Siada na fotelu i zamyśla się)*. Ot! głupost'! pomyśleć, że jest coś, co się ludziom z rąk wymyka i ni weź ją do turmy zamknąć! Własna śmierć!... ha! no!..

BUKASZKA. Wasze Prewoschoditielstwo!

AKSAKÓW. Czto? na czto durak?

BUKASZKA. Jego Wysokobłahorodje tiuremnyj direktor...

AKSAKÓW. A, prosić! *(Bukaszka się cofa — wchodzi Anempodist Tarasowicz)*.

SCENA CZTERNASTA.

Aksaków — Tarasowicz — później Aniuczkin.

AKSAKÓW. Zdrastwujtie.

TARASOWICZ *(rosły i suchy mężczyzna, z uwiędłą twarzą)*. Ja na minutku — po diele...

AKSAKÓW. Po ważnem diele?

TARASOWICZ... Da... oto rozkaz — przynieśli sztafetę z Kijowa... na szczot partji Aniuczkina.

AKSAKOW (*blednąc*). Każż jechać im dalej?

TARASOWICZ. Wszystkim... a oto i dla mnie po łbie za to, że tak długo trzymałem jednych w turmie, a innym pozwoliłem się posielić około miasta.

AKSAKOW. To robota Aniuczkina.

TARASOWICZ. Da — to robota toj przeklętej kukły, tego donżuana, tego stierwa naperfumowanego... On czto to ma w tem, aby partja szła dalej... i on wam Piotrze Stepanowiczu miesza szyki.

AKSAKOW *(chodzi po pokoju).* Da! da! eto on prachwost malczyszka.

TARASOWICZ. Ja nie winien... Szedłem z wami ręka w rękę... pozwoliłem Zdanowskiemu się wykradać do posileńców — rozkuwałem go nawet z Brodiagą Makarem, niby że Makar chory. — Posłałem nawet agentów prowokacyjnych dokoła miasta — burzą chłopów. — Wsio tak czudno się składa.

AKSAKOW. Da... powstanie czut.—Czut— Ot, mnie dziś powiedzieli, „gdy ognie zapłoną, Sybir powstanie". — Żeby choć dotrzymać do tego, żeby zrobili to, co Sieroszewski — to i to dobre... Już można napaść, stłumić bunt— zrobić krzyk, — Petersburg oczy zwróci — łaska cara. — Kto wie... ot Michał Mikołajewicz nie zrobił nic innego w Polsce, a kakij on tuz...

TARASOWICZ. Da, da, ja was w połni ponimaju... i dlatego ja z wami szedłem tak

ręka w rękę — Wyby mnie także za sobą pociągnęli.

ASKAKÓW. Ja wam to obiecał — a ja czestnyj czełowiek... A... Boże mój — ot szczastie idiot samo w ręce... powstanie wybuchnie — dwóch. trioch bez sądu powiesić... — tak ot z nagłości niebezpieczeństwa... gnać sztafety za sztafetami i ot car-szprync gotów!.

TARASOWICZ. Da, da... eto głupo... *(chodzą obaj po pokoju w przeciwnych kierunkach, nagle Aksaków zatrzymuje się i patrzy na Tarasowicza przenikliwie, potem bierze go pod rękę i mówi).*

AKSAKÓW. U was sztafeta?

TARASOWICZ. Da, do mnie przyszła.

AKSAKÓW *(wskazuje na sukno, którem stół jest nakryty).* Wy znajetie rol jaką gra u nas w Rosji tot kawałek sukna? ha?

TARASOWICZ *(z uśmiechem).* Jakże ja by nie znał?

AKSAKÓW. Tak... wot... podsunąć rozkaz pod sukno i pust' leżyt'... A jak powstanie wybuchnie, to my takij krawal ustroim, że nikomu nie przyjdzie się pytać o ten rozkaz. Kakże gałubczyk? ha?

TARASOWICZ. Da... — no... — eto odpowiedzialność...

AKSAKÓW. A kak wy w wice gubernatory postąpicie? a potem i w gubernatory?

No — no — Anempodist Wasiljewicz — teraz mam ryby łowić. Cztob etim Polakom Boh dał zdarowie, że oni takie okazje nam stręczą... A wot — jeślib wy bali się, że sztafeta ucieknie... to ot czem ją przytrzymać. *(Wyjmuje z pugilaresu kilka stówek i wsuwa mu w rękę).*

TARASOWICZ. Nu wam Piotr Stepanowicz nie można niczego odmówić. U was takie logiczne argumenta. (*Chowa do kieszeni pieniądze*).

AKSAKOW. A w ostatnim razie to jeszcze napuśćcie tyfusu albo ospę. — Cała turma zachoruje... Tylko niech Zdanowski nie choruje... On mi sam najdroższy, ja o niego troskliwy.

TARASOWICZ (*śmieje się*). Da, da już my go będziemy pielęgnowali.

AKSAKOW (*wesoło*). Da on nasz portbonheur... No a etot durak. Aniuczkin pust' diełajet intrygi... naplewat nam na niego. Niech czeka przykazu z Kijowa... Papirosku? (*Podaje papierosa*).

TARASOWICZ (*zapala*). Da... niech czeka... durak! małokosos!

SCENA PIĘTNASTA.

Ciż sami — Aniuczkin.

ANIUCZKIN (*staje we drzwiach w szyneli*) Zdrastwujtie!... ja k'wam po dieło.

AKSAKOW (*dobrodusznie*). Późno gałubczyk — lepiej pojedziemy do klubu zagrać w karty.

ANIUCZKIN. Niet'... (*patrząc hardo na Tarasowicza i Aksakowa*). Ja także dostałem sztafetę.

OBAJ. Co? co?

ANIUCZKIN. Da... tam w Kijowie wiedzą, że jedną sztafetę wysyłać niebezpiecznie. Tak ja z moją partją jutro wyruszam w drogę. My tu za długo siedzimy. Wy Piotrze Stepanowiczu wydajcie mi jako gubernator świadectwo, że przeszkód na wyjście partji nie ma. A wy Anempodist Wasiljewiczu zróbcie smotr swoich katorżników i tych, co na dalsze posielenie skazani, ja ich odbiorę po rachunku. — Wot eto wsio! — (*ma hardą minę i bije się szpicrutą po końcach butów*).

AKSAKOW (*zirytowany*). Wy się zapominacie Osipie Grygorjewiczu! wy do mnie mówicie takim tonem — ja w randze generała.

ANIUCZKIN. Da... w randze no nie generał. — U mnie rozkaz (*bije się po kieszeni*) i ja tym rozkazem silny. Możecie się na mnie skarżyć, jak chcecie-.. mnie eto wsio rawno. (*Aksaków i Tarasowicz patrzą na siebie zgnębieni po chwili Aksaków mówi cicho do Tarasowicza*).

AKSAKOW. Zostawcie mnie z tym draniem. Czekajcie na mnie u siebie — choćby całą noc.

TARASOWICZ. Dobrze. *(Do Aniuczkina).* Wy Osipie Grygorjewiczu słuchajcie lepiej rad Piotra Stepanowicza, on umny człowiek, z nim idąc ręka w rękę można zdziałać karjerę.

ANIUCZKIN. Naplewat' mnie na karjerę, ja słucham wyższych rozkazów, a nie gubernatorów.

TARASOWICZ. Da.., da... no wsio taki łuczsze. *(Wychodzi).*

SCENA SZESNATA.

Aniuczkin — Aksaków.

AKSAKOW *(nagle gorąco).* Małodoj czełowiek. Maładoj czełowiek... nie tak gorąco...— eto głupost' eto dzierzost'.

ANIUCZKIN *(także gorąco).* Eto dzierżost' zatrzymywać więźniów, którzy są moją własnością.

AKSAKOW. Da... wy dlatego chcecie ich wyprowadzić, żeby znów po etapach mieć władzę nad Zdanowską. Da romansujcie zdieś — to wygodniej. No pojmitie, że ja dla waszych romanów nie mogę stracić karjery.

ANIUCZKIN *(hardo z ironją).* A ja dla waszej karjery nie chcę tracić moich romanów.

AKSAKOW *(wściekły)*. Ja napiszę ob etom do Petersburga.

ANIUCZKIN. Piszcie — ot pióro i papier — sztafetę możecie posłać dziś jeszcze... no jutro zdacie mi więźniów, a ja z niemi pójdę. *(Aksaków chodzi znów po pokoju, łamie ręce — nagle przybiera minę dobroduszną i staje przed Aniuczkinem)*.

AKSAKOW. Wy znajetie czto... my że dżentelmany, polirowanyje ludzie, my sobie ustępstwa już nie jedne robili... Ot — gałubczyk — na primier z Marfaj Gawryłownoj — ty że ponimajesz... ja nie ślepy — ja dużo widzę — no u mnie polirówka... — ja wiem, że młodość... tak ja ot — przez palce.

ANIUCZKIN. A!... *(patrzy z ironicznym grymasem na Aksakowa)*.

AKSAKOW. Tak i wy Zosiej Grygorjewicz dołżniby także przez palce...

ANIUCZKIN. Pozwoltie... Z waszą żoną eto po miłosnej części a eto po służbowej.

AKSAKOW *(żywo)*. No, ja przecież milczałem.

ANIUCZKIN. Eto już wasza wola! Zaczemże wy milczeli? *(Pauza. Aksaków rwie bakenbardy, wreszcie znów staje przed Aniuczkinem i mówi z udaną swobodą)*.

AKSAKOW. Wy znajetie... mnie przyszła idea... czudna idea,.. — my rozigrajem sztosa

o Zdanowskawo... Czto? ot kartoczki Eto prekrasno — eto budiet — romanticzno... wy lubicie takie lermontowskie kawały... No sogłasien? *(Chwyta karty i tasuje z gorączkowym pospiechem)*. To moja... to wasza strona... *(Aniuczkin patrzy na niego)*.

AKSAKOW (*rzuca*). Mai, waszy, mai! tuz! tuz Zdanowski mój! mój... ja wyigrał Zdanowskawo!

ANIUCZKIN. Wy?

AKSAKOW. Da pozwoltie batiuszka... my czestno igrali...

ANIUCZKIN. Czto wzdor sztos! *(rozrzuca szpicrutą karty)* brostiel... lepiej wydajcie mi wasze świadectwo.

AKSAKOW (*wściekły*). Nie dam.

ANIUCZKIN. Musicie, nic nie stoi na przeszkodzie.

AKSAKÓW. Jest spisek.

ANIUCZKIN. To plotki... dowodów nie ma. — Ja jutro jadę... — praszczajtie! *(już we drzwiach nadziewając czapkę)*. A co do waszej żony, to — wy wiecie... ja na duel sołgłasien. *(Śmieje się i wychodzi, trzaskając drzwiami)*.

SCENA SIEDEMNASTA.

Aksaków sam — później Tarasowicz — później Bukaszka.

AKSAKÓW. Ach ty skatina! ty mierzawiec! cztob ty ruki i nogi połamał (*stara się*

opamiętać). Czto mnie tiepier diełat'! Aha! Bukaszka! Bukaszka! gdzie swołocz! Bukaszka

BUKASZKA. Słuszaju wasze prewoschoditielstwo!

AKSAKÓW *(pieniąc się ze złości)*. Eh! ty pohanne ryło! ty świnskaja różo! ty! gdzie ty był — małczi *(ściąga but i wali nim Bukaszkę w głowę)*. Wot' tiebie atwiet'! *(Po chwili już uspokojony)*. Na — teraz lżej... da! a!... Idź do turmy i zanieś ten papier do Anempodista Wasiljewicza — wracaj w tę minutę. (*Bukaszka obcierając krew, odchodzi*).

AKSAKÓW (*sam — wciąga but*). Jaby sobie w mordy napluć kazał, żeby ja tę okazję z rąk wypuścił. (*Wydobywa rewolwer i kładzie na biurku*). To się zawsze przyda. *(Podchodzi do okna i stoi chwilę oparty o szybę)*. Anempodist Wasyljewicz idzie... (*Biegnie do przedpokoju — wpada Tarasowicz*).

TARASOWICZ *(w futrze — na progu)*. Czto? czto?

AKSAKÓW. Kazaliście przywieść?

TARASOWICZ. Idą! ale ja chciał się dowiedzieć... Cóż Aniuczkin?

AKSAKÓW. Proklatoj skatina... odstąpić nie chce... Tak my teraz całą parą. Będziem na własną rękę aresztować Zdanowskawo w kazamaty na dół... Niech go stamtąd Aniuczkin dostanie.

TARASOWICZ. Tak, można go zaraz w kazamatę zaprowadzić.

AKSAKÓW. Nie gałubczyk... Trzeba polirowanno... Delikatnie... Administracyjny porządek... da no z polirowką. Ja z nim pogadam i nie będę Piotrem Stepanowiczem Aksakowem, jak ja jemu z głębi duszy choć pół wyznania nie wydrę. Ja znam jego charakter. Jego trzeba czemś rozdrażnić do ostateczności, a wygada. Potem będę miał na czemś się oprzeć... rozumiecie?

TARASOWICZ. Ale zaczem wy obu każecie przywodzić? ja go z Makarym rozkuć każę...

AKSAKÓW *(żywo)*. Sochrani Boh! Makar będzie mój świadek, że Zdanowski się przyznał.

TARASOWICZ. Makar z niemi w zmowie.

AKSAKÓW, My mu przyobiecamy, że mu na wiosnę uciec pozwolemy, to będzie gadał, jak my chcemy.

TARASOWICZ. Róbcie jak chcecie — ja głowę tracę. Czy unteroficer ma być w komnacie w czasie przesłuchania.

AKSAKÓW. Na co?

TARASOWICZ. Dla bezpieczeństwa.

AKSAKÓW *(pokazując rewolwer)*. Eto mój unteroficer! A niech czterech sołdatów stoi w sieni razem z unteroficerem... w danej chwili gdy ich zawołam — niech pochwycą więźniów.

Dajcie mi klucze od kajdan, rozkuć ich dopiero wtedy każę i poprowadzić osobno.

TARASOWICZ. Unteroficer ma już klucze przy sobie.

AKSAKÓW. A teraz wy idźcie do siebie. Niech się dziś nikt w turmie spać nie kładzie, oświecić okna całego budynku. Puścić w ruch po mieście ze dwie kibitki. Niech turkoczą i budzą ludzi całą noc. Będziemy robić rzeczy en grand, żeby nas aż w Petersburgu posłyszeli. Praszczajtie! *(Tarasowicz odchodzi).*

AKSAKÓW *(chwilę słucha — słychać brzęk kajdan coraz bliższy).* No, krasiwa lalko z tiemperamentem... Ty już Zdanowskowo chyba po moim trupie dostaniesz.

SCENA OŚMNASTA.

Aksaków — Unteroficer — Zdanowski — Brodiaga — Bukaszka — W przedpokoju i w sieni 4 żołdatów z bagnetami

UNTEROFICER. Wasze prewoschoditielstwo... imieju czest'

AKSAKÓW *(przerywa).* Ładno, ostawcie więźniów ze mną, sami cofnijcie się do sieni i czekajcie na mój rozkaz. A dajcie klucz od kajdan.

UNTEROFICER. Oto są *(kładzie klucze na biurku. Brodiaga patrzy chciwie na klucze).*

BRODIAGA *(cicho do Zdanowskiego).* Smotri bratiec... klucze od kajdan na biurku.

ZDANOWSKI *(dość obojętnie)*. Widzę, Makar.

AKSAKÓW *(do Unteroficera i sołdatów)*. Uchodźcie na lesnicę. Bukaszka, ty siedź w przedpokoju! *(Bukaszka cofa się do przedpokoju i przymyka drzwi. Na scenie zostaje Aksaków, Zdanowski i Brodiaga Makar, skuci łańcuchami za nogi).*

AKSAKÓW (*chodzi chwilę po pokoju — za trzymuje się koło pieca i patrzy się na Zdanowskiego*). Pan Zdanowski wie, co to jest omska sprawa?

ZDANOWSKI (*uderzony temi słowy podnosi głowę*).

AKSAKÓW. A pan Zdanowski wie, kto był ksiądz Sierociński? ha?

ZDANOWSKI *(krótko)*. Wiem!

AKSAKOW. A pan Zdanowski wie, że za bunt i izmienje za przeciąganie polskiej intrygi na ziemię świętej Rosji na której pan nasz najmiłościwszy pozwolił żyć panu Zdanowskiemu — jest od 1830 roku w Omsku kamień, na którym jest jedenaście polskich nazwisk.

ZDANOWSKI. Wiem i umiem te nazwiska na pamięć. Nie tylko ja, ale i wszyscy moi — ale i moje dzieci, skoro do samopoznania przyjdą.

AKSAKÓW. Da... eto romantizm.... i wy by Polaki nie mogli oddychać żebyście romantiku nie podpuskali. Ale to gorzej, że

wy nie tylko na romantikach przestajecie, a ot... swoje intryganckie zachcianki, co krwią płacić musicie, dalej rozprowadzacie... Ot i do mnie doszły wieści, że są tutaj ludzie, którym mało było wzniecać gasudarstwiennych kryzysów w Polsce i chcą się zrobić skazocznymi bohaterami i robią spiski przeciw ruskomu władyczestwu. Mało tego... oni uwlekają i uwodzą naród Sybiru i chcą wtrącić w nieszczęście. A narodowi sybirskiemu jest dobrze pod panowaniem naszego miłościwego pana i on sam nie życzy sobie żadnej odmiany... Prawda Makar?

BRODIAGA. Da odkuda ja mogę wiedzieć takie rzeczy wasze prewoschoditielstwo.

AKSAKÓW. Ty że sam jesteś Sybirak — i z ludu.

BRODIAGA. Niet brat, ja złodziej i włóczęga — to się nie liczy do ludu.

ZDANOWSKI. Gdyby ludowi sybirskiemu było rzeczywiście tak dobrze pod panowaniem waszem — to co wy nazywacie polską intrygą nie przyjmowałoby się tak łatwo w duszach tutejszych ludzi.

AKSAKÓW. A wot, pan zaczyna rozumować. To dobrze. Ja tylko tego pragnął... nic więcej. Ja chciał pomówić z panem, jak równy z równym. — Pan patrzy na kajdany?...

ZDANOWSKI. Nie..' bo zakuliście mi tylko

nogi... Zatamowaliście ruch, ale nie sparaliżowali myśli.

AKSAKÓW. Da... wot... prekrasno. Tak my możemy myśli swoje wymieniać. bo one są wolne i nie skrępowane.

BRODIAGA (*do Zdanowskiego cicho*). Nie gadaj ty z nim bratiec... ty nie zdzierżysz słów... u ciebie pierwej słowo, potem myśl... nie gadaj ty...

AKSAKOW (*gwałtownie*). Makar, nie wolno mówić po cicho.

BRODIAGA. A odkądże to wasze prewoschoditielstwo trzeba trąbić po. pokojach gubernatora? Eto nie politycznie!

AKSAKÓW. Broś!

BRODIAGA. Hospodi! batiuszka — zaczem rugajesz sia?...

AKSAKÓW (*do Zdanowskiego*). Tak pan znajduje, że Sybirakom źle pod panowaniem Aleksandra II. i chciałby pan ich oswobodzić?...

(Zdanowski milczy).

AKSAKÓW. Da, niech pan powie swoją myśl, ja panu powiem moją.

BRODIAGA (*szybko*). Myśl jak ptak.., można jej dowolno pióra pofarbować.

AKSAKÓW, Małczi! Niech jednak pan Zdanowski mnie powie, skąd u was taka nagła miłość dla ludu się wzięła? Wy tam w Polsce głów-

nie bunt podnieśli przez to, że nasz najmiłościwszy pan zniósł poddaństwo... i uwolnił z pod waszej przemocy włościan.

ZDANOWSKI. Kłamiesz pan! ja sam na rok przed reskryptem carskim w dwóch wsiach moich zniosłem pańszczyznę.

AKSAKÓW. Da... da... no eto z interesu— najlepszy dowód jak włościanie przyjęli wasze uwolnienie.

ZDANOWSKI. Nie nasza to wina. Nasyłaliście już wtedy waszych agentów, aby osłabić nasz dodatni wpływ nad ludem i wmawialiście w chłopów, że zamiary nasze były nieczyste i że jeśli dawaliśmy im wolność, to z chytrą myślą ich zguby.

AKSAKÓW. No... brośmy eto... to był wasz lud, ale tu na Sybirze.

ZDANOWSKI *(coraz więcej zapalając się)*. Lud jest wszędzie ludem... to jest tą pewną ilością mięsa przeznaczoną na głód, na cierpienie, na podatki, na kule armatnie...

AKSAKÓW. Taki ustrój państwowy!

ZDANOWSKI *(gwałtownie)*. Nie państwowy, ale szatański! Są przecież wolne i swobodne ludy! Są przecież gdzieś pod słońcem dusze nie skute więzami, nie służące na żer dla jednego despoty i zgrai jego służalców. — A jeśli nawet takich ludów nie ma, to należy ich stworzyć! to należy zerwać kajdany wiekowej pleśni, rozwinąć skrzydła, na nich pod-

nieść tych, co w kałuży łez i krwi własnej bezsilnie toną.

AKSAKÓW. To piękne słowa! Deklamacja... u was w Polsce wszyscy deklamują.

ZDANOWSKI. Milcz pan! — Od Konfederacji Barskiej, od Konstytucji Trzeciego maja, od powstania Kościuszkowskiego, od 12 roku, setki tysięcy nasz przeszło przez wasze sybirskie śniegi. — Policz pan, ile nazwisk polskich wytyczyło trupami drogę sybirskich etapów, a potem mów o naszej deklamacji...

AKSAKÓW. Da no eto źle zrozumiany patrjotyzm.

ZDANOWSKI. Co pan możesz wiedzieć o patrjotyzmie? Pan przecież urodziłeś się już służalcem Groźnych Iwanów, u pana w żyłach płynie wieczne poddaństwo z domieszką kosmopolitycznej cywilizacji! Ale my jesteśmy potomkami wolnych ludzi! My byliśmy Republiką! My jedni w Europie mieliśmy wolność indywidualną.

AKSAKÓW *(prędko)*. I tę wolność chcecie nadać obecnie mieszkańcom Sybiru!

ZDANOWSKI *(w uniesieniu)*. Gdyby nawet! Tu są takie czyste, piękne, wolne — nieskrępowane duchy... Niech i one odetchną swobodnie i jarzmo rządu z siebie zrzucą... Prawda Makar?... Ty dusza Sybiru, ty wolny ptak, nie skrępowany nawet temi łańcuchy, które ci

w tej chwili włożyli na ręce... Dzicz w twem sercu... dzicz, mord i pożoga... a dlaczego? bo ty krwawemi łzami wołasz swobody i łakniesz jej — tęsknisz za nią i w pragnieniu takiem nawet przed zbrodnią się nie cofasz.

AKSAKÓW. Wzdor! u Makarowa w duszy pustka! ha? co Makaruszka?

BRODIAGA. A ty odkuda znajesz, co w mojej duszy batiuszka? Razwie u tiebie ślepie kak u Boga Otca albo guberskiego isprawnika?

AKSAKÓW. Nie o to tu chodzi... my od sprawy odbiegli. Tak zawsze z wami Polakami. Rezon i rezon.

ZDANOWSKI. Czasem i kula świszcze.

AKSAKÓW *(chytrze coraz forsując nutę)*. Ach, wasze kule!... to igraszki dla dzieci... z rąk warjata kula nie ugodzi wiele, a wy — prastitie no już brosiliście się na nas jak warjaty!

ZDANOWSKI. To wyście na nas napadli, na gniazdo nasze jak stado szakali.

AKSAKÓW. Da, da, teraz będzie cała menażerja... hjeny, szakale, wampiry, a u was biały orzeł rozdarty. Obiecali wam go Francuzy zeszyć pożyczonemi nićmi, no i oni was brosili. Cóż? od sumaszedszych stronią, a wy Jewropie pojawić się chcieli w roli gierojów, a wyszli na duraków.

ZDANOWSKI *(gwałtownie)*. Milczeć! podły ten, kto się naigrawa ze zwyciężonego!

AKSAKÓW *(podchodzi mu pod oczy)*. Może nieť — Jewropę całą chcieli podnieść przeciw nam!

BRODIAGA *(cicho do Zdanowskiego)*. Wstrzymajcie się brate, a to on czort was umyślnie wyzywa...

ZDANOWSKI *(głośno)*. Niech wyzywa, ja mu odpowiem!

AKSAKÓW. Pust' odpowiadajcie, ja niczego więcej nie chcę. Tak! Tak preidie Europa przeciw nam, a teraz Sybir podnosić. Co? tego wam się zachciało stado warjatów? chytre niewdzięczniki?

ZDANÓWSKI *(coraz zapalczywiej)*. Wolności ńam się zachciało, lokaju despoty!

AKSAKOW *(coraz forsując)*. Warjatom i rabusiom wolności nie dają.

ZDANOWSKI *(j. w.)*. Dzikim zwierzętom nie wolno pastwić się nad ludźmi.

AKSAKÓW. Wy sami kraj nam sprzedali.

ZDANOWSKI. Krwią naszą i męczarnią my winę zdrajców zmazali!

AKSAKÓW. Idea! to skomlenie psów! was już nikt nie słyszy.

ZDANOWSKI. Usłyszą nas po wiekach,.. gdy wasz rząd padliną będzie, a na tej padlinie zakwitnie kwiat wolności nie tylko naszej polskiej, ale i ruskiego ludu.,.

AKSAKOW. Pana starania są marne — lud ruski z panem nie pójdzie.

ZDANOWSKI. Pójdzie, jak Bóg żywy — a gdyby nie chciał, przemocą go ku zbawieniu powlokę.

AKSAKÓW *(szybko)*. Więc pan przyznajesz, że organizujesz powstanie Sybirskie.

ZDANOWSKI. Czy sądzisz?

BRODIAGA (*gwałtownie*). Małczi brat — nie przyznawaj nic.

AKSAKÓW *(z krzykiem)*. Ty małczi skatina!... a nie, to ja...

BRODIAGA. Ty małci!... a to ja zabijam... ty wiesz!

ZDANOWSKI. Przywlokłeś nas tu w kajdanach aby się pastwić nad nami?

AKSAKÓW *(podchodząc do Zdanowskiego)*. Da co? pan się przyznał, mnie reszta wsio rawno — mnie naplewać na was dwóch. (*Do Zdanowskiego*). Ty mnie obrugał carskim łakiejem, Ty teraz w kazamaty pójdziesz na dół... da ciebie już stamtąd ani Zosiej Grygorjewicz, kochanek twojej żony nie wyciągnie...

ZDANOWSKI *(blady jak trup)*. Co? Kto?

AKSAKÓW *(jadowicie tuż przy twarzy Zdanowskiego)*. Kochanek twojej żony, — Zosiej. (*Zdanowski jednym ruchem ręki uderza w twarz*

Akśakowa. Kajdany uderzają Aksakowa w skroń — ten bez jęku osuwa się na fotel martwy. Chwila milczenia).

BRODIAGA. Nu cztoż? ubit?

ZDANOWSKI *(oprzytomniawszy).* Zabiłem? ja?

BRODIAGA. Cicho! nie kryczy! cicho! pozwól popatrzeć. Może tylko omdlał skatina.

ZDANOWSKI. Boże! *(Brodiaga podsuwa się cicho, starając się nie brzęczeć kajdanami i dotyka ręki Aksakowa).*

BRODIAGA *(zadowolony).* Już ścierwo—trup...

ZDANOWSKI (*jak nieprzytomny*). Co teraz?

BRODIAGA *(triumfująco).* Kak co teraz? Będziemy uciekali! da — jesienią ciężko... no cztoż — pójdziesz nad jezioro w skały.

ZDANOWSKI. A ty?

BRODIAGA. Ja ne znaju... w generały, w sprawniki, w popy. no, zawsze w same tuzy! *(Ściąga z biurka klucze od kajdanów i cicho otwiera kajdany. Da prekrasno. Szmer w przedpokoju).*

ZDANOWSKI. Lepiej zawołać żołnierzy, niech mnie biorą.

BRODIAGA. Ha? czto? a ja?... ja także pójdę na szubienicę przez ciebie! Nie brat! Pomnij! u ciebie żona, dzieci... potem ty nam obiecał... ty nas oswobodzisz. A nie, to poczekaj... tyby żywy także stąd nie wyszedł,

(bierze rewolwer), jaby ciebie ubił! *(Chowa rewolwer do kieszeni)*. W przedpokoju jest okno, wychodzi na ogrody. Tamtędy uciekniemy. Małczi! Kto to w przedpokoju jest — cicho!... *(Skrada się uchyla drzwi)*. Dieńszczyk, malczyszka śpi stojąco... Ha! no! śmiert' i dla niewo. *(Zdanowski robi ruch. jakby chciał iść w stronę przedpokoju, Brodiaga go wstrzymuje)*.

BRODIAGA. Niet'... brat — ostaw!... Ty masz swego trupa *(wskazuje na Aksakowa)*, pozwól, że i Brodiaga mieć będzie swego. *(Uchyla drzwi. — Zdanowski zasłania oczy, ukazuje się Bukaszka, oparty o futrynę, stoi śpiąc. — Makar wyciąga rękę, chwyta go kocim ruchem za gardło, ściska, Bukaszka bez jęku osuwa się na ziemię)*.

BRODIAGA *(do Zdanowskiego)*. Chodź brat, droga wolna! *(Zdanowski cicho, automatycznie kieruje się ku przedpokojowi, widać go, jak zbliża się do wąskiego okna, tymczasem Brodiaga podchodzi do biurka, zabiera papierośnicę, portfel z pieniędzmi — i przechodząc mimo gubernatora — — podnosi kajdany i zakłada je cicho na szyję trupowi)*.

BRODIAGA *(triumfująco)*. Wot skatina — dla ciebie krest'! *(Kieruje się do przedpokoju)*.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

W TRAKTIRZE.

Scena przedstawia dość wąską izbę belkowaną, z dużym piecem rosyjskim — z leżanką. po lewej małe okno i drzwi do alkierza — po prawej drzwi do traktiru zastawione szafką — w głębi główne wejście. Gdy drzwi się otworzą — słychać wicher szalejący na dworze. Po lewej tapczan — okryty do ziemi skórami i kilimkami. Obok paczka, na niej stoi dagnerotyp w ramkach złocony—trochę zaschłych kwiatów, leżą okulary, książka do nabożeństwa i mały dziecinny trzewiczek — po prawej koło ściany dwa tapczany także zasłane kołdry z kawałków sukna — poduszki perkalowe, kolorowe, wypchane sianem. Na ścianie krzyż związany z kawałków drzewa. Przed piecem trochę gałęzi suchych. — Za podniesieniem zasłony na tapczanie po lewej stronie siedzi Staniszewska i przy świetle jednej świeczki szyje czapkę z grubego sukna, watowaną i z uszami. Przed nią stoją trzymając się za ręce dwóch chłopczyków Zdanowskich poubierani ciepło i poowijani w chustki i w szmaty. — Na piecu na poduszkach śpi chora dziewczynka Zdanowskich, która kaszle od czasu do czasu.

SCENA PIERWSZA.

Staniszewska — Staś — Józio — Julcia później Lipski — i Elikanid.

STAŚ. Ale gdzież wilki chowają się w lecie?

JÓZIO. Muszą spać, jak niedźwiedzie w zimie... prawda proszę pani.

STANISZEWSKA *(szyjąc)*. Nie — wilki w lecie także chodzą po lesie, tylko nie są takie głodne, więc nie wychodzą na drogę i ludzi nie napadają.

STAŚ. Pani wie, u nas w Szerszeniówce to tatuś zastrzelił wilka.

JÓZIO. Jak ja będę duży, to ustrzelę niedźwiedzia i skórę ściągnę i daruję mamusi, żeby ciepło było spać w zimie.

STANISZEWSKA. Cicho dzieci! zdaje się, że Julcia się obudziła. *(Wstaje i podchodzi do pieca)*. Julciu! Juleczko! śpisz? może chcesz aniołku trochę wody? *(Cisza)*. śpi!... chwała Bogu! *(Słychać za ścianą granie na harmonji i gwizdanie)*.

STANISZEWSKA *(do Stasia)*. Idź Stasieczku do Elikanida i proś go, żeby tu przyszedł, a drzwi zamykaj prędko, żeby zimna na Julcię nie było).

(Staś wybiega).

JÓZIO. Pani znów czapkę szyję?

STANISZEWSKA. Znów, moje dziecko.

JÓZIO. A po co?

STANISZEWSKA. Żeby mieć z czego żyć, moje dziecko. *(Z lewej z alkierza wchodzi Lipski odziany w siermięgę, łysy, wyniosły, nadęty, typ dawnego wołyniaka, odyma wargi, chodzi z wielką pompą, pod pachą ma kołdrę zniszczoną i prześcieradło)*. Witam panią dobrodziejkę!

STANISZEWSKA. Dobry wieczór panu — przespał się pan trochę?

LIPSKI *(macha ręką)*. Jakie tam spanie. *(Rozkłada kołdrę na stole i zwraca się ku Staniszewskiej)*. Pani dobrodziejka nie raczy mi pożyczyć igły i nici.

STANISZEWSKA. Po co panu?

LIPSKI. Muszę kołdrę podszyć... przecież pod niepodszytą spać nie będę.

STANISZEWSKA. Pan nie potrafi.

LIPSKI *(gorzko)*. Nie do takiego poniżenia przywyknąć będzie trzeba... już trzy razy sobie kołdrę podszyłem.

STANISZEWSKA. Mam tylko czarne nici.

LIPSKI *(strwożony)*. Pani dobrodziejko! ja Wołyniak — ja przesądny, ja czarnemi nićmi białego szyć nie będę.

STANISZEWSKA. Aj panie Lipskil że też nawet przesądów i zabobonów w kraju zostawić nie mogłeś.

LIPSKI *(dumnie)*. Pani dobrodziejko — ja znajduję, że to, co mam w sobie, jest dobre i niczego się pozbywać nie myślę.

STANISZEWSKA. To źle, mój drogi panie... Ja stara, siwa, a uznałam niejeden mój błąd i oduczyłam się wiele. Ot, ma pan białe nici.

LIPSKI. Dziękuję pani dobrodziejce! *(Idzie do stołu i zabiera się do podszywania kołdry)*.

JÓZIO. Proszę pana, dlaczego pan tak chodzi, jak indyk?

LIPSKI. Jak co?

JÓZIO. Jak indyk — pan tak z góry nogi stawia i głowę tak zadziera. — U nas na wsi...

STANISZEWSKA. Józiu!.. co to za sposób mówienia? *(Wchodzi Staś i Elikanid, chłop Sybirski, w tułubie, ogromnych butach, czapie barankowej na głowie, z pod czapy widać kudły, brodę, z pod tułuba koszulę czerwoną).*

ELIKANID *(do Staniszewskiej).* Nu, a czewo tobie nużno?

STANISZEWSKA. Elikanid... u nas dziecko chore... śpi... nie grajcie w nocy w traktirze... nie krzyczcie.

ELIKANID. Da, pomiłuj!... Matuszka... jakże nie grać.. a toć traktir rozniosą jak muzyki nie będzie. *(Przystępuje do Staniszewskiej).* Nu czto? — szlapę ty uszyła! *(Bierze w rękę czapkę, którą Staniszewska uszyła).* Nu niczewo... dobra szlapa... *(kładzie na głowę i śmieje się).* Ha, jaki front? czto? *(obraca się do Lipskiego).*

LIPSKI *(usuwa go).* Niech się usunie?

ELIKANID. Czto ty kręcisz mordu stary? ty wsiegda do mnie odnosisz się, jakby ja był padlinoj.

LIPSKI. Niech się usunie!...

ELIKANID. Da... a diengi u mnie ty pożyczył?

LIPSKI. Procent ci kanaljo zapłaciłem — piętnaście na miesiąc.

ELIKANID. Edakaja ważność! piętnaście w miesiąc... mnie płacą ssylne Polaki i po trzydzieści na miesiąc, jak im z domu nie nadsyłają. *(Do Staniszewskiej).* Słysz matuszka... u mnie jeszcze jest dziura w kaftanie. nada łatkę wstawić iz etoj staroj szlapy.

STANISZEWSKA. Innego koloru? to Elikanid nie będzie ładnie.

ELIKANID. Wot popa i w rogóżce poznają. Tak ja tobie za to piatoczok zapłacę i kipiącej wody na czaj dam.

STANISZEWSKA. Dobrze, tylko bądźcie dziś cicho w traktirze.

ELIKANID. To matuszka obiecać nie mogę. Goście muszą się bawić, a jakaż to zabawa, jak ze dwóch sobie mordy nie rozwali! a jakże mordu rozwalić po cichu... — ha? *(zabiera się do wyjścia — do Lipskiego).* A kiedy ty staryj anafiem oddasz mi pieniądze?

LIPSKI. Jak mi z domu przyślą.

ELIKANID. Nu... ładno!... już ja będę pilnował... a to ty możesz jeszcze skręcić.

LIPSKI *(gwałtownie).* Wynoś się stąd kanaljo!

ELIKANID. Wot'... czto ty... kryczysz?... ty triapka kakaja... ja zdieś gospodarz i żeby nie nakaz guberni, ja by tu was nie trzymał...

No ja podam do gubernji i was sam stąd wyrzucę! O! Kakije tuzy! *(wychodzi trzaskając drzwiami).*

STANISZEWSKA *(wzdycha).* Oh! Boże! *(Zabiera się do roboty — Lipski stoi nieruchomy — po twarzy zaczynają płynąć łzy. — Staś, który patrzy ciekawie na niego, podchodzi do Staniszewskiej i mówi cicho).*

STAŚ. Proszę pani, pan Lipski płacze.

STANISZEWSKA *(żywo).* Panie Lipski! *(Lipski macha ręką i dławiąc się łkaniem. siada na stołku, kryjąc twarz w kołdrę. Staniszewska wstaje i podchodzi ku niemu).*

STANISZEWSKA. Panie Lipski, jak mnie to boli, że pan swoją energję na takie drobnostki zużywasz.

LIPSKI. Taki lichwiarz! taki cham! taki smarowóz!...

STANISZEWSKA. O to panu głównie chodzi, że to cham!... Ach panie Lipski, czy my już nie mamy innych powodów do łez, tylko takie? Pan w tej chwili płacze z urażonej ambicji, a nie z serdecznego bólu. Otrzej pan oczy, zdobądź się na energję i na drugi raz nie wyzywaj podobnej sceny, skoro jesteś tak przeczulony, że jej znieść nie potrafisz.

LIPSKI *(szeptem).* Stary jestem, chory, łamie mnie to wszystko.

STANISZEWSKA. Młodszy jesteś odemnie o jakie lat dwadzieścia i jesteś mężczyzną.

LIPSKI. Nagiąć się do tego wszystkiego nie mogę.

STANISZEWSKA. Musisz! Do jednego człowiek się nagiąć nie może — do złego. Do nieszczęścia musi.

LIPSKI. Ale za co ja tak cierpię? za co?

STANISZEWSKA. Nie badaj! nie pytaj! Ja wierzę, że ciężej tobie przenieść tę zmianę niż innym. Czterdzieści lat zbytku, samowoli i dumy. A potem... ot *(wskazuje ręką dokoła)* ale będzie dla ciebie czyścową próbą... Wyjdziesz z niej inny. *(Ktoś puka, Lipski ociera pospiesznie oczy, wyprostowuje się, przybiera dawną minę i zabiera się do kołdry).*

SCENA DRUGA.

Ciż sami i Kiniewicz,

KINIEWICZ *(wchodzi okutany, niesie w płachcie mech).* Dobry wieczór! Dobry wieczór.,. a to zięb, aż dmucha... przyniosłem wam trochę mchu, aby zatkać szpary.

STANISZEWSKA. Jakże tam dziś targ poszedł?

KINIEWICZ. Powolutku, powolutku, sprzedałem trzy paczki szpilek i chłopkom dwa pudełka różu... A jakże serdeńko.. różują się te moskwicinki, jakby same nie miały gęby jak piwonje... A gdzież te szpary? ha? a to

trza pozatykać, bo do cna was wicher wywieje. (*Przechodząc koło Lipskiego*). Pan hrabia igiełką się trudniwszy?

LIPSKI (*przez zęby*). Aha!

KINIEWICZ (*śmieje się dobrodusznie*). Nie sporo jakoś idzie... nie sporo!

LIPSKI (*wyniośle*). Nie rodziłem się ani na krawca... ani na kramarza.

KINIEWICZ. Ja takoż... no cóż począć — żyć trzeba. Za te trzy kopiejki na dzień, co nam rząd wydziela, to chyba kamienie nagotujesz. Z domu przysłać wiele nie mogą. Wieszatiel nas kontrybucjami obłożył — żonisko tam biedne ledwo się na tym folwarku obrobi... Ach Boże! zmęczyłem się!

LIPSKI (*przysuwając mu krzesło*). Niech pan Kiniewicz siada.

KINIEWICZ. Dziękuję panu hrabiemu. Gdzie pani Zofja?

STANISZEWSKA (*cicho*). Poszła na lekcję.

KINIEWICZ. Jakoż to być może? Przecież od tej nieszczęsnej katastrofy nie wolno jej dawać lekcji.

STANISZEWSKA. Żona horodniczego z domu Polka, w tajemnicy pozwala jej uczyć swoje dzieci.

KINIEWICZ. O Zdanowskim nie ma wieści?

STANISZEWSKA. Żadnej, przepadł jak kamień w wodę.

KINIEWICZ. Nieszczęsny on i nieszczęśni my przez niego!

STANISZEWSKA. Do tej chwili niewiadomo, czy on zabił gubernatora i dieńszczyka. Był przecież razem z Makarym w chwili spełnienia zbrodni.

LIPSKI. Według mnie to ta kanalja Makar zabił gubernatora.

STANISZEWSKA. Nie ręcz za to panie Lipski. Zdanowski był bardzo gwałtowny, czy możesz wiedzieć, czem go Aksaków mógł rozdraźnić i doprowadzić do szału.

KINIEWICZ *(zabiera się do zapychania mchem szpar)*. Powinien był pomnieć o żonie, o dzieciach... *(Słychać hałas za drzwiami)*.

STANISZEWSKA. Nie sądźmy, abyśmy nie byli sądzeni.

SCENA TRZECIA.

Ancypa — Żarski.

ANCYPA. Dobry wieczór pani.

ŻARSKI. Dobry wieczór.

ANCYPA. Był już karauł wieczorny?

STANISZEWSKA. Nie jeszcze! Panie Żarski, zobacz pan swoją pacjentkę.

(Idą do pieca — Staniszewska świeci, Żarski ogląda chorą dziewczynkę).

ŻARSKI. Hm! nieszczególnie, 39... i tak co wieczór.

STANISZEWSKA. Robimy co możemy. W izbie zimno, wczoraj pan Lipski sam poszedł po mięso — jeść nie chciała.

ŻARSKI. Klimat jej nie służy... Za ostry to ją zabija.

LIPSKI. Nas wszystkich ten klimat zabije. Mnie moje reumatyzmy, co je mam z polowań na kaczki, zasnąć mi nie dadzą.

ANCYPA. Wiecie — nową partję przywiedli.

WSZYSCY *(zbliżają się)*. Boże! skąd? skąd?

ANCYPA. Zdaje się przeważnie z Kongresówki. Niektórzy są znów z oddziału Trauguta. Nie mogłem się nic na pewno dowiedzieć. Wiecie przecież. jak nas ścigają... wiem tylko tyle, że jest pomiędzy nimi kilku z oddziałów. Jest podobno Jasiński.

STANISZEWSKA. Ten sam, który pod Horkami przedarł się z nami przez oddział Eggera?

ANCYPA. Nie wiem! Nędznie wyglądają... mówiono mi, że szerzy się między nimi szkorbut.

STANISZEWSKA. Powiedli ich do szpitala?

ANCYPA. Nie — wepchnęli ich do turmy. Tam jest podobno straszne przepełnienie. Śpią na podłogach, robactwo ich toczy. *(Gwałtownie)*. A my tu bezsilni. Gdzie ten Zda-

nowski — dlaczego on nas łudził — i nagle gdzieś przepadł, zbudziwszy w nas nadzieję.

KINIEWICZ. Ja się nie łudziłem, ja wiedziałem, że to się na niczem skończy...

ANCYPA. Ale ja byłem pewien. Dla dobra sprawy ustąpiłem nawet tutejsze przewództwo Zdanowskiemu — poddałem się jego woli, on działał sam. Teraz ma w ręku wszystkie nici, sprężyny — i przepadł, może sam uciekł na Chiny, kto wie.

ŻARSKI. Nie posądzajcie go ani o odstępstwo, ani o obojętność — jeżeli Zdanowski nie daje znaku życia o sobie, to dla prostej przyczyny — kto wie, czy żyje!

KINIEWICZ. Ja mam przeczucie, że żyje, ale tymczasem on, że kochaneńki utrudnił nam sytuację. Ot, ot, lada chwila zabronią mi handlować. już co chwila do tego, do owego rzemiosła brać się nam nie wolno.

ŻARSKI. Ja nie chciałem wam dziś tego mówić, ale mi zakazano od wczoraj leczyć w mieście.

WSZYSCY. O!

ŻARSKI. Doprawdy, nie wiem, co pocznę. Przysłali mi te kilkadziesiąt rubli z domu, to dyrektor turmy ukradł z nich połowę, sekretarz gdy wydawał ćwierć, smotrytiel wziął dwa ruble, zostało się kilkanaście rubli. Licząc na praktykę, kupiłem trochę baniek, tro-

chę pijawek, cęgi do wyrywania zębów, a tu... zakazali. — Co zrobię nie wiem!

ANCYPA. To ten błazen, ten szatan Aniuczkin nas tak prześladuje. Spotkałem go dzisiaj. Och! chęć mnie zbierała rozstrzaskać mu głowę.

STANISZEWSKA. Niech Bóg pana broni od tego, panie Ancypa. Mamy już dosyć jednego takiego nieszczęścia w partji... Lepiej pomyślmy o wieczornym posiłku... dzieci głodne.

ŻARSKI. Nastaw samowar. *(Hałas za drzwiami).*

WSZYSCY. Karaul! *(Drzwi się otwierają bardzo szybko, z wyciem wichru wpada Aniuczkin, za nim czterech sołdatów z latarkami).*

SCENA CZWARTA.

Ciż sami. — Aniuczkin. — Sołdaci.

ANIUCZKIN. Gdzie Staniszewskaja? czego się chowacie? kto tam leży na piecu?

STANISZEWSKA. Chore dziecko.

ANIUCZKIN. Gdzie Lipski?

LIPSKI *(wyniośle)*. Spojrz pan trochę w górę, to mnie zobaczysz.

ANIUCZKIN. Małczat, — gdzie Zdanowskaja? Nie ma jej? Razwie wy nie znacie rozkazu, że ze zmierzchem wy wszyscy powinni być w domach? ha? *(Do Ancypy, Kiniewicza i Żarskiego).* Co wy tu robicie?

STANISZEWSKA *(szybko)*. Ja mam pozwolenie na dzisiejszy wieczór. Pan wice-gubernator pozwolił, żeby ci panowie dzisiejszy wieczór spędzili u mnie *(pokazuje papier)*.

ANIUCZKIN. Naplewat mnie na to pozwolenie. Mnie się trzeba pytać o pozwolenie! Zdanowska niech jutro jawi się u mnie. Ja jej rozkaz powtórzę, jak ona dobrze nie słyszała. *(Drzwi się otwierają, wchodzi Tarasowicz w futrze i prowadzi Stasia Wilgockiego)*.

SCENA PIĄTA.

Ciż sami, — Tarasowicz — Staś — Wilgocki.

TARASOWICZ. Wy tu Zosiej Grygorjewiczu?

ANIUCZKIN. Da, ja sam smotr robię wieczorny. A wy tu po co Anempodist Wasiljewiczu?

TARASOWICZ. W tę minutę się dowiecie. *(Do Staniszewskiej)*. Ja za miastem. nad przepaścią spotkał waszego warjata, biegał nad jeziorem i drżał z zimna... Ja ludzki człowiek — pojmał go — choć on mnie pokąsał i wam go przywiódł. Wy przecież macie rozkaz, że on z wami ma mieszkać. Czemu go nie pilnujecie.

STANISZEWSKA. Ucieka sam i nie mamy sposobu utrzymać go w domu. Przytem

on robi się coraz dzikszy, dzieci się go strasznie boją.

ANCYPA. Ja go wezmę do siebie!

TARASOWICZ. Ni kak niet. On musi być tu — taki rozkaz! Ja sam będę pilnował. A jeszcze raz na ulicy spotkam — nu... na was wszystkich kara! (*Do wygnańców*). Usuńcie się procz... ja mam co tu powiedzieć na osobności. (*Cicho do Aniuczkina*). Ja dalej będę stosował system spoczywającego w Bogu gubernatora. Niech warjat tu siedzi, on będzie nasz szpieg. Tylko tak dowiemy się, gdzie jest Zdanowski.

ANIUCZKIN. Ale dlaczego wy się w to mieszacie Anempodist Wasiljewicz?

TARASOWICZ (*żywo*). A już darujcie Zosieju Grygorjewiczu. Zdanowski był katorżnik powierzony mnie na czas pobytu partji w mieście. On uciekł, ja za niego odpowiadam i ja go znaleść muszę... Ale kiedy wy niedyskretni, to i ja będę taki. Dlaczego wy bez Zdanowskiego partji nie wiedziecie dalej? (*Aniuczkin milczy*). A... widzicie, tak i nie mieszajcie się do mnie. A chcecie wy mojej rady? Lepiej nie szukajcie wy Zdanowskiego, on gdy przyjdzie czas, sam nam w ręce wpadnie.

ANIUCZKIN. A ja was teraz zrozumiałem. Wy chcecie dalej ciągnąć system Aksakowa. Wy chcecie pozwolić rozwinąć się powstaniu, dlatego mnie od tego odwodzicie... Wy wie-

cie, że bez Zdanowskiego cały ruch się przerwie. No, to nie wasze dieło. To sprawa policji... Wy tylko tiuremnyj direktor.

TARASOWICZ. Tu na Sybirze nie ma podziału we władzy i pracy. Kto ma rozum i siłę ten ma prawo działać jak chce! Byle usłużył rządowi... Temu ja mówię ostawcie Zdanowskiego w kryjówce... niech wybuchnie powstanie.

ANIUCZKIN (*gwałtownie*). Wy wiecie gdzie jest Zdanowski!

TARASOWICZ *(z ironicznym śmiechem)*. To już moje dieło... Ale wierzcie mi, gdy przyjdzie czas, ja was do niego powiodę. *(Straszny hałas w traktirze).*

STANISZEWSKA. Czy nie możemy przenieść się gdzieindziej? Takie piekło mamy noc całą... dzieci chore, ja stara...

ANIUCZKIN. Nie lzia! taki rozkaz!

ANCYPA. Ale kto rozkazuje? kto nami tak rządzi ostatecznie?

ANIUCZKIN. To nie waszę dieło. A drzwi do traktiru nie zamykać.

LIPSKI. Tam pełno rabusiów i zbrodniarzy.

ANIUCZKIN. Między wami ich także nie brak.

ANCYPA (*gwałtownie*). Co? *(Inni go uspakajają).*

ANIUCZKIN. Szafą drzwi nie zastawiać — okna nie zasłaniać. — (*Do Kiniewicza*). Wam

nie wolno więcej z towarami chodzić... Taki rozkaz!

KINIEWICZ. I tego mi nie wolno? Cóż więc chcecie, żebyśmy z głodu pomarli? To lepiej wytrujcie nas odrazu — to będzie bardziej ludzko.

ANIUCZKIN. Cicho! krzyków nie robić.

TARASOWICZ. Sami jesteście winni, było wam lżej...

ANCYPA. Lżej? wy to nazywacie lżej? Gnębiliście nas tak samo.

TARASOWICZ. Pan szczególniej się nie odzywaj? Prawda, że pana tylko na posielenie skazali, ale to się panu jakimś cudem upiekło. My tu mamy o panu inne sprawki. Pan jeszcze przyjdziesz w moje lokatory.

ANCYPA. Chyba trupem.

TARASOWICZ. Nie, żywym! Chodźmy Zosiej Grygorjewicz! (*Odchodzą — spotykają we drzwiach Zofję — Aniuczkin rzuca się ku niej gwałtownie).*

ANIUCZKIN. Gdzie wy byli? Wam nie wolno po mieście chodzić.

DZIECI. Mama, mama przyszła!

ANIUCZKIN *(zastępuje jej drogę).* Gdzie wy byli?

ZOFJA. Ustąp się pan — jeśli nie przed kobietą, to przed matką, do której dzieci wołają.

ANIUCZKIN. Żeby mi po nocy nie chodzić... A wy wracać do domów!

TARASOWICZ *(cicho)*. Właśnie lepiej zostawić ich razem! Łatwiej będzie ich złowić w sieci. *(Głośno)*. Chodźmy. *(Wychodzą — sołdaci za nimi — chwila milczenia pomiędzy wygnańcami, w traktirze śpiewa ktoś rosyjską dumkę).*

ZOFJA *(daje znak wygnańcom, aby do niej podeszli — szeptem)*. Brodiaga... brodiaga jest w mieście!

WSZYSCY. Gdzie? jak? widzieliście go?

ZOFJA *(szybko i cicho)*. Poznać go nie mogłam. Odziany w płaszczu i czapce sprawnika. Jechał sankami — powoził sam. Poznał mnie — zatrzymał konie... sołdat, który za mną chodzi, zbliżył się. Makar kazał mu odstąpić. Sołdat posłuchał rozkazu. Makar pytał mnie o dzieci, powiedziałam mu, że Julcia chora. Zaciął konia i zniknął tak szybko jak mara.

ANCYPA. Ten człowiek to szatan.

ŻARSKI. Dla mnie to genjusz! On igra z rządem, jak dziecko z piłką. *(Zofja krząta się koło dzieci).*

SCENA SZÓSTA.

Ciż sami — Podczaski — później Elikanid i muzyki.

PODCZASKI *(wsuwa się cicho)*. Dobry wieczór! *(Siada w kąciku ze spuszczoną głową —*

jest bardzo blady — obdarty i zbiedzony. Ancypa krząta się koło samowara. Staniszewska — kraje chleb i dobywa cukier, przedtem jednak posadziła Stasia Wilgockiego w kącie i dała mu kawałek chleba, otarła twarz i okryła chustką).

STANISZEWSKA. Jakże tam dzisiaj panie Podczaski.

STARY PODCZASKI. Jakże ma być! smutno! ciężko, tęskno!

KINIEWICZ. O, tęskno!

STANISZEWSKA *(do Podczaskiego).* Co pan dzisiaj robił?

PODCZASKI *(powoli).* To, co zawsze... czekałem śmierci. *(Przyciąga do siebie Stasia i całuje).* Cóż chłopczyku? Zdrów jesteś.

STAŚ, Pan wie — tatuś gdzieś pojechał i jeszcze nie wrócił. Może tatuś pojechał do nas, do Szerszeniówki? Mamusiu! kiedy tatuś wróci?

ZOFJA *(nagle wybucha płaczem i siada na krześle).* Nie wiem... nie wiem! nie pytajcie mnie o to moje dzieci. *(Milczenie — — słychać śpiew).*

STAŚ WILGOCKI *(nagle mówi dziwnym ochrypłym głosem).* Bo gdyby można wszystko przewidzieć... możnaby inaczej życie ułożyć... Tak mówią starzy! *(Znów milczenie).*

PODCZASKI *(do Staniszewskiej).* Niech pani pokaże mi fotografję swego syna, on mi tro-

chę mego Tonia przypomina. — *(Staniszewska podaje mu fotografję).* Ja nie mam ani jego grobu, ani fotografji.

STANISZEWSKA. I ja nie mam grobu mego syna — pan wie przecież, on zginął pod Horkami.., ja z ambulansem jechałam, nie wiedziałam nic, że go zabili. *(Nagle w traktirze wybucha straszny krzyk i wrzawa — drzwi do traktiru prowadzące roztwierają się z trzaskiem i wypada cała masa skłębionych i bijących się mużyków, która wali się na ziemię).*

WSZYSCY. Jezus Marja! *(Dzieci z płaczem uciekają — Staś zbudzony biega po kątach).*

ELIKANID *(pomiędzy bijącymi się).* Brostie, odstantie, skatiny, mierżawce!... *(Dostaje butelką w łeb).* Ubiwajut! karauł! karauł!

ANCYPA. Idźcie stąd precz, tu dzieci, kobiety...

JEDEN Z MUŻYKÓW *(pijany).* Ty sam idź precz!

ELIKANID. Eto moja komnata... moi goście mogą się i tu bawić... karauł! *(Wygnańcy zbili się w jedną gromadkę po przeciwnej stronie sceny walka wre dalej).*

STANISZEWSKA. Milczcie! pozabijać nas mogą!

DZIECI. Mamo! Mamo! *(Wpada dwóch sołdatów i unteroficer Warłamow).*

UNTEROFICER WARŁAMOW. Czto zdeś?

draka? *(Do Polaków).* Wy to z pewnością wyzwali...

JEDEN Z MUŻYKÓW *(do sołdata. który chce go pojmać).* Won! a to ubiu! *(Dzwonki słychać przed sienią).*

UNTEROFICER WARŁAMOW. Pojmat' wsiech i w arest!

LIPSKI Ależ my niewinni!

UNTEROFICER WARŁAMOW. Da, da, wy nigdy nie winni — wy ruskich bijecie... to znane...

SCENA SIÓDMA.

Ciż sami — Brodiaga w czapce sprawnika — ogolony — bakenbardy — płaszcz mikołajewski — pod spodem kożuszek jemszczyka.

BRODIAGA. Czto zdieś!...

UNTEROFICER WARŁAMOW *(meldując).* Wasze Wysokobłahorodje — kakaja to draka.

WYGNAŃCY *(do siebie cicho).* To Makar!

UNTEROFICER WARŁAMOW. Ja ich wsiech budu aresztowat'! *(Spostrzegłszy się cicho).* To ty Makar.

BRODIAGA *(cicho).* Małczi! *(głośno).* Ostaw ich w pakoje. *(Do mużyków).* Won ot tuda skatiny — mierzawce — swołocze. *(Wali ich butami i wygania nazad do traktiru).* A karauł procz!... skareje!... tam na Zapadnoj ulicy kogo

to zabili — krew aż broczy! iść tam — ja sam dam znać w policję. (*Do Elikanida*). A ty pohańskie ryło jeśli takie będziesz po nocach simfonje stroił, to ci siej czas traktir zamknąć każę.

ELIKANID *(hardo)*. Da batiuszki wy nie tutejszy isprawnik.

BRODIĄGA. A tiebie jakie do tego dieło? Porachuj w gębie zęby, bo za minutoczku połowy ich nie stanie, jak ci pokażę skąd ja isprawnik. Ja zaraz jadę do gubernij. Ja tam zdam sprawę o twojej pomyjnoj jamie.

ELIKANID *(cicho)*. Asygnatku choczesz batiuszka? asygnatku dziesięć całkowych rubli?

BRODIĄGA. Dawaj! (*Elikanid wsuwa mu w rękę pieniądze. Brodiaga chowa. Jeden z mużyków został na ziemi pokrwawiony i szuka czegoś po ziemi).*

BRODIĄGA. Czego ty tutaj? czego szukasz? Won!

MUŻYK *(szuka)*. Zuby mi wybili — zubów szukam batiuszka.

BRODIĄGA (*kopie go nogą*). Uhodi procz!... Wyrosną ci drugie zęby w grobie. *(Elikanid wciąga mużyka do traktiru).*

BRODIĄGA *(do Unteroficera gł.)*. Pójdź zdieś! *(cicho)*.Czto tam w turmie? gotowe?

UNTEROFICER WARŁAMOW (*cicho*). Moi sołdaci gotowi... nowa partja Polaków nadeszła, pozwolić im wejść do spisku?

BRODIAGA. Każet sia... Czemu ty wczoraj nie był u Iwana nad Jeziorem?

UNTEROFICER WARŁAMOW. Nie mogłem. Karauł na mnie wypadł. Gdzie Zdanowskoj skaži — a to chce się czasem wprost odnieść.

BRODIAGA. Nie powiem, gdzie on — to moje dieło — idź do turmy — powiedz, że dzień się już zbliża.

UNTEROFICER WARŁAMOW (*głośno — układnie*). Prastitie Wasze Wysokobłahorodje — ja was nie uznał.

BRODIAGA. A od kuda ty mnie znać możesz durak, kiedy ja iz Peremostoka — dwieście wierst od was oddalony... no idite... (*Unteraficer i sołdaci wychodzą*).

BRODIAGA (*po chwili*). Zdrastwujtie bracia! eto ja Makaruszka przebrany za małpę sprawnika.

WSZYSCY. Witajcie!

ZOFJA. Gdzie mój mąż?

BRODIAGA. Patisze! (*Biegnie do drzwi prowadzących do traktiru — przymyka je*). Nie zamykajcie na klucz, ale niech jeden stanie koło drzwi! — drugi koło okna... (*Żarski staje koło drzwi traktiru — Ancypa koło okna — Brodiaga idzie ku drzwiom, widać sołdata stojącego z bagnetem koło drzwi*).

BRODIAGA *(do sołdata)*. He! zemlak! posłysz... idź ty w traktir przynieś mi papierosów... czto? nie wolno? Ja ci pozwalam i każę... wot piet' rublej, a tu dla ciebie na wódkę dwugrywennik. *(Sołdat oddala się — Brodiaga na chwilę znika.*

ZOFJA. Boże! mam jakieś dziwne przeczucie!...

SCENA ÓSMA.

Ciż sami — Zdanowski i Brodiaga. (Osłupienie ogólne — Zdanowski porywa w objęcia Zofję, dzieci, wszyscy go ściskają w milczeniu — on wyczerpany osuwa się na tapczan — łka głośno, dzieci przypadły mu do nóg, Zofja klęczy obok niego i płacze — chwilę długą słychać tylko płacz).

STAŚ WILGOCKI *(podchodząc — nagle)*. Pan Zdanowski!

WSZYSCY *(przerażeni)*. Cicho! Cicho!

BRODIAGA. Świecę zgaście! *Staniszewska gasi świecę, ciemno na scenie — tylko ogień od pieca bardzo słabo oświetla grupę wygnańców — wszyscy zbili się koło Zdanowskiego).*

BRODIAGA. Drzwi jako zamknąć!

STANISZEWSKA. Nie ma zamku — nie wolno mieć zamków.

BRODIAGA. Ja będę trzymał. *(Pukanie)*. Czto tam? a czto sołdat?... *(Wyciąga rękę przez drzwi)*. Spasibo brat!

ZOFJA (*cicho do Zdanowskiego*). Tyś zabił?

ZDANOWSKI. Ja!

ZOFJA. Za co?

ZDANOWSKI. Nie pytaj nawet... Musiałem

STANISZEWSKA. Co teraz?

WSZYSCY. Tak, tak. co teraz?

ZDANOWSKI. To samo, co przedtem, tylko z tą różnicą, że jeszcze goręcej zabierzem się do sprawy...

ANCYPA. Gdzież przebywacie?

ZDANOWSKI. Gdzież ja nie byłem! Teraz jestem w skałach — niedaleko miasta — nad samem jeziorem w rozpadlinach skał, gdzie trudno się dostać człowiekowi — w czartowskim Abrywie.

STAŚ (*jak echo*). Czartowskij abryw... daleko... śliskie skały... woda szumi... trzcina jęczy.

ZDANOWSKI. Kto to?

ZOFJA. Nie zważaj... to Staś obłąkany...

ZDANOWSKI. Ach widziałem go dziś na skałach... Biegał tu i tam — on jeden tam przychodzi. Dziś jednak zdawało mi się, że widziałem jakiś cień za nim. — Znalazłem u ludu usposobienie gorące. Makar torował mi drogę Teraz już pewien jestem zwycięstwa. Dokoła jeziora wszyscy czekają na sygnał.

KINIEWICZ. Czekajmy, aż wiosna nastanie zupełna...

ZDANOWSKI. Nie można, nie można! Lud czeka, a to gorące dusze i czekać nie chcą... Na głowę moją nałożona cena... ten i ów może zdradzić.

BRODIAGA. Da... sumieniu czynownika nie wierz, choćby z tobą barszcz z jednej misy chłapał.

ZDANOWSKI. Twemu sumieniu Makar ja wierzyć mogę.

BRODIAGA. Et... batiuszka... na mojem sumieniu tyle krwi, że i za skrzydełko je nie schwycisz.

ZOFJA. Tobie jednak zawdzięczamy, że go mamy wśród siebie.

BRODIAGA. Nie gawari tak matuszka... Jeśliby ja w skałach na drodze nie wstretił sprawnika iz Peremostoka — który jechał na saniach... jeśliby tot sprawnik nie był pijany a jemszczyk jego jeszcze pijańszy — jeśliby ja im obu łbów nie roztrzaskał i nie zniał z nich,.. ot z jemszczyka tułub — a ze sprawnika płaszcz i szlapę — jeśliby ja nie wyrzucił trupy ze sanek i sam nie siadł na sanie...

ZDANOWSKI. Przybiegł ci po mnie, mówiąc, że córka moja chora... ogarnęła mnie tak szalona tęsknota, że oprzeć się jej nie mogłem. Makar ukrył mnie w swoich sankach — pod futrem i przywiózł tutaj. Chwilę

tylko, chwilę zabawić mogę... napatrzę i wracać muszę do mej kryjówki. we dnie zakopuje się w mech i nocą tylko przepływam jeziora, brnę po pas w trzcinie... wydostaje się na przeciwległy brzeg, aby tam spotykać się z wysłanymi i radzić nad tem, co dalej czynić należy.

ZOFJA. Ja tam pójdę za tobą!

ZDANOWSKI. A dzieci? patrz na małą, ona chora, blada... Nie płacz, plan mój się powiedzie. Oswobodzimy się z tych pęt będziemy wolni.

ZOFJA. Mówiłeś już tak raz do mnie przed powstaniem w kraju!...

STANISZEWSKA. Nie odbieraj mu odwagi Zofjo. Teraz już inaczej być nie może... to jedyny środek wyjścia.

ANCYPA. Nie zwlekajcież na Boga, mówcie prędko, jakiż ostatecznie plan?

ZDANOWSKI Oderwać Sybir od Rosji. Dać swobodę pracującym w kopalniach, utworzyć oddzielne państwo, a gdyby się nie udało — uciekać na stepy kirgiskie Taszkent do Buchary.

PODCZASKI. Plan Sierocińskiego.

ZDANOWSKI. Szaramowski przysłał wezwanie. — Za trzy dni, nocą, ognie wzdłuż jeziora zapłoną. Sybir ma oczy na nas zwrócone. W turmie więziennej spisek poszedł nam z dziwną łatwością. Sołdaci, którym nie

płacą żołdu i karmią padliną, łączą się z nami! Dyrektor turmy oślepł i ogłuchł poprostu.

BRODIAGA. Jak ruski urzędnik mówi — ja śpię — to wtedy trzymaj brat rękę w kieszeni z otwartym nożem, albo asygnatą. *(Staś Wilgocki ucieka chyłkiem z chaty).*

ANCYPA. Więc stanowczo chcecie iść razem z ruskimi?

ZDANOWSKI. Musimy.

ANCYPA (*gwałtownie*). Nie... nie... sto razy nie!... Idźmy sami, zostawmy ich własnym siłom. Pomiędzy nimi i nami przepaść!... potoki krwi... To nie frazes. — Wy wiecie, jam jeden z tych „nieprzebłaganych" — nazwijcie mnie fanatykiem — szaleńcem — czem chcecie... ale to już we mnie, w mojej krwi młodej zostanie. Wszakże jam jeden ze sztyletników Domejki... Tamtych chwytali — powiesili, innych zesłali na katorgę, mnie nie udowodnili na razie i jestem na posieleniu. Ale u mnie ta chęć zemsty pozostała w sercu. Oko za oko! — ząb za ząb! krew ich za naszą krew!

ZDANOWSKI. Rządu krew i ja pragnę tego!... Wszyscyśmy ją przelali!...

ANCYPA. Ja rozróżniać nie umiem! oni także nie rozróżniali. Na szubienicach w Warszawie, w Wilnie, były trupy przywódców ruchu — a na gałęziach drzew — na belkach chat kołysały się trupy chłopów naszych za

to, że w pobliżu ich wsi znaleziono zabitego sołdata. Dla mnie oni wszyscy jedno... rząd... car... chłop...

BRODIAGA. Czego ty mnie wymyślasz od carów? ha? Ja wszystko pojął co ty mówisz bratiec! Ej ty edakij! Pomyśl tylko. Razwie ciebie inaczej maty rodziła jak mnie? razwie ty inaczej zapłakał jak na świat przyszedł — czem ruskij mużyk... Razwie ty w grobie inaczej gnić będziesz? Razwie u ciebie w sercu, jak świeci łuna nie wyje taki sam wilk-tęsknota, jak u mnie? A ty mówisz krew za krew!... za krew!... U mnie, u nas Sybiraków kropla waszej krwi na rękach?

ZDANOWSKI. Ancypo, ten chłop prawdę mówi — zastanów się.

ANCYPA. Nie, nie. Ja wiem, to nie liberalne wszystko co ja mówię... ale inaczej być nie może. Ja z wami nie pójdę.

LIPSKI (*wolno podchodząc ku Ancypie*). Ja także iść nie chcę... wolę pozostać z panem w niewoli!

ZDANOWSKI. Jakto? więc rozdwojenie?! Boże wielki! zawsze to samo. (*Po chwili*). Ha! trudno! ci ktorzy chcą zostać, niech zostaną... Za trzy dni kto chce iść ze mną, niech się stawi w Czartowskim Abrywie. Idźcie śladem Stasia, on was doprowadzi. O północy zapalcie stos drzewek, który znajdziecie ułożony na skale. Z brzegu jeziora wam odpowie podobny płomień... I potem — dalej, da-

lej zabłysną inne ognie... To będzie znak! znak, że skrzydła szeleszczą i zrywamy się do lotu. Na znak tych płonących ogni i ja się zjawię. — Z przeciwnego brzegu przypłyną do nas zebrani już Sybiracy — wtargniemy do miasta — wojsko będzie z nami — w turmie rokosz — wszyscy nasi połączą się z kryminalnymi więźniami i otworzą drzwi turmy... Oswobodzimy ich! oswobodzimy z ciemnicy z gnijących kałuż — z agonji ducha i ciała... Wyniesiemy pół trupy na własnych barkach na światło, na życie, na prawo istnienia... Oswobodzimy was z kazamat i katorgi a lud sybirski z wieczystej niewoli! Wstaniemy tumanem krwi i pożogi.

BRODIAGA. Wstaniemy tumanem krwi i pożogi.

STANISZEWSKA. Straszno wzywać Boga do pomocy na takie krwawe dzieło! a przecież słuszna to i święta sprawa!

ŻARSKI (*gorąco*). Pomścimy się za naszych zmarłych.

STANISZEWSKA. Nie mścijmy się, lecz starajmy się tylko wywalczyć wolność dla żyjących: Umarli zemsty już nie potrzebują.

BRODIAGA (*który nadsłuchiwał*). Karauł! (*Chwila ogólnego zdrętwienia. Staniszewska odzyskuje pierwsza przytomność*).

STANISZEWSKA. Unieście tapczan! pod tapczan! (*Ancypa i Żarski unoszą tapczan, Zdanowski kryje się pod tapczan*).

ZOFJA (*do dzieci*). Dzieci milczcie, że tatuś jest tutaj, bo tatusia zabiją. (*Brodiaga chwilkę się waha — otwiera drzwi — widzi z daleka karaułowe latarki, cofa się i otwiera drzwi do traktiru — odwraca się. — W tej chwili wpada Aniuczkin, unteroficer i sołdaci*).

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami — Aniuczkin — Unteroficer — sołdaci.

ANIUCZKIN. Cztoż? bał się skończył? Poszliście już spać? (*Widzi na progu traktiru Brodiagę — który czelnie patrzy na niego*). Kto eto? izwinite (*Rekomendując się do Brodiagi*). Osip Grygorjewicz Aniuczkin... a wasza familja.

BRODIAGA (*wyniośle — prawie nieodwracając się do Aniuczkina*). Makar Makarowicz Makarow. A... tu prywatne mieszkanie? nie wiedział... drzwi odkryte...

ANIUCZKIN. Makarow?

BRODIAGA. Oczeń prijatno poznać się z wami (*odchodząc w traktir*). Haziain: skareje... podawaj zakusku.

ANIUCZKIN. Dlaczego tu ciemno?

STANISZEWSKA. Świeca się spaliła, nie, mieliśmy drugiej.

ANIUCZKIN (*świecąc latarką*). Łżesz! świeca tu stoi zgaszona. Czemu wy wszyscy tacy bladzi, ha? Panie grafie! cóż pan taki hardy

a teraz jak trup — a wy madam Zdanowskaja? nic nie umiesz odpowiedzieć? To coś jest. (*Do sołdatów*). Przeszukajcie trochę tapczany sztykami. (*Żołnierze idą do tapczanów i zaczynają je kłuć bagnetami — grobowe milczenie — tylko w twarzach wygnańców straszny lęk — w traktirze słychać granie na harmonji — Zdanowska śledzi z zapartym oddechem żołnierzy kłujących tapczan pod którym schowano Zdanowskiego. Nagle Ancypa chwyta Zdanowską za rękę i mówi cicho i szybko*). Jeden ma na bagnecie krew.

SOŁDAT (*który ma bagnet skrwawiony*). Wasze wysokobła.. (*Zdanowska rzuca się i chwyta w obie ręce bagnet tak, że kaleczy sobie ręce*).

ZOFJA (*z krzykiem*). Nie kłujcie — tam zdaje się dziecko leży. (*Rzuca się ku tapczanowi*). Nie! nie ma! Dzięki Bogu! (*Pada ze spazmatycznem łkaniem na tapczan, z rąk jej płynie krew*).

ĄNIUCZKIN (*patrzy na nią marszcząc brwi*). Wy się skaleczyli! za czem tak gwałtownie... No, ruszcie się — zatamujcie krew. Ją boli... ja na jej krew patrzeć nie mogę. (*Uderza z całej siły sołdata o którego bagnet zraniła się Zdanowska*).

ANIUCZKIN. Ty zwier... kak ty śmieł won — won ot tuda. (*Wyrzuca za drzwi sołdatów i sam ucieka w najwyższem zdenerwowaniu*).

SCENA DZIESIĄTA.

Ciż sami — później Brodiaga.

ZOFJA. Jezus Marja! odchylcie tapczan... On zraniony, krew była na bagnecie. *(Unoszą tapczan — podnoszą Zdanowskiego).*

ZOFJA (*do męża*). Nic ci nie jest, odpowiedz!

ZDANOWSKI (*z trudnością*). Przekłuli mi ramię... starałem się nie jęczeć... ale ty ręce masz zbroczone.

ZOFJA. To nic, to nic, żeby tylko ty.

BRODIAGA (*wchodząc*). Chwilę poczekamy, a potem w moje sanie i w drogę. Spojrzyjcie na gościniec... ten mierzawiec już poszedł?

ANCYPA (*patrzy na ulicę*). Nie, stoją, mówią coś ze sobą. Jakaś druga grupa przyłączyła się do nich! To dyrektor turmy, poznaję go... latatarki oświecają... pomiędzy nimi jest Staś Wilgocki... badają jednego z sołdatów.

BRODIAGA (*chwytając za rękę Zdanowskiego*). Przez traktir!

ANCYPA. Nie można! tamtędy idzie Aniuczkin z sołdatami.

ZOFJA. Boże, ratuj!

BRODIAGA. Patisze! (*Zrzuca z siebie płaszcz i czapkę i narzuca je na Zdanowskiego. Sam zostaje w kubraku jemszczyka i porywa czapkę, którą*

Elikanid zostawił Staniszewskiej na łatę — prostuje Zdanowskiego i mówi).

BRODIAGA. Smirno bratiec! to wsio pchły na protiw Brodiagi! *(W tej chwili drzwiami od traktiru ukazuje się Aniuczkin — w drzwiach od ulicy Tarasowicz i unteroficer Warłamow, za nimi tu i tam sołdaci. Aniuczkin prowadzi, a raczej wlecze Stasia Wilgockiego).*

SCENA JEDENASTA.

ANIUCZKIN *(do Stasia).* Gdzie Zdanowski, ty mówił, że był pan Zdanowski.

STAŚ WILGOCKI. Puść, nie zabijaj!

ANIUCZKIN. Nie puszczu... skaži — był Zdanowski?

STAŚ WILGOCKI. Nie wiem... zapomniałem, był... może nie był...

TARASOWICZ *(we drzwiach).* Puśćcie go Zosieju Grygorjewiczu... to warjat, on że nic nie wie...

ANIUCZKIN. A, teraz wam wygodnie powiedzieć, że on nic nie wie? Pust' niech on będzie moja tajna policja... gdzie Zdanowski.

UNTEROFICER WARŁAMOW *(cicho do Tarasowicza).* Ten w płaszczu sprawnika i jemszczyk, to Brodiaga i zdaje się Zdanowskij.

TARĄSOWICZ. Dobrze! *(Głośno).* A wy kto? *(Podchodzi do Brodiagi i Zdanowskiego).*

BRODIAGĄ. Ja jemszczyk, a to mój pan, sprawnik iz Peremostoka... nam spieszno.

ANIUCZKIN. Nikt stąd nie wyjdzie!

TARASOWICZ, *(który z całem natężeniem przypatrywał się Zdanowskiemu i Brodiadze).* A! *(Chwilę jakby się zastanawiał — nagle uśmiecha. się i podchodzi do Zdanowskiego z udaną wesołością)*

TARASOWICZ. A.. eto wy?... no wot ja was nie poznał. Wy że mój dobryj znajomyj... jakże wy tu popadli — pewnie przez traktir... Wam spieszno? nu da... co do Wicegubernatora? Was tam czekają. Nu Zosiej Grygorjewicz — mego druha zatrzymywać nie można. Ustupitieś... *(Przeprowadza Zdanowskiego w stronę traktiru. Aniuczkin chwilę stoi nieruchomy).*

BRODIAGA. Da ustupiś gałubczyk radi Boga!... my się spieszymy na bal do gubernij!... *(Do Zdanowskiego).* Pożałujtie — Wasze wysokobłahorodje! *(Tarasowicz usuwa Aniuczkina- robi miejsce Zdanowskiemu, który wychodzi poprzedzony przez triumfującego Brodiagę, za chwilę słychać brzęk dzwonków, które oddalają się coraz bardziej).*

ANIUCZKIN. Przetrząsnąć wszystko, poprzewracać sienniki — podłogę... oderwać — iść na dach... on tu być musi... być musi. *(Do Tarasowicza),* Już ja go odszukam!...

TARASOWICZ *(spokojnie zapalając papierosa).* Szukaj gałubczy... szukaj!... *(Siada na krześle. Sołdaci zaczynają wszystko przewracać, kłuć bagnetami i odrywać podłogę. Wygnańcy stoją nieruchomi).*

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

GDY OGNIE ZAPŁONĄ!

Skały nad brzegami jeziora — jedna najwyższa — do której dostać się bardzo trudno — na niej ułożony stos drzew — po prawej niższe skały — widać daleko, w perspektywie drugi brzeg jeziora — za podniesieniem zasłony ciemno, a potem powoli wypływa księżyc — i w czasie akcji ginie za gęstemi chmurami. — Chwilę scena pusta. — Poczem widać Stasia Wilgockiego, biegnącego z szaloną zręcznością po skałach. Sylwetka jego ukazuje się i niknie na brzegu i skałach.

SCENA PIERWSZA.

Staś Wilgocki później Tarasowicz i drugi unteroficer i żołnierze.

STAŚ (*biegnąc po skałach*). Hop! hop! echo! echo! śpisz? to ja! księżyc wstał... wszystko śpi! echo! chodź! chodź! precz sowo! ha! ha! gdzie echo?

TARASOWICZ (*przypada poniżej do skały i powtarza jak echo po Stasiu*). Chodź! Chodź!

STAŚ (*uradowany, przechylony na skale*). Jesteś echo? zbudziłeś się... to dobrze! zaczekaj!

TARASOWICZ *(j. w.)*. Zaczekaj!

STAŚ. Tylko ty nie jęcz... nie jęcz... bo ja cię ukąszę... ha! ha!

TARASOWICZ *(woła unteroficera)*. Warłamow!

UNTEROFICER WARŁAMOW. Słuszajus wasze wysokorodje!

TARASOWICZ. Patrz mi prosto w oczy! Ja liczyć na ciebie mogę?

WARŁAMOW. Jak na swoją duszę wasze Wysokorodje! ja przecież wam wszystko wiernie od pierwszej chwili donosił. Jeszcze za życia jewo Prewoshoditielstwa gubernatora.

TARASOWICZ. Da... no!... *(marszczy brwi)*.

WARŁAMOW. Wasze wysokorodje... ja jeszcze wczoraj wytłumaczył tiuremnym sołdatom, że gdyby serjozno podnieśli bunt, to na ich skórach wszystko się odbije. — Więźniowie wybuchną podobno dziś jeszcze może, nie mogę na pewno uznać, bo straszna chytrość u tych ludzi — ale sołdaci ich zaraz ukrócą.

TARASOWICZ *(żywo)*. Niet!... Niet!... nie zazaraz, niech będzie dobra draka. Pozwalam wam kilku więźniów zabić... dwóch... trioch.., czterech Polaków i jednego, ale nie więcej, ruskiego aresztanta. Rozumiesz... strzelać dużo... hałasu jak najwięcej... na chwilę niech będzie zwycięstwo po stronie zbuntowanych.

WARŁAMOW. Słuszaju wasze wysokorodje!

TARASOWICZ. Widziałeś wczoraj Brodiagę? gdzie się kryje?

WARŁAMOW. Tu gdzieś w rozpadlinie skały — ale gdzie, wiedzieć trudno... Pewnie razem ze Zdanowskim. A w dzwony na trwogę bić każecie?

TARASOWICZ. Naturalnie! Teraz porozmieszczaj ludzi po skałach.. Szkoda że na pewno nie wiemy, jaki jest znak... warjat majaczy... gada coś o echu... Boh znajet... Jeśli się dziś nie uda — jutro znów czekać będziemy... to jedno pewne... siedlisko przewódców tutaj!...

WARŁAMOW. Da, da, wasze wysokorodje, oni się tu chowają. *(Idzie Warłamow i rozmieszcza sołdatów w zagłębieniach skał).*

TARASOWICZ. Wot poslednia stawka? *(Do Warłamowa).* Ty za swoich sołdatów odpowiadasz?

WARŁAMOW. Jak za siebie i za was wasze wysokorodje.

TARASOWICZ. Gdzie warjat?

WARŁAMOW. Biega znów po ścieżynie... Cyt!... ktoś idzie... Wasze wysokorodje.... to kroki sołdatów.

TARASOWICZ. Schowaj się! *(Warłamow kryje się).*

SCENA DRUGA.

Staś Wilgocki — Aniuczkin — Unteroficer — Sołdaci Aniuczkina i poprzedzający.

STAŚ WILGOCKI *(biegnie znów po skałach)*. Echo! Echo! gdzież jesteś? Oh! oh! woda!... srebrzy się... ludzie ludzi kąsają, z drogi w przepaść spychają.

ANIUCZKIN (*na skale — schodząc, gdzieś się podział Staś)*. Gdzie ten proklatij? a to wierci się... o! już tam — tak wysoko (*do unteroficera)*. Każ sołdatom, żeby się za nim wdarli — tylko niech go nie spłoszą... a jeśli się Zdanowski pokaże... chwytać.

TARASOWICZ. Zdrastwujcie Zosiej Grygorjewicz...

ANIUCZKIN *(chwytając rewolwer)*. Kto tu?

TARASOWICZ *(słodko)*. Ja gałubczyk... wasz druh i znajomy... Anempodist Wasiljewicz... A wiecie co angieł mój... Mnie przyjemnie widzieć, że wy naszym systemem nie pogardzacie i zaczynacie także ot sobie tajną policję trzymać...

ANIUCZKIN. Po co wy tu przyszli Anempodist Wasiljewiczu?

TARASOWICZ. Po to samo, co wy, Zosiej Grygorjewiczu...

ANIUCZKIN. Ja po Zdanowskiego.

TARASOWICZ. Ja także po niego, No,

wy przyszli po męża żony, w której ty wlublon — a ja po dowódcę buntu... Tak u mnie prawo, nie u ciebie.

ANIUCZKIN *(kierując ku Tarasowiczowi rewolwer).* Oto moje prawo!

TARASOWICZ *(zimno — wyjmuje z każdej kieszeni rewolwer).* Oh! u mnie dwa takie prawa.

ANIUCZKIN. Ja nie sam, ze mną moi ludzie.

TARASOWICZ. Da... ze mną też moje tiuremne sołdaty, no, brośmy to... Zosiej Grygorjewicz zejdź ty gałubczyk ze skały i chodź porozmawiać ze mną trochę. My dwaj — moglibyśmy sobie psuć wzajemnie szyki — no teraz to stanowcza chwila i w tot kryzys my dołżni pogodzić się i dopomódz sobie wzajemnie..! Da... choć pomówić można. Nie chcecie wy do mnie podejść, nu to ja do was podejdę. *(Idzie do Aniuczkina, bierze go za rękę i sprowadza ze skały i sadza na odłamie niedaleko siebie).* U was gorączka, wy w ogniu Zosiej Grygorjewiczu?

ANIUCZKIN. Da, ja chory i nerwny... u mnie głowa kręgiem chodzi.

TARASOWICZ. A wot widzicie... trzeba wam rady zdrowego człowieka. U was ruskich dwa są sorty ludzi — albo tiemperament, albo chytre, zdrowe ludzie. *(Po chwili milczenia dobrodusznie).* Zosiej Grygorjewicz — odkryj ty mi swoją duszę, jak bratu... ty cierpisz... ty straszno pokochał tę kobietę?

ANIUCZKIN. Skąd wy wiecie?

TARASOWICZ. Całe miasto wie... Marfa Gawryłówna Aksakowa o tem tylko mówi... Eto prawda?

ANIUCZKIN (*z nagłym szalonym wybuchem*). Da! da! ja ją kocham, ja proch całuję, po którym ona idzie — ona dla mnie jak ikon, jak przeczysta,.. we mnie serce nie serce, a pożogą dusza mi się pali — oczy krwią zachodzą... ona mnie nie chce! — nie chce! pluje czto za mną. (*Pada na ziemię i ryczqc z płaczu tarza się po skale*). Ja jej chcę! żywa czy martwa... trupa będę całować, krwią moją ją obmyję... o! o! o!

TARASOWICZ. Nu, ładno, uspokójcie się, powiedzcie mi lepiej, co wy właściwie teraz chcecie zrobić z jej mężem. Powieść go dalej — czy...

ANIUCZKIN (*gwałtownie*). Ja chcę go zabić! Dopóki on żyw, ona mu będzie wierna... jak on będzie trup — ona ostanie się sama, wróci do kraju... ja ją dognam — włóczyć się będę za nią, jak pies — cień jej całować — wyć pod jej oknami — ona się zlituje. (*Zrywa się*), Sołdaty! szukajcie po skałach — on tu musi być!...

TARASOWICZ (*do sołdatów*). Padażditie! (*Do Aniuczkina*). Pozwólcie sobie jedno powiedzieć Zosiej Grygorjewiczu... Ja prawie wiem, gdzie jest Zdanowski. Do tej chwili mnie szło o to, żebyście go pojmali, ale bunt

już gotów — wybuchnie za dzień, za pół dnia — może za godzinę... Nie wiemy tylko na jaki znak, bo przewodzący, do których należy i Zdanowski, wiedzą o tem jedynie. Dlatego ja tu dziś siedzę w tych skałach Zosieju Grygorjewiczu, siedzę i czekam spokojnie, zamiast szukać zwierza w norze. Zwierzę samo wyjdzie, gdy będzie czas.

ANIUCZKIN. A wy go wtedy schwycicie? i oddacie pod śledztwo i skażą go na pałki... on się z pałek wyliże i potem na katorgę. Ona za nim pojedzie i będzie go znów kochać. Nie, nie, ja go nie dam...

TARASOWICZ. Jego powieszą.

ANIUCZKIN. Czort wie... ułaskawią może. Tam w Petersburgu liberalna partja bierze górę... Nie, nie — ja go szukać każę... Ja też za warjatem tropił i jestem pewny czto on zdieś chowa się w skałach... Potem oni tam — Lipski, Ancypa, Żarski i ona sama dziś się wybrali, toże w ślad za warjatem. — Mnie dali znać — ja zebrał sołdatów i krótszą ścieżyną na Abryw pospieszył. — No warjat w drodze ich odbiegł i my go dościgli,.. Polaki zostali między skałami.

TARASOWICZ. Oni tu idą? Więc to dziś... dziś wreszcie bunt wybuchnie!!! Idą go pożegnać albo złączyć się z nim! *(Gorączkowo)*. Zosiej Grygorjewicz zbierz ty cały swój um — całą siłę — pohamuj nerwy i wejdź ty ze mną w układ. Nie płosz ty mi Zdanow-

skiego — przez dwie godziny... przez godzinę... niech on wywoła powstanie buntu danym znakiem — a ja potem oddam go w twe ręce.

ANIUCZKIN. Niet... niet...

TARASOWICZ (*gwałtownie*). Ty pamiętaj, że on już raz tobie wymknął się z rąk. Ja to zrobiłem.

ANIUCZKIN. Kiedy? kiedy?

TARASOWICZ. W chacie Elikanid... Pomnisz? Tot peremesławski isprawnik, którego ja druhem nazywał.

ANIUCZKIN (*z krzykiem*). Ach! eto wy?

TARĄSOWICZ (*hardo*).. Nu czto? czy ja winien? ży wy przez miłość krugom durak? (*Po chwili*). Wy widzicie, że ja z moim umem więcej mogę, jak wy z waszym tiemperamentem. Ja teraz tak samo wywiodę Zdanowskiego i Brodiagę pod waszym nosem ze skał, jak z traktiru u Elikanida. Lepiej więc zgodzić się na mój układ. Czekajcie godzinę, ja rękę w ogień włożę, że czut, czut powstanie wybuchnie... A potem Zdanowski wasz — tolko za niego wy mnie oddacie Brodiagę i resztę zesłańców Polaków. Ja ich dowódcami powstania na raporcie zrobię i administracyjnym porządkiem dwóch, albo trzech powieszę. Zgoda?

ANIUCZKIN. Weźcie sobie całą bandę — tolko ostawcie ją i jego...

TARASOWICZ *(grzecznie)*. Och! ona... jakże... To samo przez się zrozumiano. Ona przedmiot waszej lubwi — nietykalna świętość. Acha da... ja by Lipskiego powiesił... eto graf, to dobrze zrobi — to nada serjozną wagę sprawie. A... czy wy zapłacili żołd sołdatom?

ANIUCZKIN. Eto śmiałe pytanie Anempodist Wasiljewicz...

TARASOWICZ. Ale wiedzieć mnie trzeba koniecznie. Oni także częścią w spisku.

ANIUCZKIN. Czto? kak? oniby śmieli?

TARASOWICZ. Czemu nie... moi turemni sołdaci także, no... ja już starszy żenat — ja nie wlublon, to ja mam głowę na karku. Ja im żołd zapłacił i na swoją stronę przeciągnął. Nada i z waszymi tak zrobić, inaczej oni serjozno przeciw nam pójdą. A u mnie 700 więźniów, a posieleńców dokoła miasta przepaść... a tam *(ukazuje po za jezioro)* tylko oczekują, ażeby się przepławić i napaść na miasto... Tak trzeba żołnierzy zapłacić...

ANIUCZKIN *(cicho)* Pieniędzy nie mam — przegrałem w karty w klubie...

TARASOWICZ. Choć tych zapłacić, co są z tobą. Pozwij ich tu... Unteroficer!

ANIUCZKIN. Biełoszubow! *(Unteroficer podchodzi)*. Zbierz sołdatów.

TARASOWICZ. Wy cali drżący... ostawcie — ja mówić do nich będę.

ANIUCZKIN. Jakże? wy? ja że ich dowódca!

TARASOWICZ. Na dowódcę u was nerwy za słabe w takiej chwili. *(Sołdaci Aniuczkina zebrali się i stoją w linji).*

TARASOWICZ (*do sołdatów*). Wam żałowanje należy się? ha? *(Milczenie).*

ANIUCZKIN. Gawaritie!

TARASOWICZ *(dziko).* Wot każdemu rubl całkowity — jutro obrachunek — a teraz słuchajcie. Jeśli są między wami skatiny, które chcą podnieść broń przeciw rządowi, niech pomną, że car batiuszka karze śmiercią tego, kto chce buntować się przeciw prawom Boga i Pana... Kula... da szubienica... a przedtem pałki — do krwi pałki!... czerez stroj... mięso od kości odleci... poniali?

SOŁDACI (*chórem*). Poniali wasze wysokobłahorodje!

TARASOWICZ. Teraz pochować się w skały i czekać rozkazu. (*Sołdaci się kryją po skałach powoli. Woła).* Warłamow.

WARŁAMOW. Słuszaju wasze wysokobłahorodje. *(Staś Wilgocki ukazuje się na skale).*

TARASOWICZ. Skoro wybuchnie bunt — a tylko patrzeć — możesz kazać podpalić

dwa, trzy punkta miasta — dzwonić we wsie kołokoty — kazać mnichom niech wybiegną z monasteru i rozwieją riasy, biegnąc po ulicach. Niech krzyczą na pomoc... to lud bardzo trwoży.

WARŁAMOW. Słuszaju wasze wysokobłahorodje.

TARASOWICZ. Spędzić mi tu warjata *(Sołdaci rzucają się i zarzucają sznur)*.

ANIUCZKIN. Ze mną są psy... może puścić?

TARASOWICZ. Nie trzeba, psy hałas robią. *(Jeden sołdat złapał Stasia na stryczek)*. Ściśnij mocno skatina... a to zacznie krzyczeć. *(Ściągają Stasia ze skały)*.

TARASOWICZ. Da zakneblować... wziąć go pod ręce i odprowadzić daleko na drogę. *(Do Aniuczkina)*. Gdzie on ich zostawił?

ANIUCZKIN. Koło krestowskiego mostu.

TARASOWICZ. Tam go odprowadzić, puścić i wracać kłusem... a kryć się w cieniu... Warłamow — idź z nimi.

WARŁAMOW. Słuszajus wasze wysokorodje! *(Wychodzi, za nim kilku sołdatów, wywłóczy na postronku Stasia)*.

ANIUCZKIN *(pada na skałę)*. Ja ze wszystkiem ustał... sił mi brak...

TARASOWICZ. Da — u was nerwny tiemperament, a z tem daleko w ruskiej służbie się nie zajdzie. *(Wraca Warłamow, sołdaci biegną cicho).*

WARŁAMOW. Wasze wysokorodje oni opodal błąkali się w skałach... my na nich puścili warjata.

TARASOWICZ. Pochować się w skały — wszyscy—psy pokneblować—czekać komendy. *(Do Warłamowa).* Ty do turmy i pamiętaj, co cię czeka. *(Warłamow wybiega. Wszyscy szybko kryją się w rozpadliny skał — scena pustoszeje — księżyc zakryty chmurą).*

SCENA TRZECIA.

Ciż sami ukryci — Zofja Zdanowska — Kiniewicz. Niesie Stasia Zdanowskiego. Żarski — Lipski — przodem biegnie Staś Wilgocki.

KINIEWICZ. Stasiu! zaczekaj! gdzie tak biegniesz? Nadążyć nie możemy.

LIPSKI. On ma postronek naokoło szyi... ktoś widocznie usiłował go schwycić.

ŻARSKI *(oglądając się).* Nie ma nikogo... pustka zupełna. Jaka dzikość i smutek... prawdziwie czartowskie siedlisko.

KINIEWICZ *(do Zofji).* Pani zmęczona... niech pani spocznie.

ZOFJA *(siada na skale)*. Rzeczywiście drżę cała. *(Kiniewicz sadza koło niej dziecko)*.

STAŚ WILGOCKI. Ciśnie postronek! ciśnie!

ŻARSKI. Pozwól, ja ci rozwiążę.

STAŚ WILGOCKI. Nie, nie, nie dotykaj... bo ja cały z lodu — ja się rozpłynę.

ŻARSKI. Kto ci zarzucił ten postronek?

STAŚ WILGOCKI. Nie wiem... nie wiem... duchy... szaro odziane... wiecie echo!

ZOFJA. Boże! gdy pomyślę, że zobaczę go może raz ostatni.

ŻARSKI *(do Zofji)*. Wyrzucam sobie, że usłuchaliśmy pani próśb i wzięliśmy panią z sobą, panią i dziecko.

ZOFJA. Chcieliście więc, ażebym go nawet nie pożegnała, aby syn najstarszy nie wiedział później, jak ojciec wyglądał!

LIPSKI. Ja panią odprowadzę do domu — bądźcie spokojni.

KINIEWICZ. Teraz należy znaleść stos drzewek, o których Zdanowski mówił.

ŻARSKI. Tak, tak, nie zwlekajmy. Co ma się stać niech się stanie. *(Do Stasia Wilgockiego)*. Słuchaj, powiedz, gdzie drewka? drewka ułożone?

STAŚ WILGOCKI. Drewka gałęzie? tam tam! *(Wskazuje na najwyższą skałę)*.

KINIEWICZ. Wysoko serdeńko, jakże nam się tam dostać?

ŻARSKI. Niech on nam zapali.

LIPSKI *(smutnie kiwając głową)*. Na szalony czyn — znak rozniecony ręką szaleńca. *(Żarski podnosi gałąź z ziemi, zapala ją i daje w rękę Stasiowi Wilgockiemu, mówiąc).*

ŻARSKI. Idź! zapal! zapal!

STAŚ WILGOCKI *(dziko)*. Ogień! Ogień! pożogę niosę! śmierć! *(Drapie się na skałę i podpala stos — przerażony jednak płomieniem, cofa się i zeskakuje)*. Gore! Gore! O! o!

SCENA CZWARTA.

Ciż sami i Zdanowski. (Zdanowski ukazuje się na tle gorejącego ognia na skale).

ZDANOWSKI. Nareszcie!

ANIUCZKIN *(wypadając z ukrycia)*. Dzierżytie jewo! *(Sołdaci ze strasznym wrzaskiem porywają się ze skał i pędzą ku Zdanowskiemu)*.

TARASOWICZ *(chcąc ich powstrzymać)*. Na Boga jeszcze chwilę!

ZOFJA. Zginęliśmy! *(Tarasowicz chce zastąpić Aniuczkinowi drogę)*.

ANIUCZKIN *(jak szalony)*. Procz! a to ubiju! *(Na skale pojawia się Brodiaga obok Zdanowskiego. Sołdaci chcą się wedrzeć na skałę)*.

ŻARSKI. Znak! gaście znak! wszystko przepadnie! *(Brodiaga spycha Zdanowskiego do wody).*

BRODIAGA. Ratuj się bratiec. *(Zdejmuje siermięgę i gasi nią ogień).*

ANIUCZKIN. Pojmat' etu skatinu! *(Brodiagę ściąga dwóch sołdatów ze skały i wlecze naprzód sceny).* Teraz za tamtym. *(Biegnie na brzeg — za nim sołdaci).*

TARASOWICZ. Zostają mi się tylko ci. *(Zofję — Lipskiego — Kiniewicza — Żarskiego).* Pojmat' ich natychmiast! Starego grafa w kajdany! kobietę zostawić...

ANIUCZKIN. Strzelać — on płynie do przeciwległego brzegu.

II. UNTEROFICER. Wasze wysokobłahorodje — nie słychać plusku wody, on gdzieś siedzi w trzcinie.

ANIUCZKIN. Strzelać w wodę i trzcinę. *(Żołnierze strzelają odwróceni od widzów ku wodzie. Cisza).*

BRODIAGA *(do żołnierzy).* Puśćcie bracia... eto ja Makar — wy że z nami, wy nasi!

ANIUCZKIN. Ciemno. nic nie widać... *(Tupiąc nogą).* Procz chmury! nie zasłaniać! won!

ZOFJA *(klęcząc i składając ręce dziecku, jak do modlitwy).* Boże! Boże! nie spędzaj chmur!

ANIUCZKIN. Strzelać jeszcze raz! *(Strzały— cisza).*

TARASOWICZ (*do siebie*). W dzwony nie biją, wszystko przepadło!

ANIUCZKIN. Psy! (*Sołdaci wiodą na łańcuchu dwa olbrzymie psy i rzucają je z brzegu w wodę*).

BRODIAGA (*do sołdatów*). Puśćcie mnie... wy zdradzacie... bracia!

UNTEROFICER (*na brzegu*). Psy z niczem wróciły.

ANIUCZKIN (*szalejąc*). Ja jego mieć muszę! muszę!

TARASOWICZ. Odprowadzić tych ludzi do turmy! (*Do Lipskiego*). Pan Graf pójdzie pierwszy na szubienicę.

LIPSKI. Nie cofnę się, bądź pewny kanaljo! (*Wyprowadza Lipskiego — Żarskiego — Kiniewicza*).

SOŁDAT (*który nie mógł sobie poradzić z Brodiagą*). Wasze wysokobłahorodje — nie można go pojmać — kąsa.

ANIUCZKIN (*który przez ten czas zbiegł ze skały, chwyta Zofję i wlecze ze sobą na brzeg*). Pochodnie! (*Dwóch sołdatów zapala pochodnie z gałęzi i podnosi na brzegu wysoko w górę — pomiędzy nimi staje Aniuczkin, który trzyma za gardło Zofję lewą ręką — prawą przykłada jej do skroni rewolwer i woła donośnym głosem w głąb sceny, pochodnie oświetlają jaskrawo tę grupę*).

ANIUCZKIN. Zdanowski! jeśli sam dobrowolnie nie oddasz się nam w ręce — zastrzelę twoją żonę...

ZOFJA *(mimowoli, czując zimno lufy na skroni)*. Mężu! ratuj!

ZDANOWSKI *(z daleka)*. Oto jestem! *(Słychać w oddali dzwon na trwogę, na brzegach zaczynają się zapalać światła).*

STAŚ WILGOCKI *(na skale)*. Gdy ognie zapłoną — Sybir powstanie!

TARASOWICZ. Wybuchło! Wybuchło! Sława Tiebie Hospody! — Sołdaci za mną! *(Sołdaci rzucają się za wybiegającym Tarasowiczem — Brodiaga wyrwał się im i chciał uciec — sołdaci Aniuczkina biją go kolbami, ale nie wiążą i nie pozwalają mu odejść.*

ZDANOWSKI *(pojawia się na brzegu, Aniuczkin odtrąca Zofję, która stacza się po skałach na dół i biegnie do dziecka, które złożone płakało na przodzie sceny).*

ANIUCZKIN. Ty! ty! wreszcie cię mam! wreszcie cię trzymam! *(Sołdaci chwytają Zdanowskiego i ściągają go naprzód sceny).* Rozstrzelać!

ZOFJA ZDANOWSKA *(do Aniuczkina)*. Litości! łaski!

ZDANOWSKI. Nie bój się Zofjo... *(Wskazuje na sołdatów)* strzelać do mnie nie będą! Oni wiedzą... ja chcę ich dobra... ja chcę ich wywlec z nędzy, z chłosty, z poniżenia...

Krew za nich oddaję, życie kładę w ofierze, aby rozkuć ich kajdany i w jasność wprowadzić! Oni ze mną! ich dusze i moja to jedno... jeden mamy cel, jedno pragnienie...

ANIUCZKIN. Rozstrzelać!!! *(Zdanowski widząc, że unteroficer ustawia żołnierzy w półkole — wydaje im rozkazy, oni nabijają karabiny — dwóch podchodzi do Zdanowskiego z postronkami i karabinami).*

ZDANOWSKI. Co to? wy mnie nie słuchacie? Ależ patrzcie na te ognie... to cały Sybir płonie chęcią wolności i swobody! Słyszycie dzwony, one dzwonią na śmierć carowi, na śmierć despocie, śmierć tyranji! Wolni z wolnymi! Makar! oni nie słuchają... Makar! przemów ty do nich.

ANIUCZKIN *(uderzając sołdatów).* Skareje skatiny!

MAKAR. Tak do nich mów! pięścią — żelazem...

ZDANOWSKI *(wskazując na Aniuczkina).* Ku niemu zwróćcie swą broń, jego połóżcie trupem! On wami szarga, on was katuje... niech was się zbudzi — człowiek!...

ANIUCZKIN *(kopiąc sołdatów).* Skareje zwierzęta!... *(Ci rzucają się ku Zdanowskiemu, chwytają go za ręce, rozkrzyżowują, przesuwają przez ręce karabin i przywiązują sznurami ręce).*

ZOFJA. Boże! gdzie jesteś! Boże! *(Żołnierze ustawiają Zdanowskiego przy ścianie skały —*

sami stają w półkole — unteroficer odstępuje za półkole).

ZDANOWSKI *(z rozpaczliwą rezygnacją).* Zrozumiałem!... *(po chwili).* Zosiu! dzieci! Odpuść im panie winy... jako i my od...

ANIUCZKIN. Ognia!... *(Strzały — Zdanowski pada martwy).*

BRODIAGA *(podnosząc dziecko Zdanowskiego do góry).* Niech Bóg odpuści. — Ty nic nie odpuść — nie!

ZASŁONA.

UJK Biblioteka Główna w Kielcach

UŁ
Biblioteka
Główna
w Kielcach

BIBLIOTEKA
Katedry Teorii Literatury U. Ł.
ZWOLNIONO
Biblioteka UJK Kielce
UJK
0421425

ZAKŁADY GRAFICZNE
WE WROCŁAWIU
NEUMAN & TOMASZEWSKI